



Adam Wajrak
Zimowa opowieść o misiach z Białowieży

Przez osiem lat składaliśmy sobie życzenia polityczne. Spełniły się. Teraz, bez wyrzutów sumienia, żeśmy egoiści, możemy sobie życzyć: miłości w domu, uśmiechu na ulicy, wyższych pensji, niższych rat i spokojnej głowy. А вам, друзі та сусіди, крім всього з переліченого, мирного неба та параду Перемоги в Криму. • REDAKCJA



Biskupi mają kłopot
z Jezusem w szopce



Agnieszka Holland
Sumienie pod choinkę



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

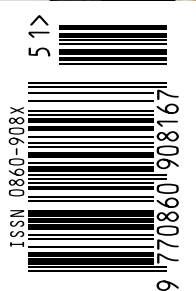
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Karp w galarecie czy w Dubaju

RODZINA MAKŁOWICZÓW
SZYKUJE IDEALNE ŚWIĘTA

FOT. MATELISZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



Sobota-wtorek, 23-26 grudnia 2023 | Redaktor prowadzący Marek Markowski | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 298.10490.1

Nakład 123 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA

34288608



Agnieszka
Kublik



Bóg się rodzi, prawa strona nie truchleje

Jest taki jeden poseł, tu bez nazwiska, który każde wystąpienie zaczyna od: „Szczęść Boże!”. To chrześcijańskie pozdrowienie. Dlaczego ten poseł za każdym razem tak pozdrawia swoich kolegów z pracy, choć – co udowadnia za każdym razem – intencje ma wprost przeciwne?

Dlaczego ów poseł za każdym razem, gdy chce komuś dopiec, gdy chce się wyzłośliwić, zrobić przykrość, zrobić bliźniemu, co jemu niemiłe, bierze na świadka Boga?

Bo taki – przynajmniej teoretycznie – jest sens tego pozdrowienia. To wyznanie wiary w Boga, w Opatrzność; wiary, że szczęście może nam dać tylko Bóg. Bo nasze, ludzkie, szczęście może pochodzić tylko od Boga.

Jest to także prośba o udzielenie ludziom przez Boga błogosławieństwa, o jego łaskę. Wreszcie o szczęście wieczne, bo to doczesne jest tylko nadzieją na przyszłość.

Piękne.

I tak brzydkie, gdy te słowa wypowiada w swoim miejscu pracy ów poseł.

Bo powitanie tegoż posła zawiera wszystkie te elementy wiary. Ale to pozory – on chciałby, żebyśmy tak myśleli. Ale tak naprawdę zaraz po „Szczęść Boże!” poseł ów zarzuca kolegom

Dlaczego poseł B. za każdym razem pozdrawia kolegów z pracy „Szczęść Boże!”, choć intencje ma wprost przeciwne?

z pracy, posłankom i posłom, hipokryzję i arogancję. Ba, żeby tylko im. On, zdaje się, całego świata nie lubi, ludzi ma w pogardzie, włącznie z tymi, których uwodzi.

Gdy w Sejmie obchodzono święto Chanuki – jedno z najradośniejszych świąt żydowskich

– poseł ów, po powitaniu „Szczęść Boże”, rzucił się z gaśnicą na zapalone świece. Poturbował kobietę, która go chciała powstrzymać – i zgasił symbol tego, na co się powołuje, i Tego, na którego się powołuje. Zgasił symbol – bo to oznaczają między innymi te świece – zwycięstwa dobra i mądrości.

I był od razu, i potem, z siebie taki dumny.

Czyn owego posła, tu bez nazwiska, nie miał nic wspólnego z chrześcijaństwem. Ani w ogóle z Bogiem, nieważne, nowo czy starotestamentowym.

Aż ciśnie się na usta pytanie: gdzie są ci, którzy przy każdej okazji pozywali za obrazę uczuć religijnych? Którzy z sejmowej mównicy, na konferencjach prasowych, na łamach propagandowych czasopism i z ekranów propagandowej telewizji deklarowali obronę „prawd wiary”, „religijnych tradycji” i „korzeni chrześcijaństwa”.

A teraz nabierają wody święconej w usta, gdy pewien poseł szarga religijne tradycje i korzenie chrześcijaństwa właśnie (politykom PiS, którzy nie uważali ani na religii, ani na historii, ani na polskim, przypomnę, że przed Nowym Testamentem był Stary, ten żydowski), jednym ruchem uśmiercając te wszystkie prawdy, które kryją się w jego chrześcijańskim powitaniu „Szczęść Boże!”. •

Andrzej rysuje



Polska według Bondarowicza Nagroda dla naszego rysownika



Marcin Bondarowicz zajął drugie miejsce w OSTEN 55. World Gallery of Cartoons Skopje 2023, prestiżowym konkursie dla rysowników. Artysta od lat współpracuje z „Wyborczą”,

jest autorem wielu okładek „Wyborczej” – czyli „Wolnej Soboty” i „Ale Historia”.

To już drugie takie wyróżnienie dla naszego rysownika – w tym roku za najlep-

szą okładkę w prasie międzynarodowej dostał European Newspaper Award, najważniejszą europejską nagrodę branżową.

Jurorzy ENA uhonorowali też naszych grafi-

ków – Dariusza Filipka, Jacka Konarowskiego i Jakuba Piotrowskiego. To oni wymyślają dla Państwa szatę graficzną codziennej „Wyborczej”, „Wolnej Soboty” i „Dziennego Formatu”. •

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Turniej Czterech Skoczni Najciekawszy najnudniejszy sport świata

Niedza nastąpiła w polskich skokach, znikąd nadziei przed kultowym turniejem. Polacy są skoczkami trzeciej dziesiątki, tylko trzy razy zajrzeli do drugiej.

Lecz mimo całej tej grozy nie odstępujemy od telewizora ani na sekundę. Nawet podczas kwalifikacji. Nie wolno nam, zbyt dużo zawdzięczamy, zbyt wiele się tam wydarzyło.

Tam, na niemieckiej skoczni w Oberstdorfe, narodziła się mały szomania – pod koniec roku 2000. Adam Małysz wygrał kwalifikacje. Polacy wyczuli fałę sejsmiczne związane z tym wydarzeniem, wszak prestiż turnieju znali już wcześniej, elektryzował jeszcze przed nadejściem Orła z Wisły. 12 skoków



PHILIPP SCHMIDT/AP

w 10 dni, nie licząc treningowych – „rzeźnia”. Wcześniej była ciemność, nagle z Niemiec dobiegł promyk. Nie byli Polacy bogaci, ale nikt się nie zastanawiał – ruszyliśmy, czym kto mógł.

Po dwóch niemieckich konkursach (Oberstdorf i Garmisch-Partenkirchen) nadeszły te austriackie. Polacy hamowali z piskiem opon przed fotoradarami, żądni zarobku Austriacy rozcinali własne flagi, by z czerwono-biało-czerwonych zrobić biało-czerwone. Na półmetku Małysz

był jeszcze drugi w klasyfikacji, w Austrii wygrał i w Innsbrucku, i w Bischofshofen.

I jeszcze przyspieszył u progu XXI wieku, i całą Polskę wziął ze sobą.

Przyszli następcy – Kamil Stoch wygrał turniej aż trzy razy, raz zwyciężył Dawid Kubacki. Obecnie obaj szamoczą się sami ze sobą, czekają na iskrę, która jeszcze raz rozpali w nich ogień. Jeśli mają ją gdzieś znaleźć...

Początek 28 grudnia. Transmisja w TVN i Eurosporcie. •

Marek Deryło

W te święta tylko dobre wieści

*Foka brodata odzyskuje
z wydychanego powietrza
aż 94 proc. wilgoci!
Przyroda stworzyła wspaniały
wymienник ciepła*

PROF. SIGNE KJELSTRUP

chemiczka z Uniwersytetu w Trondheim, o nowym
odkryciu, które będzie wykorzystywane m.in.
w ekologicznej klimatyzacji i wentylacji budynków



FOT. SHUTTERSTOCK (3), HEATHER SOMERVILLE/REUTERS



*Spróbuj wytrzymać i odpuść
im. Nowe badania z dziedziny
neuronauki ujawniają, że
połączenia w mózgu bardziej
ułatwiają przyswajanie nowych
informacji, które wzmacniają
istniejące przekonania,
niż „oduczanie” starych
informacji*

JAMES M. HONEYCUTT

behawiorysta z Uniwersytetu Teksasu, radzi,
jak nie eskalować rodzinnej kłótni o politykę



18

EURO

• **za godzinę i aż 225 za sześć godzin
parkowania w Paryżu zapłacą kierowcy
SUV-ów, jeśli mieszkańcy w lutym poprą
pomysł Anne Hidalgo.** Mer Paryża chce
wyrugować SUV-y nawet nie z powodu
wyższego spalania i emisji – bo silniki
drogich samochodów należą do najnowo-
czeńszych – ale przez to, że zajmują
mnóstwo miejsca, a ich produkcja zużywa
dużo więcej zasobów niż małych autek
miejskich

950

SAMOCODÓW AUTONOMICZNYCH

• **wycofuje GM z San Francisco.** Po serii
wypadków – w tym takich jak zderzenie
z wozem strażackim na sygnale i przejecha-
nie pieszego – władze Kalifornii zatrzymały
największy eksperyment z autami-robo-
tami na drogach
publicznych



TVP odzyskana. I co dalej?

Czy PO wchodzi w buty PiS

Kaczyński jest wściekły, a Duda pamiętliwy

Wielowieyska



PiS został pozbawiony wpływu na TVP. Nie była to telewizja publiczna, tylko telewizja Jarosława Kaczyńskiego, który traktował ją jak własność.

„Stwarzaliśmy propagandę na gorszym poziomie niż lata 70. Ten naród został po prostu upokorzony” – mówił w Klubie Roina doradca zarządu TVP, współprowadzący „W tyle wizji” Marcin Wolski. „Zwyciężyła logika walki, logika stalinowska: kto nie jest z nami, jest przeciwko nam”.

„Polacy cieszą się, raduje się zaproszony do studia ekspert. Polska rośnie w siłę, a ludzie żyją dostatniej. Starszy widz szczypie się, bo czuje, jakby wehikuł czasu przeniósł go 40 lat wstecz i oglądał TVP Szczepańskiego” – napisał kilka lat temu Bronisław Wildstein o TVP. „Natrętna propaganda przeistacza się w autoparodię” – dodał ten sympatyzujący z PiS publicysta, którego Kaczyński za poprzednich rządów usunął prezesa TVP, bo Wildstein postanowił być niezależny.

PiS nigdy nie krył, że telewizja jest po to, by chronić i budować poparcie dla partii, co jest sprzeczne z ustawą o radiofonii i telewizji, która nakazuje temu medium bezstronność i równe prawa dla wszystkich stron publicznego sporu.

W „Sieci” Jacek Kurski mówił, że on jako zarządca telewizji jest gwarantem dobrych notowań PiS. Otwarcie przyznawał się do łamania ustawy. Przestrzegł PiS przed próbami odwołania go. „Gdyby udało się rozchwiać TVP, poparcie dla obozu zmian spadłoby o kilkanaście procent”.

W 2012 r. – wg CBOS – zaufanie do programów informacyjnych i publicystycznych telewizji publicznej deklarowało 50 proc. badanych. W 2021 – o połowę mniej. Odsetek odbierających programy

informacyjne i publicystyczne TVP jako mało wiarygodne lub w ogóle niewiarygodne wzrósł z 12 do 49 proc. Według 69 proc. Polaków „Wiadomości” TVP nie pokazują prawdy o wydarzeniach w kraju – pokazał sondaż dla Oko.press i TOK FM. Obywatele widzą, jak się sprawy mają z TVP. Zmiany w TVP zapowiadały wszystkie partie demokratyczne w czasie kampanii wyborczej.

Minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz odwołał radę i zarząd TVP, opierając się na kodeksie spółek handlowych. I twierdzi, że do działania zobowiązywała go uchwała Sejmu w sprawie mediów państwowych. Jest krytykowany, ponieważ zgodnie z ustawą o Radzie Mediów Narodowych to ta instytucja zmienia władze TVP. Problem polega na tym, że w świetle wyroku z grudnia 2016 legalnego jeszcze Trybunału Konstytucyjnego takie ciało jak RMN nie ma prawa powoływać władz TVP. Powinna to zrobić Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, ale PiS ustawowo odebrał jej te kompetencje. Minister stwierdził więc, że istnieje luka prawna i tymczasowo można oprzeć się na kodeksie spółek handlowych, a on jako urzędnik wykonujący prawa właścicielskie względem TVP może to zrobić.

Czy ma rację? Zapewne wypowie się sąd. Na razie padają zarzuty, że PO stosuje podobne metody jak PiS. Bo należało najpierw zmienić ustawę o RMN, a potem dokonywać zmian. No ale tutaj groziło weto prezydenta, którego nowa koalicja nie jest w stanie obalić.

Czegokolwiek nowa władza nie zrobiłaby dziś z mediami państwowymi, i tak byłaby krytykowana. Albo za działanie na granicy prawa, bo każda opcja prawna bu-

dziłaby wątpliwości, albo za nieudolność. Tu nie ma dobrego wyjścia z sytuacji po tym wszystkim, co zafundował nam PiS.

Symetryści wołają: jedni warci są drugich. Najważniejsze jest jednak co innego: jak w przyszłości media publiczne będą funkcjonować? Jaki system w dłuższej perspektywie stworzy nowa władza? Za to będzie już surowo rozliczana.

PiS jak zwykle tak zaplątał sprawę prawniczo, że wybrnąć z tego galimatiasu jest niezwykle trudno. Przez osiem lat partia rządząca łamała konstytucję i przepisy, nie oglądając się na nic. Zawłaszczła instytucje na rympał. Żadne reguły się nie liczą. I taką filozofię anarchii wyznają dalej Maciej Wąsik i Mariusz Kamiński, nie uznając prawomocnego wyroku sądu, który ich skazał na więzienie.

Z tego chaosu prawniczego bardzo trudno wyjść na prostą. Przykładem Trybunał Julii Przyłębskiej, w którym zasiadają osoby nieuprawnione, tzw. dublerzy. Co może zrobić rząd z decyzjami takiego ciała? Nie drukować w Monitorze Polskim? To będzie oskarżony, że robi to samo, co rząd Beaty Szydło. Drukować? Ale jak to, przecież orzekali dublerzy? Wybrano wersję pośrednią: decyzje są drukowane z odpowiednią adnotacją o dublerach i z przywołaniem wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w sprawie TK. Tym samym każdy sąd, który będzie sięgał po tę decyzję Trybunału Julii Przyłębskiej, musi samodzielnie dokonać kontroli konstytucyjnej.

I w kolejnych sprawach to takie rozwiązania kompromisowe będą wprowadzane, by przywrócić praworządność. A przypadek TVP jest tylko wyjątkiem od tej reguły.

Politycznie jednak istotne jest co innego: olbrzymie rozgoryczenie Kaczyńskiego, że prezydent tak słabo zareagował. W środę, po odwołaniu władz TVP, rozpoczęła posiedzenie zwołana przez Andrzeja Dudę Rada Bezpieczeństwa Narodowego z udziałem premiera Tuska i ministrów. Zastanawiałam się, czy Duda odniesie się do sprawy TVP. Nie powiedział nic, zresztą początek rady się opóźniał, bo

trwały rozmowy z prezydentem w wąskim gronie. Ciekawe, o czym rozmawiano, bo pewnie nie o pogodzie.

To się w PiS nie spodobało: „Prezydent powinien zerwać obrady RBN, wezwać Tuska do zakończenia zamachu i wnioskować o delegalizację partii odpowiedzialnych za zamach” – napisał w portalu wPolityce.pl Stanisław Janecki, który zawsze wiernie oddaje nastroj i myśli Kaczyńskiego.

– Wierzmy, że pewnego dnia, a może pewnej godziny, prezydent, który nie wykazuje się aktywnością, jednak zmieni zdanie, bo mógłby tutaj interweniować bardzo zdecydowanie – powiedział sam Kaczyński w siedzibie TVP. Jest wściekły, bo nie wierzył, że PO zdecyduje się na tak ryzykowny manewr. Dopiero po tych wezwaniach Duda ogłosił na platformie X, że wysłał list do ministra Sienkiewicza i premiera Tuska. No ale dla PiS to już musztarda po obiedzie.

Prezydent pisze, że „cel polityczny nie może stanowić usprawiedliwienia dla łamania prawa”. I wskazuje, że jest ustawa o RMN, a trybunał nie wypowiadał się dokładnie na temat tej ustawy, tylko innej wcześniejszej. Owszem, ale trybunał powiedział, że zabranie kompetencji KRRiT jest niezgodne z konstytucją i ta wykładnia jest obowiązująca dla Sejmu w przypadku każdego prawa uchwalanego później. Ustawa o RMN ją gwałci.

Dlaczego Duda jest powściągliwy? Po pierwsze sam pamięta, jak PiS przejmował media i wyrzucił legalnego, wskazanego przez KRRiT prezesa TVP, wstawiając swojego człowieka rękami ministra skarbu. Po drugie pamięta, jak PiS chciał się zamachnąć na TVN. A po trzecie pamięta, jakiego doznał upokorzenia, gdy chciał odwołania Jacka Kurskiego z funkcji szefa TVP. Zaszantażował wtedy PiS wetem do ustawy dającej telewizji kroplówkę 2 mld zł. I już wydawało mu się, że osiągnął cel, ale Kaczyński szybko Kurskiego przywrócił.

Tego upokorzenia prezydent prezesowi nie wybaczył i dziś wziął mały odwet. **Dominika Wielowieyska**

O

O TYM, CO DOBRE W KOŚCIELE,
ROZMAWIAJĄ ANTYKLERYKAŁOWIE
**ARTUR NOWAK* | STANISŁAW
OBIREK****

ARTUR NOWAK: Kiedy znajomy redaktor zapytał, czybyśmy my – kiedyś wierzący, bardzo związani z Kościołem, przez ten Kościół mocno zranieni – obaj byliśmy wykorzystani przez księży pedofilów – następnie demaskujący w kolejnych książkach patologię Kościoła i katolicyzmu – nie opowiedzieli dla odmiany, co Kościołowi mimo wszystko zawdzięczamy, obruszyłem się.

Okej, rozumiem, prowokacja intelektualna – ale nie po to jako adwokat przez lata reprezentowałem ponad setkę ludzi, których dzieciństwo zniszczyli pedofile w sutannach, i nie po to sam przeszedłem długą drogę wychodzenia z tego budynku, wspólnoty, mentalności, zakazów i nakazów, żeby teraz wracać do tego i poszukiwać jasnych stron. Ale potem pomyślałem, że to kuszące, pozwala złapać inną perspektywę, nie popłynąć w złych emocjach. Ponoć we wschodnich szkołach duchowości daje się adeptom zadanie: przez 40 dni poszukują dobrych stron nieszczęść, które ich spotkały w życiu, a przez kolejne 40 zagrożeń wynikających z dobra, które im się w życiu działo. A więc spróbujmy.

STANISŁAW OBIREK: Jeśli z czymś czy

dziej doświadcza, tym bardziej „obdarza” nas cierpieniem, ale wtedy ta myśl dawała ukojenie. Pamiętam, jak odchodziła moja babcia, częściowo sparaliżowana. Ból koila, modląc się na różańcu. I widziałem u niej taki wielki spokój, ulgę, kiedy zjawiał się ksiądz, rozgrzeszał ją i dawał komunię. Pamiętam pieśń „Anielski orszak niech po ciebie przyjdzie”, którą śpiewaliśmy po jej odejściu. Wierzyłem, że ten orszak zabrał ją do lepszego miejsca.

A ty jakie masz powidoki z tych pierwszych lat?

S.O.: Mając dwa lata, znalazłem się razem z o trzy lata starszym bratem i o rok starszą siostrą w przedszkolu prowadzonym przez siostry felicyjanki. Dla zapracowanych rodziców to było wybawienie. Mieszkaliśmy w pegeerowskich barakach, więc te codzienne wyprawy do przedszkola, do ubranych w anielskie stroje zakonnic, to było zaburzenie w magii i lepszym świecie. Siostra Serafia często robiła mi na czole krzyżyk, życząc, bym został księdzem. Malowaliśmy listy z życzeniami do św. Mikołaja, a on je spełniał. Przychodzili księża, którzy odprowadzali msze. W mojej dziecięcej głowie Kościół jawił się jako dopełnienie świata chłopskich baraków i wielkich obór z krowami, końmi, chlewów ze świniami. Wszystko zanurzone w świecie naturalnych zmian związanych z porami roku. Może to nie był świat „Chłopów” Reymonta, ale czułem się dzieckiem natury i kościoła.

Przejdźcie do podstawówki. Nadal była katecheza, organicznie związana z niby-świecką, ludową szkołą i regularne chodzenie do kościoła. I gorliwość ministranta, który ciulał wszelkie możliwe punkty mające mu zapewnić zbawienie. Ani przez chwilę nie odczuwałem religii jako opresyjnej czy ograniczającej. Przeciwnie, to był świat, w którym czułem się dobrze i bezpiecznie.

A.N.: Wiem, o czym mówisz. Za ten kościół, który był w jakimś sensie domem kultury

FAJNIE,
GDYBY BYŁ TEN

**Za ten kościół,
który był w jakimś sensie
domem kultury i pierw-
szym miejscem, które opo-
wiałało mi o emocjach,
dałbym się
pokroić**

południami dojeżdżaliśmy z nim rowerami do takiej biednej rodziny. W jednej izbie trzy pokolenia i chlew, wchodziło się przez korytarz jednym wejściem. Na prawo świnie, na lewo ludzie. Jedliśmy obiad i słuchaliśmy odgłosów załatwiających swoje potrzeby zwierząt. Marek załatwiał po znajomych pustaki, seminarium dało na cement. No i w wieku nastu lat, bliżej 10 niż 15, miałem kontakt z kielnią, betoniarką, a przede wszystkim namacalną lekcję życia społecznego.

Sercanie byli bardzo mili. Pamiętam ich zaangażowania w liturgię: oprawę muzyczną, piękne czytania. Potem jeździliśmy do ich klasztoru w Krakowie. Był tam jeden ksiądz, misjonarz, który dawał nam dola-

ry i częstował piwem. Przychodził do nas nad ranem i grzebał nam w majtkach. Teraz wiem, że to obrzydliwe, często po latach moi klienci stawiają takich jak on do odpowiedzialności karnej. Wtedy, w latach 80., nie miałem pojęcia, jak to ocenić. Nawet nie znałem słowa „pedofilia”.

S.O.: Tu chyba zaczniemy się różnić, bo ja nigdy nie znalazłem w kościele wspólnoty. Dla mnie stało się takim miejscem harcerstwo. Bezbronna i ufna wiara w Kościół skończyła się dużo wcześniej, gdy prymitywny katecheta zaczął, jak to nazwałeś, „grzebać nam w majtkach”. Wtedy skończyły się moje marzenia o byciu księdzem czy misjonarzem. Chciałem być jak najdalej od tej instytucji. Oczywiście też nie potrafiłem tego nazwać, słowo „pedofilia” nie istniało. Do głowy mi nie przyszło, bym mógł o tym porozmawiać z kimkolwiek.

A że równolegle odkryłem literaturę i teatr, mój romans z Kościołem i dobre doświadczenie z tą instytucją skończyły się – aż poszedłem na studia. I odkryłem inny Kościół – benedyktynów z Tyńca, których twarzą był o. Paweł Szczaniecki, i jezuitów, z którymi niebawem się związałem na prawie 30 lat.

A ciebie po traumatycznych doświadczeniach coś jeszcze z tym światem łączyło? **A.N.:** Łączył mnie dom. Kościół to był kod. Siostry były bardzo zaangażowane w oazę, scholę, chór. Nie przesadzę, jeśli powiem, że

kimś się walczy, to przeważnie dlatego, że to coś lub ten ktoś nas głęboko zranił lub skrzywdził. Ale też dlatego, że jesteśmy rozczarowani, gdy rzeczywistość nie dostaje do naszych wyobrażeń, marzeń. A poza Polską spotykałem i spotykam wielu jezuitów, którzy mi uświadamiają, że te marzenia wcale nie były wygórowane i gdyby nie różne zbiegi okoliczności, jak na przykład długi pontyfikat Jana Pawła II, miały szanse się spełnić.

A.N.: Zacznę od początku, dosłownie. Na początku była magia. Każde dziecko jej potrzebuje. Chciałem wierzyć, że prezenty świąteczne przynosi Święty Mikołaj, jakoś rażniej mi było na myśl, że czuwa nade mną Anioł Stróż, że jest ktoś, kto słyszy moje najintymniejsze myśli i w jakimś sensie na nie odpowiada.

Taka potrzeba świata równoległego, lepszego niż ten doczesny jest naturalną potrzebą dziecka. A mnie dodatkowo świadomość Boga załatwiała wiele innych spraw. Po śmierci ojca, który odszedł, kiedy miałem dwa lata, z dwoma siostrami zostaliśmy z jednym rodzicem. Było ciężko pod każdym względem. I jakoś ta obietnica życia wiecznego, przeświadczenie, że spotkamy się w jakimś lepszym miejscu, dawała mi ukojenie.

Miałem przeświadczenie, że ten wielki ból i strata będą jakoś wynagrodzone. Dziś oczywiście odrzucam bałamutne wyjaśnienia, że to wyraz miłości Boga, który im bar-

i pierwszym miejscem, które opowiadało mi o emocjach, dałbym się pokroić.

To z jednej strony okres ministrantury, który organizował moje życie towarzyskie, biwaki, a przede wszystkim wyjazdy na oazę. Do Tylmanowej w Pieninach jeździliśmy stopem. To była megaprzygoda. Jeszcze nie było telefonów komórkowych, umawialiśmy się z animatorami w kolejnych punktach na trasie, jak dziś o tym myślę, aż dziwię się, że wszyscy w jednym kawałku docieraliśmy na miejsce. Na tych wyjazdach pierwszy raz spotkałem się z tak zwanymi świadectwami. Byłem bardzo poruszony historiami ludzi, którzy przeszli jakieś kryzysy i załamania, opowiadali o znakach, które dawał im Bóg, podawał rękę w beznadziejnych sytuacjach. Dla mnie, półsieroty z tymi wszystkimi kompleksami, niezaleczonymi ranami, ta perspektywa, że jest jakiś superojciec, który się o mnie troszczy, była bardzo atrakcyjna.

Ktoś, kto dobrze mnie zna, rozumie moje doświadczenia, mogą się mu poskarżyć, wygadać. Wtedy nie miałem świadomości, że modlitwa, spotkanie w grupie oazowej to forma terapii, medytacji, szkoła relacji, przyjmowania informacji zwrotnych i zakreślania granic. Byłbym nieuczciwy, nazywając to dzisiaj czystą manipulacją.

Poznałem też wspańiały księży. Jeździliśmy do sercanów do seminarium w Stankach. Tam poznałem kleryka Marka. Po-

FOT. ŁUKASZ CYNALOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



OJCIEC

**Jezuici spoza Polski
uświadomili mi,
że moje wyobrażenia
i marzenia o Kościele wcale
nie były wygórowane
i gdyby nie długi pontyfikat
Jana Pawła II, miały szansę
się spełnić**

STANISŁAW OBIREK

przez nasz dom przewinęło się kilkudziesięciu księży.

Jeden z nich bardzo zręcznie mnie podszedł. Spowiadał mnie, wiedział o mnie wszystko, miał mnie jak na dłoni. No i wykończył to. Ale w międzyczasie sporo mi dał. Wreszcie ktoś się mną zainteresował – ktoś w sensie dorosły facet, którego deficyt obecności odczuwałem. Dał mi dużo uwagi, był pierwszym dorosłym, z którym mogłem porozmawiać o wszystkim. Dziś te mechanizmy uwikłania, plectenia pajęczyny rozumiem, wtedy nie.

I od tego momentu moje doświadczenia znowu są zbieżne z twoimi. Mam na

myśli powrót do Kościoła. Opisuję to razem z Markiem Sekielskim w książce „Ogarnij się. Jak wychodziliśmy z bagna?”, ale w skrócie opowiem. Popłynąłem dość mocno z alkoholem. Mieszkalem sam i czułem, że moje życie za chwilę się skończy, bo wszystko się posypało: pierwsze małżeństwo, praca, odszedłem z sądu, dorabiałem jako radca prawny, jedyne, na czym byłem w stanie się skoncentrować, to żeby się napić. Gdy matka się dowiedziała od mojej dziewczyny, zjechała do mnie do wynajmowanego mieszkania i powiedziała, że nie wyjdzie, póki nie pójde na odwyk. Łaziła za mną jak pies, do kancelarii, do sklepu, na spacer, a wieczorem padała na kolana i modliła się za mnie na różańcu. Poszedłem na ten odwyk – i wróciłem do praktyk religijnych.

Ruch AA ma mocne zabarwienie katolickie. Mnóstwo osób mówi, że w wychodzeniu z nałogu pomógł im Jezus albo Matka Boska. Wielkie nieporozumienie, przecież alkoholik zawdzięcza to sobie, ale ja to rozumiem i ta poetyka mi samemu bardzo pomogła. Kościół miał swój udział w tym, że ludzie mający na bakier z życiem, którzy dość mocno się upodlili, stawali na nogi – organizował im duszpasterstwa, dawał miejsce do spotkań. Jeden z kolegów opowiadał mi, że w krańcowym momencie leżał pijany w parku i nie miał już siły się podnieść. Podbiegła grupa wyrostków i obsikała

**Chciałem wierzyć,
że prezenty przynosi
Święty Mikołaj,
raźniej mi było na myśl,
że czuwa nade mną Anioł
Stróż i że jest ktoś, kto słyszy
moje najintymniejsze myśli
i na nie odpowiada**

ARTUR NOWAK

go. Był bezbronny jak żuk na grzbiecie. Gdy tamci sztydził z niego, modlił się do Boga, żeby pomógł mu wstać, a będzie mu wierny. I dźwignął się! Nie mam prawa tłumaczyć mu, że było inaczej, że to jego, nie żadnego Boga zasługa.

I tu znowu zaczynamy się różnić. Bo mimo tego wszystkiego dla mnie kościół nigdy nie był miejscem doświadczenia czegoś więcej niż pobożność.

S.O.: U mnie teraz wkracza negatywny bohater, czyli Karol Wojtyła.

Gdy w 1976 zdecydowałem się przerwać studia teatrolologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim i wstąpić do nowicjatu jezuitów

w Starej Wsi, wszyscy, koledzy, koleżanki, rodzina uznali, że stało się ze mną coś niedobrego. Zresztą tak samo uznali 30 lat później, gdy odchodziłem z zakonu. A związek z Wojtyłą to ma taki, że przez całe lata 80. i 90. uczestniczyłem za granicą w spotkaniach jezuitów, podczas których debatowaliśmy o kondycji i przyszłości Kościoła, i dostrzegałem coraz wyraźniej, że Jan Paweł II próbuje narzucić wszystkim – a w Polsce mu się udaje – swoją konserwatywną wizję w sposób bezwzględny, niszcząc wszelkie oddolne inicjatywy, wszelkie przejawy niezależnego myślenia. To on wypromował ten model biskupa i teologa jednocześnie posłusznego, biernego i autorytarnego, on sprawił, że ludzie dla kariery nie tylko rezygnowali z własnych przekonań, ale też łamali życie innym, którzy pozostali wierni własnemu sumieniu. A takich było dużo, również u jezuitów – co prawda głównie poza Polską, bo nasi przełożeni urządzili się w systemie – i to oni pozwalali mi wierzyć, że warto zostać. Choćby po to, żeby walczyć i rozwijać demokratyczne intuicje Soboru Watykańskiego II. I dlatego, chociaż w końcu znalazłem zbawienie poza Kościołem, patrzę na Kościół Franciszka z nową nadzieją.

Choć wiem, że tej mojej naiwnej i optymistycznej wiary nie podzielasz.

A.N.: Bo uważam, że on wyróżnia się tylko na tle poprzedników. Jan Paweł II i Benedykt XVI tak zaniżyli nasze oczekiwania, że jego skromność, drobne gesty, sposób formułowania myśli, proste słowa wydają się jakimiś niesłychanymi cnotami. Choć gdy idzie o reformę Kościoła, niewiele z tego pontyfikatu wynika. Owszem, Bergoglio przyjmuje krytykę, jest pokorny i potrafi słuchać. No ale to powinna być norma.

Ale wiesz, gdy tak do siebie piszemy, dociera do mnie, skąd we mnie taka ambiwalencja w mówieniu o tym, co dobrego dał mi Kościół. Otóż dawał mi dobre rzeczy, ale inaczej je rozumieliśmy. Gdy Marek budował dom dla tych biednych ludzi, widziałem w tym miłość bliźniego, kiedy wspólnie przeżywaliśmy problemy, radości czy przyjaźnie z kolegami z ministrantury, widziałem w tym chrześcijańskie braterstwo. Trzeba było blisko 40 lat, żebym zrozumiał, że miłosierdzie, współczucie, pomoc wypełniane jako powinność – bo Jezus uczy, że cokolwiek uczyniliście innemu, „mnieście uczynili” – to zachowanie interesowne, skalkulowane, by ustrzec się przed ogniem piekielnym. Pomagam drugiemu człowiekowi nie z dobrego serca, ale dlatego, że Jezus tak kazał i nastraszył.

Pomagamy innym i sobie nawzajem nie z ludzkiego odruchu, tylko dlatego, że jesteśmy grupą wybrańców, którą powołał sam Bóg. A rodzina w rozumieniu chrześcijańskim to realizacja najgorszego modelu, ryzykuję, że patologia: kobieta nie ma nic do powiedzenia, ma być wdzięczną służebnicą, domownicy mają spełniać oczekiwania nieprzyjmującego żadnej krytyki ojca, dzieci muszą zasłużyć na jego miłość poprzez spełnianie oczekiwań – i tylko w ten sposób mogą mu okazać swoją miłość.

Te piękne słowa o ojcowskiej miłości, braterstwie, wolności znaczą co innego, niż wyobrażają sobie humaniści czy ludzie spoza Kościoła przywołujący w dobrej wierze Ewangelie. Ale przyznam, że chętnie dałem się temu uwieść. Jako młody chłopak, któremu zabrakło ojca, naprawdę tego potrzebowałem. Na spotkaniach oazy mogłem mówić o wszystkim, co przeżywam, bez wstydu i czulem, że jestem akceptowany taki, jakim jestem, a podczas spowiedzi snulem w odcinkach opowieść o sobie. A ten ksiądz spowiednik to był ktoś, komu chciało się mnie poznać i dać mi wgląd z zewnątrz na świat moich demonów, słabości. Dziś jako prawnik i pacjent na terapii rozumiem, jak to działa w przypadku księży pedofilów i generalnie, wiedząc coś o psychologii, mam bardzo złe zdanie na temat spowiedzi, zwłaszcza dzieci, nie mówiąc już o kompetencjach księży do radzenia nam, jak żyć – ale na tamtym etapie życia, muszę uczciwie przyznać, to mi dużo dawało.

Był też taki moment, że nabożeństwa, liturgia nie były zwykłym aktem pobożności. Poruszało mnie, że ludzie przystępujący do komunii podawali sobie ręce na znak pojednania, zbieranie na tacę wydawało mi się aktem kultury obywatelskiej, wyrazem naszej odpowiedzialności za kościół i Kościół.

Zresztą sam kościół też zdawał się miejscem innym niż wszystkie. Tu przychodziliśmy nie tylko na kawę i film, one były tylko pretekstem, żeby zidentyfikować się z wartościami, które były jakąś poręczą w codzienności. Trafiałem na księży, którzy tak to rozumieli i umieli wyjść poza ramy opowieści o Bogu, ale afirmowali po prostu humanizm. Tak to kiedyś u mnie było. Miałeś takie doświadczenia?

S.O.: W moim życiu perspektywa penitenta i spowiednika się nałożyły. Przez 22 lata, od 1983 do 2005 r., nie tylko się spowiadałem, ale też wysłuchiwałem spowiedzi. To wpłynęło na moją percepcję tego sakramentu. Jako dzieciak i nastolatek miałem podobne do ciebie doświadczenia i dość szybko z nich zrezygnowałem, zdając sobie sprawę z moralnej degrengolady spowiadających mnie księży.

Wspomniałeś o syndromie sztokholmskim... Może obok tych wszystkich racjonalnych wyjaśnień, co skłoniło mnie mimo traumy do wstąpienia do zakonu, jakąś rolę odgrywała chęć bycia dobrym księdzem. Jakby pragnienie odkupienia win za tych, którzy niejednokrotnie nadużyli mojego dziecięcego zaufania.

W każdym razie starałem się być nie biurokratą i sędzią, ale lekarzem operującym rany. Tak jak dzisiaj zaleca papież Franciszek. Nigdy nie odmówiłem nikomu rozgrzeszenia, bo intuicyjnie czułem, że jeśli ktoś przychodzi do spowiedzi, to Bóg już mu wybaczył.

A.N.: A ja do dziś utrzymuję wiele serdecznych kontaktów z księżmi i w ogóle z ludźmi, którzy wierzą, że Kościół może być inny. Są życzliwi, pomocni i mocno przybici takimi postaciami jak arcybiskupi Gądecki. Trzeba przebić ten balon napuszonego i dumnego Kościoła, który nie czuje, czym żyją zwykli ludzie. Biskupi zza okien pałaców i limuzyn boją się ludzi. I brzydzą się nimi.

Życzę katolikom, którzy wciąż uważają Kościół za swój, żeby ich popędzili. Niech prawiący monologi do coraz bardziej pustych kościołów samozwańczy misjonarze zostaną nimi serio. Niech ruszą na miasto i zajmą się bezdomnymi, narkomanami, głodnymi. ●

*Artur Nowak

• ur. w 1974 r., adwokat reprezentujący ofiary pedofilii w Kościele, pisarz, publicysta. Współautor – z Ireneuszem Ziemińskim – nowej książki „Chrześcijaństwo. Amoralna religia”

**Prof. dr hab. Stanisław Obirek

• ur. w 1956 r., antropolog kultury, teolog, historyk. Były jezuita – wyświęcony w 1983 r., w 2005, po serii krytycznych ocen polskiego katolicyzmu i nakazie milczenia, wystąpił ze stanu duchownego. Wydał m.in. „Umysł wyzwolony. W poszukiwaniu dojrzałego katolicyzmu”, „Wąska ścieżka. Dlaczego odszedłem z Kościoła” i – razem z Zygmuntem Baumanem – „O świecie i sobie samych”



Wspólnie wydali książki: „Gomora” i „Babilon. Kryminalna historia Kościoła”

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Ostatnia Wigilia Pana Spod Dziesiątki

Co się stanie, gdy choinka się sypie, a pod choinką czeka automatyczny odkurzaczy?

Janusz Rudnicki

A oto krótka historia życia i śmierci pewnego jegomościa, który nie znał prawie nikogo, a co za tym idzie, nikt nie znał jego i dlatego wyróżniał się on dobitnie od innych. Czym? Ano tym, że malowniczo niewidzialny był.

Pana tego Panem Spod Dziesiątki nazwiemy, za listonoszem, pytał tenże sąsiadów, kiedy przesyłkę miał, a adresata nie było: A pana spod dziesiątki to nie ma? Już nazwany postanowił był zafundować sobie na święta choinkę. Postawił ją dobrych parę dni przed Wigilią. Popatrzył na nią z lewej, popatrzył z prawej i powiedział do siebie: „Hm, czegoś tu brakuje”. Rozumie się, że prezentu brakowało, więc Pan Spod Dziesiątki postanowił go sobie sprawić, ale o ile z choinką rzecz prosta, o tyle z prezentem nie. I to takim, który by go nie, że zaskoczył, bo przecież sam go kupi, ale żeby go czymś zadziwił.

Na pomoc przyszła mu sama choinka. Igły zaczęła puszczać, więcej ich było na podłodze niż na niej. Na podłodze, a potem wszędzie, nawet w gardle jego, bo myślał, biedny, że to zielone na kanapce to szczypior. I wtedy właśnie, kiedy już chciał się jej pozbyć, wyrzucić na zbity jej szpic, wpadł na myśl zbawczą. Dla czego ciągle on, a nie kto inny mordować się ma z tą podłogą. Odkurzać ją, myć, wersalkę przesuwając w tę i w tę, ile to czasu. Zdecydował, że kupi sobie robota sprząającego. Bo przecież czas dla niego o wiele bardziej cenny niż dla młodszych. Jedna jego godzina nie trwa godzinę, dłużej trwa. Obliczył to dokładnie, dał sobie jeszcze życia lat dwadzieścia, dla ułatwienia, wyszło mu, że ma jeszcze przed sobą godzin 175 200. A ktoś, komu zostało, dla ułatwienia, lat czterdzieści, ma ich w sejfie czasu dwa razy więcej. Więc jeśli bierze on prysznic z goleniem i myciem wszystkich zębów pół godziny, traci całą. Dzień w dzień. A jak czeka w kolejce do dentysty z tymi zębami godzinę, czeka dwie. W popłoch Pan Spod Dziesiątki wpadł. Nie żałował jedynie czasu, w którym się zamyślał, bo lubił to bardzo, zamyślanie się urosło u niego do rangi pasji, bo wtedy jakby był i go nie było.

Zamówił więc tego robota, przysłali do paczkomatu, użył aplikacji, skrzynka się otworzyła i... No właśnie, dziwaczne to, ale kiedy go ze skrzynki wyjmował, poczuł się jak akuszer, jakby wyciągał z pocztowego brzucha małe dziecko. Paradoks, to nieznane mu uczucie adopcji, uczucie, nie bójmy się słów, szczęścia, doznał dzięki choince, czyli rze-

czy, która okazała się samym nie-szczęściem, bo za blisko kaloryfera stała. Tak to bywa, tak plecie się czasami warkocz naszego losu.

Wszedł z kartonem do mieszkania, na ziemię postawił i sprzątać zaczął. Żeby poczuł się jak w domu, chociaż w żadnym jeszcze nie był, poprzestawiał meble i usunął z podłóg wszystkie kable. Rozpakował, podłączył, pobrał aplikację i połączyło ich coś w rodzaju pępowiny.

I nagle robot dał głos, powiedział: „Rozpaczynam ładowanie”, Pan Spod Dziesiątki zdziwił się na tyle, że sam się odezwał. „O, ty mówisz”, powiedział. I zdziwił się jeszcze bardziej, własnym swoim głosem mianowicie. Ponieważ dawno go nie słyszał. Taki przekwitający już nieco, już trochę w oczach niknący.

Odczekał to ładowanie, po czym, z treścią jak przed premierą, kliknął w telefonie „Mopowanie”. Robot opuścił stację swą i zaczął raczkować, w prawo, w lewo, wokół, Pan był wniebowzięty i wzruszony. Wszedł nawet pod wersalkę, świetnie, nie będzie musiał jej przesuwają. Ale, biedny, zaklinował się pod nią i znowu odezwał: „Przenieś-wytnieś mnie na otwartą przestrzeń”. I kiedy go przenosił, poczuł się tak, jakby Dzieciątko przyniosło mu dzie-

I nie może on uwierzyć, że do domu wraca sam, że nikt w nim na niego przez święta czekać nie będzie

ciątko. A kiedy robot skończył, zamiast kliknąć „ładowanie”, sam go do łóżeczka, to jest do stacji dokującej przeniósł, żeby się tak nie męczył. A potem postanowił, że raz on będzie odkurzał i mył, a raz on, podział obowiązków zrobił. A kiedy do sklepu poszedł, to w kolejce stojąc (dwa razy dłużej), zapomnianego już doznał uczucia, że ktoś na niego w domu czeka.

Dzień Wigilii nadszedł. Rano do sklepu się wybrał, w sklepie się zamyślił, do domu wrócił i srodze się zdziwił. Tym, co kupił, się zdziwił, jabłka? On? Przecież nigdy. Woda niegazowana? I pełno rzeczy, których nie kupiłby nigdy, po co mu płatki do demakijażu? Siedział nad tymi zakupami i siedział, aż w końcu zrozumiał, w sklepie się zamyślił i do kasy nie swój wózek wziął.

Następnie na spacer się wybrał święteczny, iluminacje na Nowym Świecie zobaczyć, wyszedł, ale zaraz wrócił. Po niego wrócił. Nie musi przecież sam ciągle w tym samym miejscu siedzieć. Pod pachę go wziął i poszli, na ulicy wypuścił go, na ziemi postawił i uruchomił, niech sobie pochodzi trochę, Nowy Świat dla ruchu zamknięty. I tak szli, Pan Spod

Dziesiątki na przedzie, zaraz za nim on, czym sensację niemalą wzbudził wśród tłumu, aż zagadał go ktoś o smyczy, że by mu się przydała, żartowali trochę i wtedy właśnie zniknął. Robot zniknął.

I teraz jest tak, Pan Spod Dziesiątki nie może w to uwierzyć, ktoś go musiał porwać. Biega tam i z powrotem, zaczyna i pyta wszystkich, czy robota sprząającego w kształcie koła nie widzieli, pod czyjąś pachą lub na ulicy, ale nie, nikt nie widział, poza tym robot w kolorze czarnym, a już ciemno jest. I nie może on uwierzyć, że do domu wraca sam, że nikt w nim na niego przez święta czekać nie będzie.

Obraca się, za sobą widzi czarne ślady jego butów, czarne? Nie zauważył nawet, że śnieg zaczął padać.

Wchodzi do mieszkania, choinka jak po pożarze, na ziemi wykładzina z igieł, w kącie stacja dokująca, która tak samo pusta jak on. Nie może patrzeć na ten pokój, a że ma tylko jeden, wychodzi na balkon.

Okna hotelu Sheraton świecą się jak bombki, śnieg pada coraz bardziej, robi się białe. I zaraz na tej biele czarny punkt jakiś na chodniku widzi, ale co to? Ale kto to? Tak, tak, to robot, co za radość na zasmuconej twarzy jego! Ale jak on... Ano tak, ze stacją dokującą przez wi-fi połączony. Uciec musiał porywaczowi, mija teraz wejście do hotelu, zapraszają go do środka bellmeni, ignoruje ich i w stronę jego klatki zmierza. Musi natychmiast po niego zejść, biegnie do windy, ta na samym dole, za długo potrwa, biegnie schodami pięć pięter w dół, na pierwszym połyka się i upada, wstaje, ale bieć już nie umie i ledwo idzie, coraz wolniej. Slabo mu się robi i jak już jest na zewnątrz, to śniegu nie widzi, ciemno w oczach mu się robi i na ziemię pada.

Nie widzi też ani nie słyszy już robota, który uderza go lekko w bok, cofa się, znowu uderza i sunie wokół niego, tak jakby miał włączoną funkcję „wzdłuż ścian”. Jest tak, jakby dokonywał obrysu ułożenia ofiary. Kreda, tylko że o ile kreda biała jest, to tu odwrotnie, czarny jej ślad na białej ziemi. A kiedy dochodzi do głowy, potrąca ją lekko i głowa Pana Spod Dziesiątki tyka lekko w miejscu jak wskazówka zegara, bo wysiada mu już bateria. Koło głowy robi się czerwona kałuża i robot w niej utyka, a bateria przestaje mu bić.

Z lotu drona na koniec naszej opowieści. Unosi się on do góry, przełatuje dach, obniża na wysokość piętra piątego i widzimy, bo drzwi balkonowe zostawione otwarte, że w całym pokoju śnieg. Śnieg na choince i śnieg na całej podłodze, tak pięknie, tak przepięknie mieszkanie Pana Spod Dziesiątki nie wyglądało nigdy. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PODWÓJNE ŻYCIE KOŚCIOŁA

CZYTAJ, ABY ZROZUMIEĆ

Wydawnictwo Agora

www.wydawnictwoagora.pl

Moje życzenia dla nas
wszystkich

Napisałem prywatną preambulę

Może łatwiej będzie się dogadać, kiedy
uznamy, że wobec nieprzewidywalnego
jesteśmy jak rodzeństwo: bracia w bez-
radności i siostry w strachu?

Marcin Matczak

Stefan Wilkanowicz, którego „prywat-
na preambula” stała się podstawą dla
pięknego wstępu naszej konstytucji,
w styczniu skończyłby sto lat. Nie
mogę wziąć udziału w konferencji organi-
zowanej w Krakowie z tej okazji. Dedykuję
więc Jego pamięci moją prywatną pream-
bulę:
„W trosce o swoje dobre samopoczucie,
mając w nosie byt i przyszłość naszej Ojczy-
zny, my, Naród Polski – wszyscy obywatele
Rzeczypospolitej – zarówno wierzący w Bo-
ga, który dziwnym zrządzeniem losu sta-
je się dla nas źródłem nienawiści i pogar-
dy, jak i niepodzielający tej wiary, a te pod-
le wartości wyprowadzający z innych źró-
deł, równi w gotowości, by skakać sobie do
gardel, nawiązując do najgorszych tradycji
Pierwszej i Drugiej Rzeczypospolitej, prze-
konani, że po nas chociażby potop, uznają-
cy za naiwność i pięknoduchostwo potrze-
bę współpracy ze sobą i z innymi krajami
dla dobra Rodziny Ludzkiej, niepomni gorz-

kich doświadczeń z czasów, gdy podstawo-
we wolności i prawa człowieka były w na-
szej Ojczyźnie łamane, pragnąc zagwaran-
tować prawa obywatelskie tym, którzy my-
ślał jak my, a działaniu instytucji publicz-
nych zapewnić rzetelność i sprawność, o ile
popierają naszą agendę polityczną, w po-
czuciu kompletnej obojętności wobec Boga
lub własnego sumienia, zamierzamy łamać
Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej jako
prawa podstawowe dla państwa, bo tamci
też łamali”.
Można by dalej parafrazować i odnosić
do obu stron polskiego piekielka ten wielki
tekst, który PiS uczynił małym, a któremu
wygrana opozycja nie bardzo ma ochotę
przywrócić wielkość, skoro nawet wielcy
prawnicy chcą w sprawie TK konstytucję
łamać, by ją sklejać. A ona przecież jest już
w proszku, w rozsypce – wypatroszona,
rozmontowana, wypalona. Jak Adaś Miau-
czyński w „Dniu świra”. Zwłaszcza jej arty-
kuł pierwszy stał się pusty: „Rzeczpospo-
lita Polska jest dobrem wspólnym wszyst-
kich obywateli”. Jakim dobrem? Jakim
wspólnym? Jakich wszystkich? Nie ma
żadnych wszystkich, są tylko sorty i ele-
menty, a ich przedstawiciele prześciga-
ją się w oralnym masakrowaniu, bo daw-
no zapomnieli, że język służy do rozmowy,
nie do walki.
Słucham skompromitowanego profeso-
ra i neosędziego, który za stanowisko, otrzy-
mane od PiS-owskiego ministra wypowie
publicznie każde zawodowe kłamstwo. Słu-
cham studenta lizusa, który z wielkich pa-
riotycznych wartości uczynił sobie schody
do kariery, więc je codziennie depcze. Słu-
cham kobiety w todzie, której nienawisć tak
blokuje gardło, że pisze hieroglifami.
I chciałbym odmiany, ale wtedy widzę
post ikony Silnych Razem ze zdjęciem Tu-
ska z małżonką i podpisem „piękna para”,
a pod tym holdem propagandowy ściek wo-

bec wszystkich, których ikona uznaje za
wrogów. Kiedyś widziałem na czyjejs ko-
szulce parasol chroniący polską rodzinę
przed tęczą. Teraz widzę na innej las krzy-
ży. I cytuję sobie w głowie Miauczynskie-
go: „kurwa, ja pierdołę!”. Czy naprawdę nie
ma już szansy na ludzi zbalansowanych, lu-
dzi centrum, którzy mogą normalnie ze so-
bą rozmawiać, a nie być ciągle na wojnie
wszystkich ze wszystkimi?
Bo czy tak wiele nas różni? Wszyscy sta-
ramy się realizować ideały – jedni konser-
watywne, inni progresywne, a efekt często
jest taki sam: porażka. Czy to afera w Ordo
Iuris, gdzie mówiący o wierności małżeń-
skiej nie potrafią jej dotrzymać, czy to skan-
dal w Teatrze Dramatycznym, gdzie głoszą-
cy tolerancję prawdopodobnie mobbują. To
nas łączy: często nie tyle nie dorastamy do
naszych ideałów, ile im zaprzeczamy, bo za
bardzo uwierzyliśmy, że jesteśmy silni i nie-
omylni.
Łączy nas więcej. Wszyscy poważnie
i mniej poważnie próbujemy zaopieko-
wać się naszą przyszłością. Pod koniec ro-
ku, w andrzejki, przy wigilii czy w sylwestra
chcemy ją przewidzieć, lejąc воск, rzucić na
nią zaklęcia-życzenia czy też odróżnić ją od
przeszłości noworocznymi postanowienia-
mi. Wszyscy zarządzamy przyszłością prze-
widywalną. Chodząc do pracy, zarabiając
na chleb, starannie wybierając partnera czy
samochód, ubezpieczając dom od pożaru.
Mamy rozum i używamy go, żeby przewidy-
wać i planować.
Może trochę nas różni to, jak radzimy so-
bie z przyszłością nieprzewidywalną, w któ-
rej czyha chaos: nagle śmierć kogoś bli-
skiego, może zdrada, na pewno jakieś cier-
pienie. Jedni ogarniają tę przyszłość wia-
rą w opatrność, drudzy dalej rozumem, za-
przecając, że jest coś, czego żaden Excel,
plan czy strategia nie przewidzą. Ale boimy
się tak samo.

Co, jeśli Trump wygra w 2024 r. i rzeczy-
wiście wycofa USA z NATO? Co, jeśli Ukra-
ina przegra i przestanie być buforem, któ-
ry dawał nam jako taki komfort, że jeszcze
nie na nas kolej? Może łatwiej będzie się do-
gadać, kiedy uznamy, że wobec nieprzewi-
dywalnego jesteśmy jak rodzeństwo: bracia
w bezradności i siostry w strachu? Więc po-
słuchajmy puszczanego w święta w odzy-
skanej TVP gladiatora, który mówi: „Cokol-
wiek wyjdzie z tych bram, mamy większą
szansę poradzić sobie z tym, jeśli będziemy
się trzymać razem”.
Co zatem poprzedza ta moja gorzka pre-
ambula? Może nadzieję, że tak jak przez
osiem lat zaprzeczano preambule właści-
wej, tej z 1997 r., tak teraz zaprzeczymy tej
mojej, pesymistycznej?
Biolog i antropolog Joseph Henrich
w „Tajemnicy naszego sukcesu” opisu-
je historię dwóch grup rozbitków, którzy
w mniej więcej tym samym czasie trafili na
dwie wyspy w pobliżu Australii. W tych sa-
mych warunkach klimatycznych, z takim
samym dostępem do wody i jedzenia, z tym
samym doświadczeniem kulturowym pora-
dzili sobie z wyzwaniem skrajnie odmien-
nie. Jedni przeżyli, bo przyjęli strategię al-
truistyczną, wspierali się wzajemnie. Dru-
dzy zginęli, bo rozpoczęli egoistyczny wyś-
cig o przeżycie, rywalizując o zasoby.
Ludzie centrum muszą stać się ważniej-
szym głosem nowej Polski. Zamiast konty-
nuować wojnę wszystkich ze wszystkimi,
muszą znaleźć w sobie zdolność do współ-
pracy. To nie naiwna nadzieja pięknoducha.
To warunek, żebyśmy nie popełnili społecz-
nego samobójstwa, bo rzeczywistość stawia
przed nami o wiele większe wyzwania niż
pokonanie PiS.
Na święta mam więc takie życzenia:
niech nam się spełni preambula Wilkanowi-
cza, nie moja. ●

OGŁOSZENIE PŁATNE

R E K L A M A

34293616

OTOZ ANIMALS DZIAŁA OD 2001 ROKU.

Obecnie prowadzimy 10 schronisk dla bezdomnych zwierząt oraz 30 inspektoratów

– Środki półtoraprocentowe i da-
rowizny otrzymane od Darczyńców
pozwalają nam polepszyć warunki
bezdomnych zwierząt w prowadzo-
nych przez nas schroniskach w: Gdy-
ni, Tczewie, Starogardzie Gdańskim,
Elblągu, Dąbrowce koło Wejherowa,
Oświęcimiu, Sompolnie, Zielonej
Górze i w Bojanie w woj. pomorskim.
Wspieramy finansowo również schro-
nisko w Bydgoszczy i Kościerzynie.

— OTOZ Animals prowadzi przytulisko dla
zwierząt gospodarskich uratowanych
interwencyjnie przez naszych inspek-
torów – Rogate Ranczo.
–Każdego roku, w naszych schroniskach, wy-
konujemy ogrom prac budowlanych i remontów.
Na bieżąco budujemy nowe kojce dla psów, drew-
niane wiaty, w których umieszczamy budy. Ratu-
jemy, leczymy, szczepimy, kastrujemy naszych
podopiecznych, oraz dbamy o nich każdego dnia.
Zapewniamy im przede wszystkim miłość, bezpie-
czeństwo, wyżywienie oraz profesjonalną opiekę
weterynaryjną. Każdego dnia szukamy dla nich
nowych domów. Każdego roku ratujemy tysiące



Gizmo i Fant szukają domu

zwierząt: **Przyjmujemy zgłoszenia dotyczące
niehumanitarnego traktowania zwierząt, w tym
zwierząt więzionych na łańcuchach, głodzo-
nych czy bitych...** Tylko w zeszłym roku wykona-
liśmy **5077 interwencji, a w ciągu ostatnich 5 lat
(2018-2022) wykonaliśmy 28 332 interwencji!**
W zeszłym roku znaleźliśmy nowe, kochające
domy dla **6962 zwierząt, a w ciągu ostatnich 5 lat
(2018-2022) oddaliśmy do adopcji: 39 246 pod-
opiecznych.**
Zima to niezwykle ciężki czas dla zwierząt – mro-
zy, duża wilgotność, opady śniegu oraz przeszywa-
jący wiatr dają się we znaki naszym czworonożnym
podopiecznym. Aktualnie w naszych schroniskach



Czika tuż przed uwolnieniem z łańcucha przez inspek-
torów OTOZ Animals

trwają zbiórki karmy mokrej i suchej dla psów i ko-
tów. Każdego dnia przygotowujemy ciepłe posiłki
dla naszych podopiecznych, dlatego potrzebujemy
również suchego makaronu oraz ryżu. Koce, po-
szewki, pościel (niewypełniona naturalnym pierzem),
suplementy podnoszące odporność – to artykuły
pierwszej potrzeby dla naszych zwierząt zimą. Cały
czas trwa zbiórka na nowe, ciepłe budy dla naszych
czworonogów: <https://pomagam.pl/epapm7?fbclid>

- KRS 000069730
- www.otoz.pl

FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

RACZEJ WIERZE, NIZ WIEM

Czy pan jako ateista potrafi przeżywać takie uczucia jak miłość, przyjaźń i poświęcenie?

Jan Woleński*

N

Niedawno uczestniczyłem w dyskusji, w trakcie której jeden z uczestników, katolik i profesor, zadał mi pytanie: „Czy pan jako ateista potrafi przeżywać takie uczucia jak miłość, przyjaźń i poświęcenie?”. Od razu zdałem sobie sprawę, że jeśli odpowiem „tak”, mój rozmówca nie uwierzy, a jeśli „nie” – powiem nieprawdę.

Stanowisko wyrażone w przywołanym pytaniu nie jest rzadkie. Oto inny cytat: „Nie wątpiście nie ma głębszych ciemności aniżeli te, które pojawiają się w duszach młodych ludzi, kiedy fałszywi prorocy gaszą w nich ducha wiary, nadziei i miłości. Największe oszustwo i główne źródło nieszczęścia to złudzenie, że można znaleźć życie z pominięciem Boga; osiągnąć wolność wykluczając prawdy moralne i odpowiedzialność osobistą”.

Często przytaczam te słowa i pytam, kto je wypowiedział. Ponieważ w odpowiedzi jest milczenie, wyjaśniam, że Jan Paweł II (homilia w trakcie Światowych Dni Młodzieży 2002 w Toronto) – zdecydowana większość słuchaczy nie może uwierzyć, że największy autorytet polskiego katolicyzmu wyraził taki pogląd. A oto fragment książki Zofii Zdybickiej „Pułapka ateizmu”, wydanej w 2012 r.: „Pytanie o Boga jest zawsze pytaniem o człowieka, a negacja Boga pociąga za sobą z konieczności negację człowieczeństwa człowieka, co szczególnie ujawnia się w życiu społeczno-kulturowym ludzko-

ści. Potwierdziły to ateistyczny komunizm i niemiecki nazizm, które negując Boga, doprowadziły do największej w dziejach Europy negacji człowieczeństwa człowieka, jego upokorzenia i zbezczeszczenia. Ateizm jako postawa filozoficzna jest skutkiem błędu poznawczego i zakłamuje prawdę o świecie i człowieku, zaś jako ideologia ruchu społecznego-kulturowego staje się czymś niebezpiecznym nie tyle dla Boga czy religii, ile dla samego człowieka”.

Korelowanie ateizmu ze zbrodniczymi reżimami jest typowe dla pewnego typu rozważań o tej postawie, a ci, którzy tak czynią, rzadziej, o ile w ogóle, wskazują na to, że ateistami byli m.in. Camus, Tadeusz Kotarbiński czy Bertrand Russell.

Nie wszyscy katolicy głoszą takie poglądy, ale są one na tyle rozpowszechnione, zwłaszcza u nas, że od czasu do czasu warto zająć się ateizmem jako takim. Przytoczone krytyki traktują ateizm jako błąd poznawczy (teoretyczny) i jako kwestię praktyczną, to jest decydującą o braku właściwej moralności. Tą drugą sprawą nie będę się zajmował. Zwrócę jednak jeszcze raz uwagę na uproszczenie, że „ateistyczny komunizm i niemiecki nazizm, (...) negując Boga, doprowadziły do największej w dziejach Europy negacji człowieczeństwa człowieka”. Przede wszystkim ateizm nie był najważniejszą podstawą

komunistycznej polityki, a żołnierze Wehrmachtu mieli na paskach „Gott mit uns”. Rozumiem, że autorka chciała powiedzieć, że gdyby komuniści i naziści kierowali się religią (komunizm) czy jej właściwym rozumieniem (nazizm), to nie dokonaliby zbrodni, które popełnili. Wszelako można też powiedzieć, że gdyby ci, którzy dokonywali podboju Ameryki Południowej w XVI i XVII w., właściwie rozumieli religię, którą wyznawali, to nie wymordowaliby kilkudziesięciu milionów Indian. Należy zalecać niejaką ostrożność w szafowaniu ocenami motywowanymi własnym światopoglądem i przekonaniem o jego wyższości.

Nie zaprzeczam, że ze strony ateistów, co najmniej od XVIII w., pada mnóstwo bardzo negatywnych zarzutów, także sformułowanych w sposób niezbyt parlamentarny. Jeśli jednak odróżnimy ateizm od bezbożnictwa, jak to proponował Kotarbiński, pierwszy wcale nie musi odsądzać teistów od czci i wiary, by tak rzec.

Ateizm teoretyczny jest negacją istnienia Boga, to jest odrzucanie zdanie: „Bóg istnieje”. Tu potrzebny jest pewien komentarz logiczny. W zdaniu: „Bóg istnieje”, wyrażającym pogląd teistyczny, słowo „Bóg” jest nazwą własną, a „istnieje” – predykatem egzystencjalnym, przypisującym istnienie desygnatowi nazwy występującej w podmiocie.

To nie jest analiza zgodna ze standardem współczesnej logiki. Wedle semantyki dla rachunku predykatów używamy nazw własnych przy założeniu, że są one niepuste, to jest coś oznaczają. W związku z tym zarzuca się ateistom, że nawet nie mogą wyrazić swojego stanowiska, bo aby korzystać ze zdania: „Bóg istnieje”, w celu zaniegowania go, muszą uprzednio uznać istnienie Boga.

Ten argument opiera się na jawnym nieporozumieniu. Rozważane zdanie można przekształcić w „istnieje takie x, że x jest Bogiem”. W konsekwencji wyrażenie „jest Bogiem” stanowi predykat, który może być pusty lub nie. Jeśli ktoś jest teistą, to twierdzi, że jest predykat niepusty, ateista uważa przeciwnie. Ważny element dalszej argumentacji polega, po pierwsze, na zdefiniowaniu predykatu „jest Bogiem”, np. tak jak czyni teologia katolicka głosząca, że Bóg jest bytem absolutnym (niezmiennym), znajdującym się poza czasem i przestrzenią, wszechmocnym, wszechwiedzącym i stwórcą świata (nie twierdząc, że wymienilem wszystkie atrybuty boskie – moja ograniczona wiedza w zakresie teologii nie daje podstawy, aby autorytatywnie wypowiadać się na temat własności Boga).

Dopiero gdy wykona się tę pracę analityczną, można przejść do dowodu, że byt spełniający podane warunki istnieje. Tutaj pojawia się druga kwestia, mianowicie



**Mam pytanie o dystrybucję
zła i cudu w świecie.
Proponuję przemyślenie
napisu na ścianie obozu
w Bełżcu: „Mamo, przecież
byłem grzeczny”**

ustalenie ciężaru dowodowego. Mamy dwa zdania: „Istnieje takie x, że x jest Bogiem”, „Nieprawda, że istnieje takie x, że x jest Bogiem”. Ciężar dowodowy polega na wskazaniu, które ma podlegać dowodzeniu. Wielu teistów uważa, że wybór jest obojętny, a jeśli tak, to można oczekiwać, a nawet postulować, aby ateista udowodnił swoje przekonanie o nieistnieniu Boga. To postulat bezzasadny, ponieważ nie dowodzi się negatywnych zdań egzystencjalnych (orzekających o nieistnieniu danych obiektów, np. gdy można wykazać, że są sprzeczne w tym sensie, że nie istnieje liczba wymierna będąca pierwiastkiem kwadratowym z liczby 2) lub gdy są empiryczne powody dla odrzucenia ich istnienia (góra wyższa od Mount Everestu).

Co pozostaje w tej sytuacji? To, że teista powinien podać dowód istnienia Boga, a ateista starać się zakwestionować taką argumentację. W historii podawano dowody dedukcyjne lub jakieś inne argumentacje, np. historyczne (powołanie się na relacje ewangelistów), czy formułę: „Jeśli Boga nie ma, to wszystko wolno” (argument Kanta-Dostojewskiego w sformułowaniu Kołakowskiego), a także twierdzono, że sam akt szczerej wiary, bezpośredni kontakt z Bogiem (doznania mistyczne) czy zdarzenia cudowne (w sensie przekraczania praw przyrody) stanowią dowody.

Nie widzę powodu, abym akceptował argument ze szczerej wiary. Nie przeczę, że takowa jest, ale stanowi własność konkretnego człowieka, nie moją. Podobnie jest z mistyką czy cudami. Rozumiem, że niespodziewane wyzdrowienie dziecka po gorącej modlitwie może przekonać do uznania istnienia Boga. Mam jednak pytanie o dystrybucję zła i cudu w świecie. Proponuję wizytę w Pomniku Dzieci w Yad Vashem w Jerozolimie czy przemyślenie rozpaczliwego napisu na ścianie obozu w Bełżcu: „Mamo, przecież byłem grzeczny”.

Gdzie był wtedy Bóg? Argument Kanta-Dostojewskiego polega na przejściu od zdania: „Boga nie ma”, do zdania: „Wszystko wolno”. Pierwsze jest opisowe, drugie normatywne (deontyczne). Zgodnie z logiką zdania normatywne nie wynikają logicznie z opisowych. Trzeba coś dodać, mianowicie, że moralność pochodzi od Boga, ale to zakłada, że taki byt istnieje.

Dla uniknięcia nieporozumień od razu zaznaczam, że nie neguję roli religii w kształtowaniu moralności – lecz ona zakłada tylko, że ludzie wierzą w istnienie Boga jako prawodawcy moralnego, a nie, że istnieje.

Dowody historyczne nasuwają taką wątpliwość, że niby dlaczego wierzyć jednym dokumentom, a nie innym. Na pewno Stary Testament, Nowy Testament i Koran są częściowo dokumentami historycznymi, ale z tego nie wynika, że wszystkie stwierdzenia znajdujące się w tych źródłach są wiarygodne.

Dowody dedukcyjne są najbardziej filozoficzne – dzielą się na ontologiczne (np. Anzelm z Canterbury) i kosmologiczne (np. Tomasz z Akwinu). Pierwsze wywodzą egzystencję wprost z pojęcia Boga – mamy pojęcie doskonałego Boga, istnienie jest doskonałością, a więc Bóg istnieje. Drugie opierają się na przesłankach stwierdzających: tak a tak mają się rzeczy w świecie, np. każdy byt ma przyczynę, a skoro tak, to istnieje przyczyna wszystkich rzeczy.

Jednak żaden z dowodów dedukcyjnych nie ostał się krytyce. Zaraz po ogłoszeniu dowodu Anzelma zauważono, że w podobny sposób można udowodnić istnienie najdoskonalszej krainy. Rozważmy taki schemat (nawiązanie do argumentów Tomasza z Akwinu przez Russella): „Jeśli każdy byt ma swoją przyczynę, to istnieje przyczyna wszystkich bytów”. To rozumowanie niepoprawne, o czym świadczy zdanie: „Jeśli każdy człowiek ma matkę, to istnieje matka wszystkich ludzi”. To oczywiście za mało, aby wykazać błędność Tomaszowych dowodów, lecz łatwo zauważyć, że korzystał on z rozmaitych dodatkowych założeń, w tym błędnych przesłanek zaczerpniętych z fizyki Arystotelesa.

Niektórzy teiści powiadają, że argumenty Tomasza nie są dowodami w ścisłym sensie tego słowa, ale drogami mającymi utorować drogę wątpliwego czytelnika do uznania istnienia Boga. Taka interpretacja jest wątpliwa, gdyż pięć Tomaszowych dróg ma strukturę sylogizmów z wyraźnie zarysowanymi przesłankami i konkluzjami, a więc można przyjąć, że wedle Tomasza z Akwinu wnioski wynikają z przyjętych konkluzji. W ostatnich dziesięcioleciach opracowano wiele nowych dowodów kosmologicznych, np. z tzw. inteligentnego projektu. Nie będę ich tutaj rozważał, tym bardziej że pewne kwestie poruszyłem w tekście pt. „Na czym polega działanie Stwórcy i czym jest materiał, z którego stwarza”.

Powyższy krótki przegląd sposobów uzasadniania Bożej egzystencji uzasadnia stwierdzenie, że ateista ma powody, aby uważać stanowisko teistyczne za nieuzasadnione. Zofia Zdybicka pisze tak: „Ateiści lubią wykazywać niedostateczność tradycyjnych dowodów istnienia Boga i rze- czywiście, jeśli przyjmuje się inne dowody niż typu matematycznego albo nauki empirycznej, to nie ma wystarczającego dowodu, lecz pewne dowody wymagają metafizycznego rozważenia, kiedy prowadzi ono aż

poza dialektyczny dowód, aż do samej istoty dowodu”. Jako ktoś, kto stara się stosować logikę (w zwykłym rozumieniu, a nie metafizyczną) w filozofii, nie mogę zgodzić się z takim stanowiskiem, ponieważ operuje mętnym pojęciem dowodu.

To jednak nie znaczy, że ateista udowodnił nieistnienie Boga, ponieważ z powodów wyżej podanych taki dowód jest niemożliwy. Nowi ateiści (jak Daniel Dennett czy Richard Dawkins) uważają, że wykazali nieistnienie Boga, ale ich przekonanie opiera się na przesłance, że „wszystko, co istnieje, należy do świata naturalnego, a więc jeśli twierdzimy, że coś istnieje, musi to wynikać z rozważań o tym świecie i mieścić się w nim”. To jest jednak bardzo mocna przesłanka filozoficzna stanowiąca jedną z głównych tez naturalizmu. Tylko przy takim założeniu można twierdzić, że nauka dowodzi nieistnienia Boga.

Moje stanowisko jest mniej radykalne. Zgadzam się, że przy normalnym rozumieniu dowodu udowodnienie istnienia takiego bytu jak Bóg nie jest możliwe. Bóg nie jest ani obiektem matematycznym, ani empirycznym, a ta okoliczność sprawia, że dowód egzystencji bytu niematematycznego i pozaempirycznego nie jest możliwy na podstawie przesłanek naukowych. Nie widzę jednak powodu, aby refleksję nad światem ograniczać tylko do nauki. Jeśli zgodzimy się z tym, możliwe są argumentacje, a nawet dowody przemawiające za istnieniem Boga oparte na założeniach metafizycznych czy moralnych. Kto jednak je proponuje, nie może żądać od ateisty, aby uznał założenia, na których takowe rozumowania są oparte. I odwrotnie, ateista nie może domagać się od teisty, aby ten zgodził się na ograniczenie zasobu argumentów do nauki, chyba że z góry założy się, że sprawa dotyczy naukowego dowodu na istnienie Boga.

Moja postawa da się streścić tak: z czysto teoretycznego punktu widzenia jestem agnostykiem, to jest twierdząc, że istnienia Boga nie daje się ani udowodnić naukowo, ani obalić. Jednakże taki agnostycyzm jest postawą negatywną – wyraża się w zdaniach przeczących, mianowicie: „Nie widzę możliwości dowodu, że Bóg istnieje”, „Nie widzę możliwości dowodu, że Bóg nie istnieje”. Trudno jednak opierać światopogląd na stwierdzeniach negatywnych, dlatego dodaję do tego tezę pozytywną: „Uważam (sądzę), że Bóg nie istnieje” (celowo nie użycyłam słów „twierdząc” i „wiem”, bardzo mocnych epistemicznie). Pozytywny pogląd opieram na tym, że, po pierwsze, nie jestem przekonany argumentami teistów za istnieniem Boga i sądzę, że nie pojawiają się nowe, po drugie, założenie istnienia Boga nie jest mi potrzebne do rozumienia świata przyrody, a po trzecie, presumpcja ta nie jest mi potrzebna do rozumienia świata ludzkiego, w szczególności zasad moralnych.

Teiści często powiadają, że ateizm w gruncie rzeczy jest czymś podobnym do wiary religijnej, a nawet religią bez Boga. Trzeba tutaj zauważyć, że pojęcie wiary ma długą historię. Grecy mówili o „pistis”, zaufaniu, a Rzymianie przetłumaczyli to słowo jako „fides”. Dopiero chrześcijaństwo dokonało identyfikacji pojęć „fides” i „religio”. Każdy człowiek potrzebuje wiary i pokłada zaufanie w czymś lub kimś. Ateista nie jest żadnym wyjątkiem w tej mierze. W tej sytuacji zdanie: „Uważam, że Bóg nie istnieje”, może być przełożone na: „Wierzę, że Bóg nie istnieje”, wyrażające zaufanie do takiego świata, w którym Boga nie ma.

Czy taka postawa jest zasadna, to zupełnie inna sprawa, ale podobnie ma się sprawa z zaufaniem do rzeczywistości z Bogiem, zważywszy ogrom zła, jaki zdarza się na tym leż padole. Skrajny ateista jest skłonny rzec: „Wiem, że Boga nie ma”, a skrajny teista: „Wiem, że Bóg jest”. Uważam te oświadczenia za niewłaściwe, ponieważ kwestie religijne nie powinny być wyrażane za pomocą tak mocnych operatorów epistemicznych – bardziej właściwe są formuły ze słowem

„wierzę”. Pogląd agnostyczno-ateistyczny starałem się zarysować wyżej, natomiast jego teistycznym odpowiednikiem jest fideizm, pogląd, że źródłem przekonania o istnieniu Boga jest wiara, a nie wiedza. Godzi się zauważyć, że oficjalny pogląd Kościoła katolickiego jest teizmem skrajnym.

Ocenia się, że obecnie jest około miliarda ludzi deklarujących się jako niewierzący czy też ateiści i nieprzynależnych do żadnej denominacji religijnej. To jedna z najliczniejszych grup ludzkich określonych przez stosunek do religii. Jej przedstawiciele traktują religię jako zjawisko naturalne, czyli z tego świata. Jest ona elementem systemu kontroli społecznej, razem z prawem, moralnością i obyczajami. Wyjaśnienie jej genezy należy do historyka, socjologa, antropologa kultury, psychologa czy nawet biologa (koncepcja genu religijnego); można też mówić o religioznawstwie jako interdyscyplinarnej dziedzinie studiującej rozmaite aspekty zjawiska religijnego. Jest też filozofia religii zajmująca się większością kwestii poruszanych w niniejszym szkicu, a także teologia rozpatrująca religię z punktu widzenia prawd wiary.

Wielu ateistów zgadza się z poglądem, że geneza religii nigdy nie zostanie wyjaśniona do końca, podobnie jak pochodzenie prawa, moralności czy obyczajów. Ateiści bardzo często traktowali religię jako zło społeczne, które trzeba zwalczyć nawet ogniem i mieczem. To jednak nie wypływa z ateizmu jako takiego, ale z jego związku z takimi lub innymi poglądami społeczno-politycznymi. Podobnie jest zresztą w przypadku stosunku teistów do ateistów i wzajemnych relacji pomiędzy różnymi wyznaniem.

Ateista bynajmniej nie musi zaprzeczać kulturotwórczej roli religii, np. temu, że cywilizacja europejska wspiera się trzech filarach, mianowicie filozofii greckiej, prawie rzymskim i religii chrześcijańskiej, nie ma powodu, aby negować religijne inspiracje w polityce, sztuce, literaturze czy muzyce. Nie ma nic dziwnego w tym, że religia wiele razy łagodziła obyczaje. Podobne oceny można sformułować wobec innych elementów kontroli społecznej, a to wszystko świadczy o tym, że odgrywają jakieś istotne role społeczne i może dlatego powstały. Jednakże nie ma żadnego powodu, aby pomijać negatywne, a nawet zbrodnicze strony funkcjonowania systemów religijnych.

Nie ma na to rady i zapewne długo nie będzie. Polemika ateistów z teistami i na odwrót – jako paradygmatyczny przykład kontrowersji światopoglądowej – generuje ostry język, często nienawistny. Moim zadaniem było pokazanie, że ateizm niejedno ma oblicze. ●



FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jan Woleński

• ur. w 1940 r., filozof, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, laureat Nagrody Fundacji Nauki Polskiej, autor prac o szkole lwowsko-warszawskiej i zastosowaniach logiki w filozofii

M

Mam nadzieję na przełom w myśleniu Ukraińców.

Znów się będziemy uśmiechać, zrozumiemy, że nadal mamy szansę na zwycięstwo

**Z JURIJEM ANDRUCHOWYCZEM,
UKRAIŃSKIM PISARZEM, ROZMAWIA
MICHAŁ NOGAŚ****Od września obie działające w Ukrainie Cerkwie – prawosławna i greckokatolicka – przeszły na kalendarz nowojuliański. W tym roku po raz pierwszy zasiądziemy do wigilijnych stołów w tym samym dniu...**

– Choć zapewne w zupełnie innych nastrojach. Wojna trwa kolejny rok, weszła w bardzo trudny okres. Mamy coraz mniej broni, wsparcie krajów Zachodu słabnie. Pojawiła się i rozwija skrzydła zbiorowa frustracja. To niewątpliwie odbija się na atmosferze przy świątecznych stołach, ale ja mam nadzieję, że jednocześnie dojdzie do jakiegoś przełomu w myśleniu Ukraińców – otrząśniemy się z panującej niewiary, znów się będziemy uśmiechać, zrozumiemy, że nadal mamy szansę na zwycięstwo.

Co twoim zdaniem jest źródłem tej niewiary?

– Chyba najważniejsze jest zachowanie naszej władzy, która nadal posługuje się w swoim przekazie stylistyką szybkiej wygranej w wojnie z Rosją. Na początku tego roku rozbudziła społeczne oczekiwania, zapowiedziała szybką i skuteczną kontrofensywę, która doprowadzi do rychłego zakończenia konfliktu. Dziś ludzie przypominają te słowa, nie szczędząc krytyki i nie kryjąc irytacji. Szef wywiadu wojskowego na początku wiosny zapowiadał, że w maju będziemy pili kawę na Krymie, bo la-da chwila tam dotrzemy. To się okazało niemożliwe do zrealizowania, więc trudno się dziwić rozlewającej się frustracji.

Równocześnie trzeba pamiętać, że odpowiedni czas na przeprowadzenie skutecznej kontrofensywy straciliśmy w znacznym stopniu dzięki opieszałości zachodnich partnerów. Zbyt długo rozważali, czy dać nam czołgi, a jeśli tak, to ile i jakie. Być może niektórzy w ogóle zastanawiali się nad tym, czy na pewno potrzebujemy tego sprzętu. Gdyby cała ta pomoc ruszyła w lutym ubiegłego roku, zaraz po rozpoczęciu drugiej fazy rosyjskiej inwazji, byłibyśmy dziś zapewne w zupełnie innym punkcie wojny. Można by było mówić o satysfakcjonujących efektach działań ukraińskiej armii.

Ale też trzeba przyznać, że wróg uczy się na własnych błędach. Jego system obrony na południu Ukrainy jest coraz bardziej skuteczny, dostał – jak się okazało – wystarczająco dużo czasu na zbudowanie kilku linii oporu oraz zaminowanie całej przestrzeni. Zamiast o tym mówić wprost, realnie patrzeć na rzeczywistość, miesiącami nakręcano propagandę sukcesu, która zupełnie nie odpowiadała faktycznym zdarzeniom na froncie.

Nie załamuję jednak rąk, w końcu przecież wydarzy się coś, co wpłynie na zmianę nastrojów społecznych. Być może będzie to sukces na jakimś odcinku? To wystarczy, byśmy odzyskali wiarę. I chcę zapewnić, że mimo tych wszystkich problemów nie ma

w Ukrainie myśli o kapitulacji, zawieszeniu broni na warunkach proponowanych co jakiś czas przez Putina, zakończeniu wojny czy zgodzie na utratę choćby kawałka terytorium. Realistycznie patrząc, każda z tych opcji będzie oznaczała zwycięstwo Rosji.

Zatrzymajmy się na chwilę przy twojej ocenie działań państw zachodnich...

– Początkowo wyglądało to bardzo dobrze i naprawdę obiecująco. Zachód zdawał się rozumieć coraz więcej i decydował się na zwiększanie pomocy dla Ukrainy. Jest jasne, że było to także działanie w interesach Unii Europejskiej i NATO, przecież wszyscy trzeźwo myślący zdają sobie sprawę z tego, kto rządzi na Kremlu. Gdyby ten trend się utrzymał, nasilał, zapewne byłibyśmy dziś w innym momencie tej wojny. Rosja byłaby znacząco osłabiona.

Ale niestety ten rok przyniósł spowolnienie. Politycy w wielu krajach zaczęli odczuwać i pokazywać zmęczenie tematem Ukrainy, ich wyborcy najwyraźniej też – jedno zapewne wynikało z drugiego, spojrzeli na sondaże i okazało się, że ludzie powoli przywykli do wojny w Europie. Zwłaszcza że przecież ich życie wciąż nie jest bezpośrednio zagrożone.

Dla mnie początkiem tej mało przyjemnej i, przyznaję, niełatwej do zrozumienia fazy działań Zachodu był szczyt NATO w Wilnie. Spodziewałem się, tak jak większość Ukraińców, że nasz kraj zostanie zaproszony do Sojuszu Północnoatlantyckiego i że rozpoczną się negocjacje lub przy-

najmniej pojawi się obietnica ich rozpoczęcia w dającym się przewidzieć okresie. To zadziałałoby demotywująco na Putina, wytrąciłoby mu z ręki argumenty. Tymczasem wyszło na to, że Zachód postanowił go dodatkowo nie irytować. Jakby było jeszcze cokolwiek do stracenia... Oczywiście dopóki on nie przekroczy czerwonej linii, czyli dopóki nie zaatakuje jakiegokolwiek państwa NATO, dopóty można się ludzić, że ten człowiek się zatrzyma. Są to płonne nadzieje, on wie, że nie ma już odwrotu.

Gdyby zdecydował się na atak na jakiegokolwiek państwo Sojuszu...

– Wszyscy uważamy, że wtedy natychmiast NATO ruszyłoby na Moskwę, prawda? Że doszłoby do wojny totalnej. Ja nie mam takiej pewności. Wiem, że istnieje artykuł 5, że on zobowiązuje wszystkich członków Sojuszu Północnoatlantyckiego do reakcji. Ale założmy, że pewnego dnia rosyjska rakieta – a zapowiadał to przecież jeden z kremlofskich ideologów – spadłaby na Poznań. Czy całe NATO, zjednoczone po obu stronach Atlantyku, uderzyłoby na Rosję? Wiesz, śmiem wątpić. Zabrakło im odwagi nawet na gest – mogli nas zaprosić do Sojuszu, a potem zaznaczyć, że poważne rozmowy rozpoczną się po zakończeniu wojny, bo dopiero wówczas możliwe będzie przeprowadzenie koniecznych procedur. Przecież wtedy wydzwięk szczytu w Wilnie byłby zupełnie inny, a Putin dostałby jasny sygnał. Nawet tego nie dostaliśmy.

Wszystko to musiało się prezydentowi Rosji bardzo spodobać, odzyskał rezon. Upewnił się jedynie w poczuciu, że może eskalować, że nadal jest tym, kim był przed początkiem drugiej fazy agresji, że się go boją i jednak się z nim liczą. Putin uznał, że on też może dyktować warunki, narzucać swoje prawa – i w takim właśnie momencie wojny obecnie jesteśmy, taki mamy układ sił międzynarodowych.

W jaki sposób Putin może eskalować?

– Myślę, że czytelnicy „Wyborczej” dotarli do informacji, że w budżecie państwowym Rosji na 2024 r. zapisano siedmiokrotnie – powtórzę: siedmiokrotnie! – większe niż dotychczas wydatki na armię. Chyba nie muszę wyjaśniać, co to oznacza. Putin stawia na to, by jego – jak uważa i w co pozwolił wierzyć wielu państwom – potęga wojskowa trwała. Jest jasne, że on sam z siebie w Ukrainie się nie uspokoi, a jeśli osiągnąłby sukces w tej fazie wojny, pójdzie dalej. Najpierw zainteresuje się Mołdawią, później – jak sądzę – krajami bałtyckimi. To będą jego kolejne cele. Ale to go nie zadowoli. On marzy nie tyle o odtworzeniu panowania Kremla nad terenem dawnego Związku Radzieckiego, ile raczej o tym, by być jak dawny car i takimi ziemiami władać. Dlatego kawałek Finlandii też by go pewnie zainteresował.

Wiem, że to spekulacje, przecież na razie Ukraina stawia mu opór. Jednak jeśli dobrajanie naszej armii będzie się zmniejszało, jeśli będzie trwało coraz dłużej, a z ko-



Otrząśniemy się z niewiary

FOT. MARTYNA NIEĆKO / AGENCJA WYBORCZA.PL



lei Putin będzie dostawał lub kupował broń w państwach, które nie nałożyły na niego embarga, to nie trzeba być prorokiem, by przewidzieć ciąg dalszy. Jedno jest więcej niż pewne – on nie zejdzie już nigdy z wojennej ścieżki. Może i teraz jego armia nie jest druga na świecie, poniosła spore straty, lecz to nie sprawi, że on przestanie marzyć, by była pierwsza, najpotężniejsza.

Mówilem o znuczeniu obywateli państw zachodnich wojną w Ukrainie. To przykry proces, ale widać, że im dalej są od tego, co dzieje się w moim kraju, tym mniej ich nasz los obchodzi. Najbardziej zaangażowane są kraje, które w jakikolwiek sposób sąsiadują z Rosją: Polska, Litwa, Łotwa, Estonia, Finlandia. Ale już takie Węgry czy Słowacja zdecydowały się odwrócić głowy. Więcej, czują się bardzo komfortowo.

Orbán ściska się z Putinem, Fico nie jest zwolennikiem słowackiego zaangażowania w próby zakończenia wojny...
– A w Austrii, leżącej wygodnie w środku Europy, to już w ogóle żadnych obaw przed Kremllem, żadnych agresywnych sąsiadów. Wydaje mi się jednak, że od tego są trzeźwo myślący politycy, by wyjaśniać ludziom powagę sytuacji i mobilizować ich do działań na rzecz wspierania tych, którzy padli ofiarą agresji. Przecież to banał, ale powtórzę: ten pokojowy ład w Europie, który wydawał się być od wiełu lat na zawsze, już się zatrząsł w posadach i raczej szybko się to wszystko nie uspokoi. Do tego nie najlepszy czas przeżywa teraz Joe Biden i cała Ameryka. Na prezydenta spadło wiele problemów, i to z różnych stron, co bardzo jest na rękę jego przeciwnikom, nie tylko w Stanach Zjednoczonych. Kraj, który jest liderem wolnego Zachodu, oraz jego przywódca zaczynają powoli przypominać kulawą kaczkę. To jaką on ma realną siłę, by przekonać wszystkich do dalszego wspierania Ukrainy? Próbuje, ale przecież wiemy doskonale, że i Republika-

nie jako partia, i ich przedstawiciele w Kongresie blokują działania Bidena, ostatnio znów nie pozwolili na przekazanie tak bardzo nam potrzebnego wsparcia. Zamiast tego słychać za oceanem, by w końcu „zakończyć tę strzelaninę w Europie i porozumieć się z Putinem”.

Może to w rzeczywistości chodzi nie o zmęczenie, może to jest całkowita utrata uważności i błędne pojmowanie interesów całego demokratycznego świata?

Jak dziś, blisko dwa lata po rozpoczęciu drugiej fazy wojny w Ukrainie, wygląda codzienność w twoim mieście, w Iwano-Frankiwsku?

– Różnie, w zależności od tego, czy i jakie ktoś poniósł na tej wojnie straty. Ale na pierwszy rzut oka wszystko, zdaje się, toczy się w miarę normalnie. Ludzie starają się żyć swoimi sprawami, na deptaku jest pełno, otwarte są restauracje, kawiarnie, sklepy, powstają kolejne centra handlowe. Trwają budowy kolejnych dzielnic mieszkaniowych. Gdyby ktoś nagle wybudził się ze śpiączki, być może nie dałby wiary, że jesteśmy w stanie wojny.

Ale wystarczy wyjść na główny deptak Iwano-Frankiwska, by trafić na wystawę zdjęć ofiar. To są portrety mieszkańców, którzy już nigdy do nas nie wrócą. Polegli w różnym wieku, głównie mężczyźni, ale straciliśmy też wiele kobiet... Ktoś miał 19 lat, ktoś inny 59, ktoś był szeregowcem, ktoś dowódcą. Tych zdjęć jest coraz więcej, niedługo zabraknie miejsca na kolejne. Mijanie tych twarzy sąsiadów boli, rozrywa serce, ale z drugiej strony nie pozwala nam zapomnieć.

Byłem już na kilku pogrzebach synów moich przyjaciół. Potwornie trudne doświadczenie, Michał. Na jednej ze styp ktoś głośno powiedział: „Jest z nami pisarz Jurij, może być coś tak od siebie?”. Ścisnęło mnie w gardle, po raz pierwszy w życiu zabrakło mi słów! Cokolwiek bym powiedział, byłoby nie na miejscu. Mówić o bohaterstwie, oddaniu życia za ojczyznę? O tym, że znałem chłopaka od początku jego życia? Że się bał z moimi dziećmi? Ucisnąłem jego rodziców, trwaliśmy w milczeniu.

Myślę dzisiaj o tym, jak nagle i gwałtownie wywróciło się nasze życie w Ukrainie. Wolny świat już praktycznie był na wyciągnięcie ręki, tymczasem znów tkwimy w okopach. Narzekaliśmy często na nasze życie, a teraz to, co było przed, wydaje się wspaniale. Gdy zaczęła się pierwsza faza wojny, w 2014 r., i gdy zaczęła się tlić przez kolejne lata, gdy traciliśmy bardzo niewielu ludzi, tkwiliśmy w uśpieniu. Ludzie przywykli, zaklinali rzeczywistość, że nic się nie dzieje. Wiele Ukrainek i wielu Ukraińców wyjechało do pracy na Zachód – do Polski i dalej, zaczynali życie w nowym miejscu od zera. Całe społeczeństwo działało tak, jakby Putin nam nie zagrażał każdego dnia. To też w istotnym stopniu zadecydowało o zwycięstwie Wołodymyra Zełenskiego i jego partii w wyborach w 2019 r. Gdybyśmy realnie patrzyli na to, że eskalacja jest realna, pewnie wygrałby ktoś inny.

Na Zachodzie uważany jest za prawdziwego męża stanu, wojownika. A co mówią o nim pod koniec 2023 r. Ukraińcy?
– Bardzo dużo zyskał na początku wojny, przed 24 lutego 2022 r. poparcie miał dramatycznie niskie. Ale to, że został w kraju, nie wyjechał z Kijowa, że komunikował się z narodem, pojawiał się w wojskowych spodniach i butach, w czarnej bluzie z godłem Ukrainy, wszystko to zrobiło na ludziach ogromne wrażenie. Muszę też przyznać, że skrzywdziłem Zełenskiego w myślach – gdy już było jasne, że dojdzie do inwazji na całą Ukrainę, że Rosjanie będą chcieli szturmem wziąć Kijów, podejrzewałem, że prezydent wyjedzie z kraju i że już nigdy więcej o nim nie usłyszymy. Zachował się może nie bohatersko, lecz z pewnością nieoczekiwanie dobrze. Mówił, że nie chce azylu, chce broni.

Wsparcie dla Zełenskiego było wtedy absolutne, swoją postawą zjednał sobie i pogodził wszystkich Ukraińców, tych w kraju i tych na emigracji. Politycy przestali się

klócić, prezydent był najwyższym autorytetem, zwrócił na nas uwagę Zachodu, stał się bohaterem całego wolnego świata.

Pod koniec grudnia 2023 r., gdy trwa kolejna wojna – na Bliskim Wschodzie – a Ukraina zesza z pierwszych stron światowych gazet, jest inaczej. Nie wszystko się Zełenskiemu udaje, świat nie jest dla niego aż tak przychylny jak 22 miesiące temu. Wróciła też polityczna codzienność, znów w parlamencie i w telewizji toczą się gry polityczne, jakby Rosjanie nigdy nie zagrażali Kijowowi. Zwalczają się współpracownicy głowy państwa, tarcia mają miejsce nawet w jego biurze, które zresztą nazywane bywa przez wielu office, tak z angielskiego. Kraj co jakiś czas huczy od plotek, że Zełenski zazdrości popularności i skuteczności generałowi Walerijowi Żalużnemu, naczelnemu dowódcy Sił Zbrojnych Ukrainy. Zwolni go czy nie zwolni, a jeśli tak, to jak dalej będziemy prowadzić wojnę?

Prezydent dziś obiecuje nam zwycięstwo, przystąpienie do Unii Europejskiej i do NATO. Przyznasz, że nie jest to łatwy plan polityczny.

Świat nie jest tak przychylny dla Wołodymyra Zełenskiego jak 22 miesiące temu

W ostatnich miesiącach pogorszyły się relacje polsko-ukraińskie na szczeblu rządowym. Nowa władza mówi, że walka o obecność Kijowa we wspólnocie zachodnich demokracji będzie jednym z najważniejszych założeń jej polityki zagranicznej, tak jak wspieranie Ukrainy w zdobywaniu pomocy niezbędnej na dozbrajanie armii.

– Nie będę ukrywał, że dało się zauważyć, iż wątek ukraiński był jednym z tych często poruszanych w czasie kampanii wyborczej w Polsce. Ale Ukraińcy są dojrzałym narodem, na prawdę. Nie obrażaliśmy się na jakieś przejawy chamstwa, wytrzymaliśmy z pokorą ten trudny czas. Wiemy z własnych doświadczeń, co politycy są w stanie powiedzieć w czasie walki o władzę i jak często później tego żalują.

Zaczynają się święta, pierwsze takie w historii – w Ukrainie i w Polsce w tym samym czasie. Nierzadko przy jednym stole spotkamy się wspólnie. Nie ma jednak sensu udawać. Obecne są także w Polsce, dziś być może silniej niż kilka lat temu, nastroje antyukraińskie...

– No są. Wiesz, jak sobie tłumaczyć? Że jest tak prawdopodobnie dlatego, bo Ukraińcy całkiem nieźle radzą sobie z wojną. Armia mimo problemów bije się dzielnie, państwo funkcjonuje, rząd i prezydent nie uciekli, stolica nie upadła – przetrwaliśmy i istniejemy. Gdyby wyszło inaczej, zapewne mielibyśmy

do czynienia ze stuprocentową empatią, tak jak to miało miejsce zaraz po 22 lutego 2022 r., gdy wydawało się, że Rosjanie zdobędą Kijów, niepodległa Ukraina przejdzie do historii, a wszystkie uchodźczynie z dziećmi na zawsze zostaną w Polsce.

Życie napisało inny scenariusz, okazało się, że wielu Ukraińców dzieli je dziś między swój kraj a Polskę, część osiadła u was na stałe. I to obudziło lęki, fobie, słyszałem nawet, iż ktoś powiedział, że po to doszło do wojny, byśmy mogli przejąć polski rynek pracy! Albo że skoro jest pat na froncie, to może by ci kierowcy ciężarówek pojechali walczyć, zamiast stać na granicy?

Przykro się tego słucha, przyznaję. Zresztą – nie idzie tu o jakiekolwiek usprawiedliwianie postaw części polskiego społeczeństwa – podobne rzeczy słyszałem kilkanaście dni temu w Ameryce. W niektórych mediach pytano wprost: „Czy nie mogą się bronić sami? Może po prostu Rosja jest silniejsza?”...

– Wyniki przyszłorocznych wyborów w Stanach Zjednoczonych są w tej chwili – i to nie tylko dla Ukrainy – sprawą kluczową. Jeśli wygra Trump, Putin na pewno otworzy szampana. Ale z drugiej strony wcale nie wiemy, jak potencjalny zwycięzca się zachowa. Jest nieprzewidywalny i kapryśny, być może potraktuje tę wojnę jak kolejne pole do prowadzenia interesów. Mocarstwa żyły i żyją z produkcji i sprzedaży broni.

Niezależnie jednak od wyników wyborów w USA i od tego, jak długo będą trwały walki w Ukrainie, to, co zaczęło się blisko dwa lata temu, będzie miało dalekosiężne skutki i zdominuje sytuację międzynarodową na kolejne dziesięciolecia. Być może wojna będzie trwała dekadami w różnych miejscach, jeśli w nadchodzącym roku nie uda się jednoznacznie rozstrzygnąć jej losów, rzecz jasna na naszą korzyść.

Aż boję się mówić o zdrowiu psychicznym nas wszystkich. Front, ostrzał, rany, naloty, alarmy bombowe. To się odbije na przedstawicielach każdego pokolenia, latami będziemy leczyć ludzi z PTSD... Byłem niedawno w Odessie. To piękne miasto żyje pod nieustannym ostrzałem. My, ludzie, w ogóle żadne stworzenie, nie mamy mechanizmów obronnych, by poradzić sobie z życiem w takich warunkach.

W nadchodzącym roku odbędą się letnie igrzyska olimpijskie. MKOL zezwolił, by wzięli w nich udział rosyjscy i białoruscy zawodnicy, którzy zdobędą kwalifikacje. Warunek jest jeden: mają być neutralni, żadnych flag i hymnów.

– Około 600 ukraińskich sportowców, w tym olimpijczycy, zginęło na wojnie i w jej wyniku od 22 lutego 2022 r. Oni już nigdy nie wystartują na igrzyskach, nie będą nieśli żadnej flagi. Tyle, by nie wyjść z równowagi, mam do powiedzenia w tej sprawie. Mdli mnie, gdy słyszę, że przedstawiciele różnych organizacji międzynarodowych mówią, że potrzebny jest ukraińsko-rosyjski dialog. Na warunkach Putina, jak rozumiem?

Czego życzysz sobie, Ukraińcom, Ukrainie, nam wszystkim na święta i na 2024 r.?

– Żebyśmy za 12 miesięcy siadali do wigilijnych stołów w tym samym składzie. Żebyśmy wszyscy przeżyli. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iodi@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirski
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFICY: Dariusz Filipiek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



k

Katia jest jedyną „dobrą Rosjanką”. Tak uważają jej ukraińscy teściowie. Ich zdaniem w blisko 145-milionowej Rosji innych, którzy zasługiwali na to miano, nie ma.

Przynajmniej tak mówią w jej obecności. Kiedy rozmawiają sam na sam z Petrą, swoim najmłodszym synem, są jeszcze bardziej surowi: liczba „dobrych Rosjan” spada wtedy do zera, a to, że krótko przed rozpoczęciem inwazji 24-latek wziął sobie za żonę Rosjankę, pełni funkcję wyrzutu, oskarżenia i pretensji. „Kacpom nie wolno ufać”, „Kraj taki duży, nie byłeś w stanie znaleźć sobie Ukrainki?”, „Będziesz mieć przez to same problemy” – to ich żelazne argumenty. Ale Katia o tym nie wie.

Podobnie jak Petro nie jest świadomy, że babcia dziewczyny przez pierwsze miesiące ich znajomości robiła wszystko, by zniechęcić wnuczkę do poznanego w internecie chłopaka z Ukrainy. „Po co ci chachol?”, „Ukraińcy to cwany i fałszywy naród”, „Jestem już stara, znam życie, banderowcy nas nienawidzą” – mówiła. Po ślubie babcia przestała zabierać głos. Narodowość męża Katii zdaje się nie być dla niej dzisiaj większym problemem, podobnie jak wojna, która przecież „nie zagraża ludności cywilnej” i ma „wyzwolić Ukrainę od nazistów”.

Petro rzecz jasna rozumie, że za słowa jego rodziców, którzy przed 2022 rokiem mieli do Rosjan stosunek „neutralny”, odpowiadają emocje wywołane codziennymi doniesieniami o ostrzałach, zbrodniach wojennych i znajomych poległych na froncie. Wierzy, że kiedy wojna się skończy, Rosjanie zrozumieją, co się wydarzyło, zdobędą się na refleksję i pokajają przed ukraińskim narodem. „Wtedy relacje się zmienią”, uważa.

Katia nie jest przekonana, że to się kiedykolwiek wydarzy. Przyznaje, że pogodziła się z tym, że nie jest w stanie wygrać z propagandą, której od lat poddawani są jej dziadkowie, czerpiący całą wiedzę o świecie z państwowych wiadomości. „Kiedy podczas jednej z ostatnich rozmów z dziadkiem zobaczyłam na ekranie monitora, że na koszulce ma literę Z, popłakałam się”. „Oni mają mózgi wyprane przez propagandę. Dla mnie ważne jest, co myśli i mówi ona, nie jej rodzina. Katii wystarczy ciężko” – dorzuca Petro. Na pytanie, czy stosunek żony do sytuacji ma dla niego znaczenie, bez wahania odpowiada: „Oczywiście. Gdyby był inny, nie byłibysmy już razem”.

I on, i Katia zwracają uwagę, że większość Rosjan żyje w przekonaniu, że wojna albo „ich nie



Miłość ukraińsko-rosyjska

WSTYDZĘ SIĘ, ŻE MAM CHŁOPAKA ROSJANINA

dotyczy”, albo „Putin ma rację”. Tak było zawsze. W odróżnieniu od Petra, który aneksję Krymu wspomina jako moment sfornowania się i umocnienia jego ukraińskiej tożsamości, Katia o zajęciu przez Rosjan półwyspu w 2014 r. nie myślała w ogóle. Nad tym, czym właściwie jest i była aneksja, zaczęła zastanawiać się dopiero kilka lat temu, kiedy poznani na wakacjach ukraińscy znajomi zapytali ją, jaki ma do niej stosunek. „W domu w ogóle o tym nie rozmawialiśmy. Dopiero kiedy zaczęłam czytać Wikipedię, i to w dodatku brytyjską czy

ukraińską, a nie rosyjską, dotarło do mnie, że to było pogwałcenie prawa”, wspomina. Wtedy też zupełnie inaczej zaczęła postrzegać Ukrainę, dostrzegając różnice między ukraińskim a rosyjskim społeczeństwem. „Podobało mi się to, że oni mają odwagę, by o sobie zaważać, sprzeciwić się władzom. U nas wszyscy się boją”.

Pod koniec 2021 r. zakochana 27-latką zaledwie po kilku miesiącach znajomości zostawiła w Rosji dla swojego ukraińskiego chłopaka pracę, własne mieszkanie, przyjaciół

i rodzinę, by – z kotem oraz dwiema walizkami ciuchów – przeprowadzić się do jednego z miasteczek w centralnej Ukrainie i zamieszkać z ukochanym i jego rodzicami. Szybko okazało się, że to droga w jedną stronę. Ze względu na antywojenne poglądy i obowiązujące w Rosji represyjne przepisy Katia straciła możliwość powrotu do ojczyzny bez ryzyka więzienia. Część członków najbliższej rodziny, otumanionych przez propagandę i popierających „specjalną wojenną operację” oraz „denazyfikację Ukrainy”, zerwała z nią kontakt, a praca

zdalna dla rosyjskiej firmy przestała być możliwa. „Przywykłam, że jestem samowystarczalna, tymczasem teraz utrzymuje mnie mąż. To frustrujące, ale wiem, że nie chcę i nie mogę go zostawić w tak trudnym dla niego i Ukrainy czasie”, opowiada.

Przepisy wprowadzone przez ukraińskie władze po wybuchu tzw. dużej wojny sprawiły, że Katia nie może na razie podjąć pracy ani otworzyć konta w banku, bo jej dokumenty pozwalające na legalny pobyt w Ukrainie straciły po inwazji ważność. Szanse na ich odnowienie są niewielkie. Ka-

tia nie przemieszcza się po Ukrainie, stara się nie rzucać w oczy służbom i wojskowym, bo wie, że kontrola papierów może poskutkować problemami albo i przymusową rozłąką z mężem.

Swojej narodowości jednak przed Ukraińcami nie ukrywa, podobnie jak tego, że stanowczo sprzeciwia się polityce Putina. „Przez cały ten czas tylko dwa razy spotkałam się z wrogim zachowaniem. Ukraińcy wszystko rozumieją, wiedzą, że o człowieku nie świadczy jego paszport”. Petro jest bardziej sceptyczny: „Myślę, że w przyszłości będziemy musieli wyjechać. Z wojny wrócą strauatyzowani ludzie. Skąd mam wiedzieć, co komu przyjdzie do głowy, jeśli dowie się, że Katia jest Rosjanką? Nie wszyscy wierzą w to, że są dobrzy i źli Rosjanie. Odbudowa relacji potrwa dziesięciolecia”.

Ludzie z niezależnej organizacji Families Reunion twierdzą, że wielu osobom z rosyjskim obywatelstwem odmówiono prawa do dalszego pobytu na terytorium Ukrainy. „Obywatele Rosji, by móc zostać w Ukrainie z rodziną, próbują odwoływać się od decyzji służb migracyjnych, ale według naszych informacji w ostatnim roku jedynie w trzech przypadkach sąd rozpatrzył wnioski na ich korzyść. Pozostali spotkali się z odmową ze względu na stwarzanie zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa”, tłumaczy. By zobrazować skalę problemu, Marina, jedna z działaczek, opowiada mi historię Rosjanki, której odmówiono prawa pobytu, mimo że jej mąż, z którym ma małe dziecko, służy w Siłach Zbrojnych Ukrainy. „Przegrała we wszystkich instancjach. Co robić dalej – nie wiadomo”.

Podobnych przypadków jest więcej. Świadczą o tym wpisy, które znajduję na ukraińskim forum dla migrantów. Tamara, obywatelka Ukrainy, opisuje: „Boję się nie tylko wojny, ale i utraty rodziny, bo mój mąż ma obywatelstwo kraju, który zaatakował Ukrainę”. „Po wielu miesiącach wielokrotnych kontroli przez Służby Zbrojne Ukrainy mój mąż usłyszał, że nie otrzyma statusu imigranta i czeka go deportacja. Odwołaliśmy się od tej decyzji. Sądziłyśmy się teraz ze służbą migracyjną i walczyłyśmy o prawo mojego małżonka do pozostania na terytorium Ukrainy, a tym samym o prawo do istnienia naszej rodziny, o naszą przyszłość”.

Jeszcze częściej można się spotkać z historiami, których bohaterów wojna rozłączyła dlatego, że w momencie napaści Rosji przebywali za granicą albo, zgodnie z zaleceniem Służby Migracyjnej Ukrainy, opuścili kraj, nieświadomie pozbawiając się możliwości powrotu.

1 lipca 2022 r., po kilku miesiącach, podczas których rozpatrywanie jakichkolwiek wniosków obywateli Rosji było zawieszono, władze wprowadziły dla nich obowiązek wizowy. „Otrzymałam dzisiaj przez Rosjanina ukraińskiej wizy graniczy z cudem. Do 30 października 2023 wizy wydało 74 osobom. Miałam nadzieję, że większość wnioskodawców otrzyma odmowę. Powód? »Brak uzasadnienia dla wjazdu do Ukra-

iny«”, opowiadają działacze Families Reunion.

Tak było z Aloną. Wyszła za Kostię, poznanego na wakacjach Ukraińca, pięć lat temu, po roku związku na odległość. Kiedy rozpoczęła się inwazja, ani przez moment nie miała wątpliwości, po której stronie leży prawda. Nie zamierzała wyjeżdżać z Ukrainy, a już tym bardziej wracać do Rosji, „kraju, w którym władze uważają się za bogów mających prawo decydować, kto ma żyć, a kto umrzeć”. Kiedy Alonie skończyło się zezwolenie na pobyt, razem z mężem zadzwoniła do służby migracyjnej. „Powiedzieli nam, że powinnam wyjechać na trzy miesiące, a potem złożyć wniosek o wizę. Mówili, że skoro jestem żoną obywatela Ukrainy, nie będą mnie dotyczyć zakazy. Posłuchałam”. Wrócić do Ukrainy jednak jej się nie udało.

Wniosek Alony odrzucono. Musiała wrócić do Rosji. „Większość tych osób ma rodzinę w Ukrainie, ale ich mężowie albo służą w armii, albo nie mogą opuścić kraju ze względu na stan wojenny. Często oznacza to, że Ukraińcy są rozdzieleni nie tylko z żonami, ale i dziećmi, które wyjechały z matkami”, relacjonuje organizacja Families Reunion.

Potwierdza to historia Aleksandry. Pochodząca z obwodu omskiego Rosjanka wyszła za mąż za Wołodymyra, mieszkańca Charkowa, w 2020 r. W listopadzie 2021 parze urodził się syn, a trzy miesiące później, akurat w momencie, kiedy Aleksandra była z dzieckiem w odwiedzinach u rodziców, rozpoczęła się inwazja. Mająca zezwolenie jedynie na pobyt czasowy kobieta straciła możliwość wjazdu do Ukrainy. „Nasz syn nie zna swojego taty, widzi go tylko w telefonie. Nie wie, jak to jest być niesionym przez tatę na barana, jak to jest być z kimś innym niż mama. Mój mąż nie widział, jak nasz syn raczkuje, stawia pierwsze kroki. Nie był na urodzinach naszego syna”.

O to, jak mają żyć rosyjsko-ukraińskie rodziny rozdzielone przez wojnę, pytam Mychajłę Podolaka, doradcę szefa kancelarii prezydenta Ukrainy. „To jest trudne pytanie. Bardzo ważne, by Rosja przegrała wojnę i musiała się ukorzyć, poprosić o wybaczenie. Wtedy łatwiej będzie wyjaśnić tym członkom mieszanych rodzin, którzy są w Rosji, dlaczego Rosja jest winna i co zrobiła Ukraińcom”.

Wiele par deklaruje, że rosyjska narodowość partnera nie jest dla nich problemem. Ukraińcy i Ukrainki podkreślają, że istotna jest postawa i poglądy bliskiej osoby, a nie paszport. Jakie poglądy są „jedynymi słusznymi”? „Świadomość, że wojna jest wynikiem wyłącznie rosyjskiej agresji i że odpowiedzialność za nią ponosi całe społeczeństwo”, wymienia większość moich rozmówców.

Są jednak związki, w których sytuacja jest bardziej skomplikowana.

Julia, studentka lwowskiego uniwersytetu, poznała Iwana przez Instagram trzy lata temu, kiedy zaczęła odwzajemniać lajki stawiane jej zdjęciom przez nieznajomego Rosjanina z Petersburga. Wielogodzinne rozmowy

szybko stały się codziennością, doprowadzając po kilku miesiącach do spotkania, a później kolejnego i jeszcze następnego.

„Zakochałam się bardzo szybko. Andriej jest mądry, przystojny, opiekuńczy. Moi rodzice, a trzeba powiedzieć, że to ukraińscy patrioci, też go polubili. Byłam gotowa wyjechać do Rosji, a nawet przyjąć rosyjskie obywatelstwo. Teraz to dla mnie nie do pomyślenia”, opowiada Julia. Dziewczyna ma nadzieję, że kiedy wojna się zakończy, Andriej przeprowadzi się do Ukrainy. Ale po chwili zamyslenia dodaje, że właściwie nie jest pewna, czy ich związek przetrwa: para nie widziała się od blisko dwóch lat, a rozmowy na temat polityki doprowadzają niekiedy do kłótni. „Staram się na ten temat nic nie mówić, nie jestem politologiem. Dla mnie wojna to jakiś absurd i tragedia. Wiem, że winna jest Rosja. Na początku pokazywałam Julii, co o wojnie pisały rosyjskie media, ale ona wpadła od razu w szal, atakowała mnie, wymagała kategorycznych oświadczeń”, wspomina Andriej.

Petro:
Będziemy musieli emigrować. Z wojny wrócą strauatyzowani ludzie. Co komu przyjdzie do głowy, jeśli dowie się, że Katia jest Rosjanką?

Aleksandra:
Nie pozwolono mi wrócić do Ukrainy. Nasz syn nie zna swojego taty, widzi go tylko w telefonie. Mój mąż nie widział, jak nasz syn raczkuje, stawia pierwsze kroki

Sława:
Teściom bardziej niż ukraińska narodowość przeszkadzały moje chłopskie korzenie

Liza:
Nienawiść Rosjan do Ukraińców nie ma charakteru etnicznego, tylko polityczny. Ale kiedy moi rodzice żartowali z męża, płonęłam ze wstydu, jakby żartowali z osoby czarnoskórej

O tym samym, choć z innej perspektywy, mówi Julia, która uważa, że jej chłopak jest zbyt zachowawczy. „Chciałam, żeby był w tym czasie w Ukrainie i poczuł na własnej skórze, co to znaczy. Miałam wrażenie, że teksty rosyjskich mediów wysła mi specjalnie, żeby podać w wątpliwość to, co mówię. Nie da się nie nienawidzić Rosji, kiedy widzi się zdjęcia martwych cywilów. Boję się, że nienawiść mnie zaślepi i że ta wojna sprawi, że nasza relacja nie przetrwa. Andriej o tym nie wie, ale wstydę się przyznawać dzisiaj, że moim chłopakiem jest Rosjanin”.

le dokładnie rodzin można określić jako rosyjsko-ukraińskie? Na to pytanie nie ma odpowiedzi. „Nie ma ani jednej rosyjskiej rodziny, która nie miałaby ukraińskiego kuzyna, nie ma ani jednej ukraińskiej rodziny, która nie miałaby krewnego w Moskwie”, pisali Sébastien Gobert i Lucien Jacques na łamach francuskiej „Libération”. To oczywiście przesada, ale jeszcze w pierwszej połowie 2014 r. „Moskiewski Komsomolec” donosił, że małżeństwa zawarte między obywatelami Rosji i Ukrainy należy liczyć w dziesiątkach tysięcy. Mariana Beluhla, posłanka rządzącej partii Sługa Ludu, opublikowała w lutym na Facebooku dane służby migracyjnej Ukrainy, z których wynika, że 156 856 Rosjan ma w Ukrainie prawo do pobytu stałego, a 16 443 – tymczasowego.

„Trzeba rozumieć, że nienawiść Rosjan do Ukraińców nie ma charakteru etnicznego, tylko polityczny. Nie wiem jak teraz, ale wcześniej nie było sytuacji, żeby Rosjanin, słysząc Ukraińca, czuł nienawiść czy przejawiał agresję”, mówi Liza, niezależna rosyjska dziennikarka, żona Ukraińca. Przyszłego męża moskwianka poznała w pracy. „Kiedy wychodziłam za mąż, rodzice nie mieli problemu z jego ukraińską narodowością, choć pozwalali sobie na ksenofobiczne żarty. Płonęłam ze wstydu. Równie dobrze mogliby żartować z osoby o czarnej skórze, np. że nie widać jej w ciemności”.

„Ja się nie przejąłem. Zresztą nie odczułem, żeby ich komentarze były rasistowskie, bardziej od mojej narodowości przeszkadzało im moje chłopskie pochodzenie. Poza tym moja pierwsza żona była Białorusinką, jej rodzice popierają Łukaszenkę. Jestem zaprawiony w rozmowach z ludźmi, którzy wierzą propagandzie”, śmieje się Sława.

Ukraińiec przyznaje jednak, że ciepłych uczuć do Rosji ani Rosjan nie miał od dawna, głównie ze względu na historię i traumę Holodomoru, który silnie dotknął jego przodków. „Oglądając mecz, zawsze kibicowałem przeciwnikowi reprezentacji Rosji. I to długo przed 2014. Ale nie mogę powiedzieć, że darzyłem ich nienawiścią, nie jestem rasistą”. Dlatego narodowość Lizy nie miała dla niego znaczenia. „Mój syn z pierwszego małżeństwa, kiedy dowiedział się, że Liza jest Rosjanką, bardzo się przestraszył. Miał wtedy cztery lata i pytał mnie, czy Liza na nas nie napadnie”.

Później ten lęk minął. Nie tylko dzięki charakterowi kobiety,

która pokochała dziecko swojego partnera, ale także za sprawą rozmów na temat sytuacji politycznej i wojny.

Sława wspomina, że pierwszy okres inwazji był dla żony szczególnie trudny. „Czuła się potwornie winna. Myślę, że bardzo trudno jest być dzisiaj Rosjaninem w Ukrainie. Nigdy nie wiesz, na kogo trafisz i jak ten ktoś na ciebie zareaguje”. On sam nie zawsze czuje się pewnie ze względu na jej obywatelstwo. „Mój przyjaciel walczy. Kiedy wrócił z frontu na urlop i zaproponował spotkanie, upewniłem się, czy mogę zabrać żonę. Powiedział, że oczywiście, i zdziwił się pytaniem, ale początkowo nie miałem pewności, że tak właśnie będzie”, opowiada. Po chwili zastanowienia Sława dodaje: „Mam wrażenie, że Liza jest dzisiaj bardziej rusofobiczna niż ja”.

O tym, że Rosjan nie wolno dzielić na dobrych i złych, tylko takich, którzy walczą lub nie walczą po stronie Ukrainy, mówi Aleksandr „Fortuna”, członek RDK, rosyjskiego korpusu ochotniczego, oddziału podlegającego ukraińskiemu ministerstwu obrony. Sześć lat temu ożenił się z Maryną, rodowitą kijowianką. Poznali się na Facebooku. Po roku internetowej znajomości umówili się na spotkanie, potem był ślub w Gruzji i przeprowadzka „Fortuny” do Ukrainy. Do Irpinia.

Aleksandr wspomina, że pierwsze dni wojny utwierdziły go w przekonaniu, że „nic już nie będzie takie jak wcześniej”. Po tym, jak Rosjanie wtargnęli do miasta, razem z żoną zaczął organizować lokalną samoobronę i pomagać w ewakuacji ludności. Kolejne tygodnie umocniły go tylko w decyzji, by walczyć. Tak trafił do RDK, a w ślad za nim jego żona. Gdy on bierze udział w działaniach wojennych, także w akcjach dywersyjnych na terytorium Rosji, Maryna zajmuje się szeroko rozumianą działalnością administracyjną. I za każdym razem, kiedy Aleksandr jest w strefie walk, boi się, że nie wróci. Od początku wojny na pełną skalę bojownicy RDC brali udział w operacjach bojowych w obwodach czernihowskim, kijowskim, chersońskim, zaporoskim i dońeckim. Przeprowadzili również dywersje w Rosji, m.in. w obwodach briańskim i białogrodzkim. „Od tego momentu nie mam kontaktu nawet z matką, która wierzy propagandzie. Dla rodziny jestem ukraińskim nazistą”, mówi.

Kiedy pytam moich rozmówców, czy wyobrażają sobie, by po wojnie rozmawiać z tymi członkami rosyjskich rodzin, którzy ją popierali, słyszę różne odpowiedzi. Od radykalnego „nigdy w życiu” do „oczywiście”. „Pod warunkiem że zrozumieją, co Rosja zrobiła Ukrainie, ukorzą się i przepraszają”. ●

Niektóre imiona zmieniłam na prośbę bohaterów

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

ŚWIĄTECZNY FREESTYLE

MIKOŁAJ MAKŁOWICZ

– pogromca sklepowych
pótek, wizjoner niedzielnych
obiadów, fan Realu Madryt
i czerwonych burgundów

FERDYNAND MAKŁOWICZ

– miłośnik Jasnorzewskiej,
pisania do szuflady
oraz strudla z jabłkami

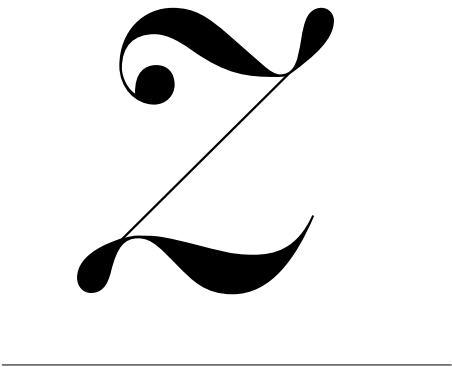
AGNIESZKA MAKŁOWICZ

– producentka, wykonawczyni,
żelazna pięść rodziny

**ROBERT
MAKŁOWICZ**

– łagodny, niegroźny,
brak cech szczególnych

„Nie znam ani jednej młodej
osoby, która by go chciała jeść”
– dwa pokolenia Makłowiczów
klócą się o karpia w galarecie



Z RODZINĄ MAKŁOWICZÓW
ROZMAWIA AGA KOZAK

Mam wrażenie, że Polacy coraz częściej wolą zaglądać innym w talerze niż pod koldrę. A wigilia to taki moment, w którym ludzie podglądać i komentować stoły innych kochają chyba najbardziej. I może słusznie, bo nagle okazuje się, że nie ma sztywnego kanonu bycia „polskim Polakiem”, że ten stół pokazuje ogromną różnorodność pozornego monolitu naszej kuchni i tożsamości. ROBERT MAKŁOWICZ: Że co, że ja odpowiadam pierwszy?

Cała rodzina chórem: Ty! Ty!
R.M.: Ja też, gdy przyglądam się kolacji wigilijnej, widzę parę ciekawych zjawisk, nawet nie tyle kulinarnych, ile socjologicznych, na które wskazują te kulinarne. Przede wszystkim, o czym już wspomniałaś, mamy bardzo różnorodne menu wigilijne w zależności od tego, gdzie kto ma korzenie. I tu nie chodzi o to, gdzie się kto urodził – raczej gdzie się urodzili jego pradiadkowie czy dziadkowie. Dostrzegam też ostatnio taki trend, głównie u wielkomiejskiej klasy średniej – ogranicza się do jednego czy dwóch tradycyjnych dań wigilijnych i całkowicie zmienia to „święte” menu, zazwyczaj zachowując rybę. A ryba skąd jest, każdy wie. Wie? No raczej tak: jest postna i jest symbolem chrześcijaństwa. Tymczasem na stole wigilijnym jest mnóstwo ciekawych potraw, które odwołują się do tego, co nasi przodkowie spożywali w ten dzień przesilenia. Mak, grzyby.

Jednym słowem haluny.
R.M.: I też się właśnie nimi nasi przodkowie oszalałali tego najkrótszego dnia w roku. Chrześcijaństwo, które wkroczyło do naszego kraju setki lat temu, przejmowało daty różnych świąt pogańskich i czasem elementy tych świąt zostawały, wchłaniane przez nastającą obrzędowość. Z przesilenia zostały nam więc mak i grzyby – wtedy halucynogenne, teraz w wersji light – oraz owa ryba... I muszę tu oczywiście od razu wspomnieć o karpiu.

Wątek przegrany...
R.M.: Zgadzam się. W PRL-u ustalono, że rybą na wigilijnym stole będzie karp, dlatego że handel uspołeczniony nie mógł sobie poradzić z dostarczeniem żadnej innej świeżej ryby w takich ilościach. Nałożyło się to z kolei na tradycję żydowską, tyle że nie bożonarodzeniową: „nasz” karp w galarecie to jest przecież gefilte fisz. I nam z tym karpem smakowo średnio idzie, bo traktujemy go wyłącznie rytualnie, więc nie potrafimy tej ryby przyrządzać. A przecież na Węgrzech, w Chorwacji czy w północnych Włoszech jest on przyrządzany mistrzowsko. MIKOŁAJ MAKŁOWICZ: I tu się wtrączę ze swoim rodzinnym sukcesem. Ponieważ z bratem mieliśmy już dość karpia na wigilijną kolację, udało mi się przeforsować – ale najpierw poprzedził to dwu-, a nawet trzyletni lobbing – że będzie jesiotr. Przy okazji tego wywiadu zaczynam z kolei lobbować rodzinę, żebyśmy zrobili harcsapaprikás túrósuscuszával [Mikołaj wyowiada to z prędkością karabinu maszynowego], przepyszny węgierski paprykarz z sumą. Co prawda w tym daniu niebagatelną rolę odgrywają skwarki z mangalicy...

...endemicznej rasy węgierskiej świni domowej hodowanej na Węgrzech, której tłuszcz jest zdrowy i pyszny.

M.M.: Ale można je pominąć! I byłaby to nareszcie jedzeniowo fajna wigilia.

Nareszcie? A co jest złe z tym, co jest u was zawsze na stole?
M.M.: Jest tak nudno! Cały czas to samo, rok w rok! Wigilia nie podnieca mnie jedzeniowo. Pierwszy i drugi dzień świąt mnie podniecają, ale wigilijna kolacja już nie. FERDYNAND MAKŁOWICZ: A ja muszę podkreślić, jak jestem wdzięczny bratu za ten lobbing antykarpiowy. Była bowiem taka wigilia – pięć lat temu – kiedy o pierwszej w nocy wylądowałem na SOR-ze, gdyż jedząc lapczywie odgrzewany kawalek smażonego karpia, wbiłem sobie ość tak głęboko w gardło, że aż lekarz musiał się tym zająć.

AGNIESZKA MAKŁOWICZ: Na szczęście ów lekarz, szwagier, też był u nas na kolacji...
M.M.: Karp jest zajebisty w zupie rybnej, wiele świetnych rzeczy można z niego zrobić, ale – Bóg mi świadkiem – ostatnio robiłem sondę wśród kolegów i koleżanek – o propos karpia w galarecie: nie znam ani jednej młodej osoby, która by go chciała jeść!
R.M.: Ja karpia w galarecie zjadam rytualnie, kawalek. Agnieszka lubi go za to niezwykle.
A.M.: Ja tu od razu składam votum separatum. Nie wiem, czy to kwestia komuny, czy tego, ile mam lat, czy tego, że je się tego karpia tak rzadko, ale ten karp, który pływał najpierw ze trzy dni w wannie i trzeba go było prznosić, jak się człowiek chciał wykapać, do miski z wodą, z której czasem wyskakiwał... Ten karp, którego trzeba było niestety ukatrupić albo poprosić o to sąsiada, niesie w sobie niesłyszany sentyment. Tym bardziej że karpia można zrobić fenomenalnie. Genialnie go przyrządzała mama Bobka, bunia Beatka, moja fantastyczna teściowa. Mama gotowała jak bogini. M.M.: Naszą tradycję wigilijną, to, co jemy, przejęliśmy właściwie po buni. F.M.: A ta atmosfera, jaką ona tworzyła... A.M.: Ciotki, wujkowie, powujkowie – zawsze się zbierało całą tę gromadę w Wigilię. I kolację przygotowywało się też zawsze wspólnie... Ale wracając do karpia, to ten po żydowsku wymaga mnóstwo pracy. Te głowy trzeba obrobić, ugotować, zrobić dobry bulion. Zasada bowiem jest taka, że się nie dodaje do galarety krzty żelatyny: głów rybich musi być na tyle dużo, żeby galareta zsiadła się sama. I to było wyzwanie.

Zsiądzie się...
A.M.: ...czy się nie zsiądzie? A potem kolejne wyzwanie: do karpia w galarecie wsadzało się filety, które nie powinny mieć żadnych ości. Pamiętam, jak siedziałyśmy z siostrą Roberta i wydłubywałyśmy te ości łyżeczkami, opuszki palców miałyśmy kompletnie zjechać, bo te ości się nam wbijały. No, ale wtedy, po tej męce, to ten karp naprawdę smakował. R.M.: W jednym z filmów Woody Allen chwali się, że wynalazł maszynę do wyciągania ości z ryby i zarazem – przepraszam – wsadzania ich do niej. A ja widziałem w Austrii – w Dolnej Austrii np. jedzą bardzo dużo karpia – maszynę do wyciągania ości z ryby. Wygląda to jak zgrzebło i tym się przejeżdża filety: wyciąga wszystkie drobne ości. Oczywiście ten filet z karpia wygląda jak zaorane pole, ale przecież potem wszystko się schodzi w trakcie smażenia. W Chorwacji kroją karpia w takie małe kawaleczki, panierują go w mące kukurydzianej i smażą w głębokim tłuszczu. I pod wpływem temperatury...

...rozpuszczają się ości!
R.M.: Brawo! Smaż na smalcu, ale na wigilię można to zrobić na oleju, oczywiście jak ktoś chce przestrzegać nie religijnego, ale tradycyjnego postu. Wróć jednak do myśli, którą przerwałem, o tym kolejnym trendzie, że w większych miastach ludziom nie chce się siedzieć nad karpiem w galarecie i nie chce im się zdobywać ryb słodkowodnych. Poza łososiem. No bo nie oszukujmy się – jak się

nie mieszka nad morzem, to u nas jest słaby dostęp do tych ryb. Jesiotra w Krakowie można kupić, ale trzeba wiedzieć gdzie. No więc te osoby kombinują menu wigilijne z zupełnie innych rzeczy. Podobno na kolację wigilijną zamawiają sobie sushi. Czy ja się z tego śmieję? Trochę tak, ale z drugiej strony wiemy przecież świetnie, że bezmięśność tej kolacji jest tradycją, nie nakazem religijnym. Bo radosne święto znosi post, a to jest w ogóle dzień przed świętem, więc nigdy nie było zakazu. To jest po prostu nasza tradycja i staramy się jej przestrzegać.

Zróbmy ranking – może jednak tych tradycyjnych – wigilijnych dań, które lubicie lub których nie znosicie. To zawsze wdzięczny temat do rozmowy i świetny powód do kłótni.
R.M.: Barszcz lubię, bo zawsze na wigilii jest domowy, kiszony. Do tego są uszka borowikowe – mmm... Te uszka u nas robi się parę dni wcześniej, blanszuje, smaruje olejem i zamraża. A że nie są to pielnieni ani kolduny, więc wrzucone na wrzątek nie tracą nic ze swoich walorów. Oczywiście wtedy, gdy ciasto nie jest za miękkie i gdy nie są przegotowane. To jest pyszne. Karp w galarecie, czyli gefilte fisz, tylko – jak wspomniałem – rytualnie, bo generalnie to nie! Smażonego karpia lubię ze świeżo startym chrzanem. U nas nie ma tej tradycji co w Austrii, na Węgrzech i w Czechach, że chrzan w wiórkach podaje się bez octu, świeżo starty. I taki karp z takim chrzanem... A jak się go usmaży na klarowanym maśle w bułce tartej ...
A.M.: ...u nas domowa.
R.M.: To właśnie lubię. Kutię też jadam rytualnie, żeby się łączyć z duchami przodków, ale nie za dużo.
A.M.: Nasz przepis na kutię pochodzi od Włodka, ojca Roberta.
R.M.: Nie, od mojej babci, mamy ojca: kutia musi być przyrządzona na gryczanym miodzie.
F.M.: Kutia jest moim ulubionym wigilijnym daniem.
R.M.: A wiesz, że słowo „kutia”, „kutya” po węgiersku znaczy „pies”? A „egyik kutya, másik eb”...
A.M.: ...to „jeden pies”! A „kutyaharapást szorivel” to „klin klinem”. Wiem, bo mam węgierską rodzinę!
R.M.: Jest jeszcze strudel z jabłkami, który uwielbiam.

To jakieś neopogaństwo ten niby-zakaz picia wina! Jak można – przepraszam, ale się uniosłem – tak nie szanować symbolu przemienienia!

To danie to dla warszawiaków zaskoczenie.
R.M.: Bo warszawiacy myślą, że to strucla. Jak ktoś mówi „wiedeńska strucla z jabłkami,” to ja wiem, że jest z Kongresówki, bo strucla to jest drożdżowe ciasto, a strudel to jest nasze galicyjskie ciasto listkowe.

Można się nabijać z warszawiaków, ale ostatnio czytałam nowojorską książkę kucharską tłumaczoną przez krakowiankę, która z kolei „bajgle” przetłumaczyła jako „obwarzanki”...
R.M.: A przecież bajgle też są nasze! Wracamy do rankingu! Pierogi z kapustą lubię bardzo.

Ale z kwaśną kapustą?
R.M.: Mieszaną. Kiszoną i słodką. Nie co roku, ale zawsze, gdy mamy dobre suszone grzyby, to kapelusze podgotowanych prawdziwków

moczę w mleku, panieruję i smażę na klarowanym maśle. Suszone są nawet lepsze niż świeże, bo nie ma w nich wody. Co tam jeszcze mamy? Kochanie? Chłopak? A.M.: Zawsze musi być kompot z suszu.

Nienawidziłam jako dziecko, teraz Kocham.
F.M.: Dlaczego właściwie nie pija się kompotu z suszu poza świętami? Jest wspaniały! R.M.: W Ukrainie jest pity wszędzie i codziennie. Pamiętam, jak wyjeżdżaliśmy z Krakowa do Myślenic na wakacje, gdy byłem mały – rodzice mieli tam letni dom. Wtedy jeszcze stały tam wiejskie chałupy, na niebiesko wapnem pokryte. I był tam, w tych Myślenicach, piec, pod którym cały czas się paliło, i była wędzarnia. Niezależnie od pory roku stał na tym piecu na płycie gar z kompotem z suszu, który był całodziennym napitkiem. To niestety zniknęło.

A jaka u was śliwka do tego kompotu? Suska sechłońska?
R.M.: No przecież, że nie kalifornijska! Chodzi to, że musi być węgierka suszona metodą wędzenia.

A wy śledzi nie jecie?
R.M.: Nie jemy.
A.M.: Za to lubujemy się w chrzanach.
R.M.: Zupę rybną jemy.
A.M.: Nie, nie jemy!
R.M.: W dzień Wigilii, w ciągu dnia – jemy! F.M.: Nie, tato, jaka zupa rybna? Zawsze są suchotki z kminkiem przed kolacją wigilijną!

Suchotki?
F.M.: Ziemniaki posypane kminkiem i grubo mieloną solą. Wyciągasz z pieca, przeciśniesz i posypujesz.
A.M.: Fakt – matiasy jemy w ciągu dnia, żeby jakoś post przetrwać. I to jest takie danie, które jemy czasami też w Środę Popielcową.

Wasza kolacja wigilijna łączy ze sobą tradycje austro-węgierskie...
R.M.: ...huculskie.

Ale jak tak patrzeć na wigilię, to – semio logicznie czytając to, co na stole, niczym Roland Barthes, czy historycznie, ni-

R.M.: Pierwszy dzień świąt to jest freestyle. I to jest wspaniałe!

O ile w Wigilię podobno nie gotujesz, o tyle w pierwszy dzień świąt kuchnia należy do ciebie?

R.M.: Tak! Na stole może wylądować wtedy indyk. Co będzie w tym roku? Z Dalmacji przywieźliśmy raśtikę. To jest taka kapusta, która nie zawiązuje główek.

Zwana też kapustą pastewną czy głąbiastą. Same sexy nazwy...

R.M.: Można z niej robić potrawy podobne do caldo verde. Nasza raśtika leży sobie na balkonie, żeby ją pierwszy mróz chwycił. Wtedy z liści wytrąca się cukier i robi się lepsza. Potniemy, zblanszujemy, zamrozimy w porcjach. I przywiozłem suche meso, takie tradycyjne z Dalmacji, i pancettę.

Przepis?

R.M.: Najpierw gotuje się wędzone, suszone mięso, a następnie w tej wodzie pociętą, zblanszowaną raśtikę. Potem się do tego dokłada pokrojone w kostkę ziemniaki. Podaje się pokrojone, ugotowane mięso na kapuście. Do tego oliwa ze świeżym czosnkiem. To jest tak pierwotnie dobre! Chciałem też przywieźć bacalao, bo również bardzo lubię, a w Dalmacji się je bakalara, czyli suszonego dorsza, w pierwszy dzień świąt. Bakalar na bijelo to się nazywa. Przyrządza się go podobnie jak w Wenecji, tam się wiele kuchni miesza. Wracając do pierwszego dnia świąt: taki, drodzy, jest plan na obiad!

F.M.: Cieszę się, że mamy ten wywiad.

Dzięki temu już wiem, co będę jadł, i mogę się zacząć mentalnie przygotowywać!

R.M.: A ja już widzę, ile jest rzeczy do zrobienia! Musimy poporcjować tę raśtikę, wsadzić do zamrażarki. I przede wszystkim opróżnić zamrażarkę ze zbędnych rzeczy!

F.M.: Czyli jeszcze do tego wiem, jakie będę miał zadania w tym miesiącu!

À propos zadań – jak to się u was rozkłada? Kobiety, mężczyźni, dzieci...

R.M.: Nie, no wszyscy pracują!

M.M.: Po to się robi dzieci, żeby pracowały w Wigilię!

R.M.: Ale nieletni nie mogą pracować.

M.M.: Jesteśmy konserwatywną rodziną z Krakowa – u nas muszą!

F.M.: Jest podział. Mikołaj ogarnia wino i jako sommelier robi to w sposób najlepszy – przepraszam, tato, ale tak jest.

R.M.: Wszystko dobrze, synu, masz rację!

F.M.: Mama z ciociami i z przyjaciółkami ogarnia rzeczy tradycyjne, czyli lepienie uszek, przyrządzanie karpia po żydowsku.

R.M.: A ja jak w naszym ukochanym „Tytusie, Romku i A”Tomku” liczę taczki...

M.M.: Tata oddaje się rzeczom wielkim.

R.M.: Przepraszam, ja aprowizuję!

F.M.: Ja z kolei sprzątam łazienkę i nakrywam do stołu – i jest pięknie!

R.M.: Ja robię wspomniany obiad na pierwszy dzień świąt. I drugi.

A.M.: A jeszcze w międzyczasie trzeba „normalny” obiad ugotować...

A u was w Wigilię jest towarzyszko czy rodzinnie? Przyjaciele czy ciotki?

R.M.: Wigilię spędzamy rodzinnie, choć pojawiają się przyjaciele, którzy nie mają innych planów – dbamy, żeby ich nie zostawiać samych. A później jest różnie. W tym roku pewnie w Wigilię będziemy w Krakowie, ale na święta może pojedziemy do miasta.

F.M.: Ta ewolucja nastąpiła ze względu na to, że nie ma z nami starszej części naszej rodziny. Moje ulubione wspomnienia wigilijne z czasów, kiedy miałem 5-10 lat, to rzeczywiście cała rodzina przy stole, ponad 20 osób! Dziś już tego nie ma. Zdarzały się też takie, może nie tyle wigilie, ile chwile po nich, kiedy spotykaliśmy się ze znajomymi i bliskimi i nagle okazywało się, że w domu jest ponad 30 osób i trwa zabawa na całego. Bo przecież to radość i otwarte na innych święto: Jezus się urodził!

R.M.: Tak, tak, właśnie to chciałem powiedzieć. Otwarte i radosne święto!

A jak u was z winem, bo u was na wigilię jest wino...

R.M.: To jakieś neopogaństwo ten niby-zakaz picia wina! Jak można – przepraszam, ale się uniosłem – tak nie szanować symbolu przemienienia! Wszystko jedno, czy wierzymy, czy nie, ale jesteśmy wychowani w pewnej kulturze i w pewnej tradycji. A wino i chleb to jedne z najważniejszych symboli chrześcijaństwa. A więc jak ma tego nie być?

A macie jakieś wspomnienia związane z Wigilią? Ja pamiętam, jak wyżerałam cukierki z osłonek, żeby nikt się nie poznał. Albo kradłam z choinki taki 30-letni cukierkowy sopek...

(cała rodzina ze zrozumieniem kiwa głową!)

R.M.: Ja też mam takie wspomnienia! Ponieważ mój ojciec był marynarzem, to dużo podróżował. Pewnego razu przed świętami przywiózł okrągłe pudło angielskich słodczy firmy Mackintosh o nazwie Quality Street. Były toffi i czekoladki w ślicznych opakowaniach – tym miałem udekorować choinkę. Ale to morze słodczy mnie potwornie kusilo, więc po udekorowaniu choinki w nocy zakradłem się i zeżarłem więk-

Mak, grzyby. I właśnie nimi nasi przodkowie oszalamiali się tego najkrótszego dnia w roku

skość, zostawiając same te błyszczące opakowania: mamy więc podobne doświadczenie. Czuję, że te rzeczy z naszego dzieciństwa były tak piękne, a teraz już takich nie ma... Po pierwsze, jodełki już tak nie pachną jak kiedyś, bo często nie są jodełkami. Po drugie, nie ma pasty do podłóg, która kiedyś wydawała zapach terpentyny i rozmarynu. Po trzecie, nikt nie piecze bab drożdżowych i makowców, więc nie ma tego zapachu ciasta drożdżowego i ucieranego maku. W ogóle zapachowo jest słabiej. U nas na choince nie ma bombek – brzmi to zresztą teraz bardzo groźnie – u nas w Krakowie są bańki. Prezent nie przynosi Gwiazdor ani Mikołaj, tylko Aniołek. Aniołek też jest na szczycie choinki.

A.M.: To, co zostało z dawnych świąt, to dbałość o nakrycie stołu, w tym o dodatkowy talerz dla zbłąkanego wędrowca. W wielu domach nadal przecież się wyciąga najlepsze srebro i czyści na kolację wigilijną, zresztą wyciąga się wszystko, co najlepsze: obrusy muszą być starannie wyprasowane... Ten stół jest wręcz „ubrany”. Oplatek musi leżeć na sianku. Takie nasze ramy istnienia. Wiesz, mieliśmy kiedyś taką dziwną wigilię, to było w COVID-zie: wyjechaliśmy poza Kraków i byliśmy pierwszy raz w życiu tylko czworo dorosłych z naszą wnuczką. I ten stół był taki... przypadkowy, bo nie mieliśmy czasu na przygotowanie tej kolacji: tak się nagle wyrwaliśmy. Wiadomo było, że się z nikim nie spotkamy.

F.M.: To była najlepsza Wigilia w moim życiu.

A.M.: Chłopaki tak właśnie mówią. A my z Robertem nie mogliśmy przeżyć tego święta, jakby ono nam umknęło.

M.M.: Z mojego punktu widzenia, gdy tak dużo się pracuje, gdy tak się intensywnie żyje, to te przygotowania są przyjemne, ale bardzo męczące, więc ja, szczerze mówiąc, najchętniej bym pojechał wtedy do hotelu.

Żeby cię ktoś obsłużył?

M.M.: Oczywiście rozumiem, że to tradycja, lecz kiedyś naprawdę żyło się wolniej, był na to wszystko czas. Święta to dla mnie dokładanie sobie w czasie wolnym obowiązków, i to

nie tych miłych. Wolałbym pojechać gdzieś daleko, gdzie spędzimy razem czas, po prostu ciesząc się sobą i rozmawiając, a nie gotując bądź biegając w tłumie lub stojąc korkach.

R.M.: A ja lubię tę gonitwę.

A.M.: Ja też to lubię.

M.M.: Ja również, ale luz na tej kolacji, kiedy byliśmy tylko we czwórkę, ten brak stresu, był najlepszy.

F.M.: To było fenomenalne, nie było żadnego trudu.

M.M.: Bo przecież żyjemy teraz w świecie, w którym mamy co chwilę telekonferencje, co chwilę spotkania. Podróżujemy dużo i bardzo dużo pracujemy. Czy to, żeby spotykać się tylko po to, żeby ugotować te same dania, jest warte tyle trudu? Przecież tak naprawdę chodzi o to, żeby się ze sobą spotkać, a nie o to, żeby zjeść – za przeproszeniem, bo bardzo szanuję – karpia.

A.M.: Poczekaj, Mikołaj, jeżeli odpuścilibyśmy święta zupełnie, to popatrz, co byś stracił: dzięki temu, że miałeś takich dziadków, jakich miałeś, i myśmy wyszli z takich domów...

M.M.: ...ale, mam, wtedy ludzie mieli czas na przygotowanie tego wszystkiego!

A.M.: A mnie chodzi o przekazywanie pałeczki w zaopiekowaniu się pewnym rytuałem, pewnym świętem, które nas ja-

ko rodzinę konstituuje. Poza tym pamiętaj też, dla mnie to święto nie jest „świętem z choinką” – to jest święto narodzenia Jezusa Chrystusa.

M.M.: Mamo, nikt tu nie mówi o kwestii religijności, ale o kwestii tradycji. Bo w różnych miejscach na świecie, gdziekolwiek jedziesz, w Polsce albo za granicą, możesz też świętować i jeść tradycyjnie.

R.M.: Na przykład w Dubaju.

F.M.: Myślę, że to jest świetna rozmowa, która ogniskuje różnice pokoleniowe i podejście do tradycji!

R.M.: Uważam, że Wigilia jest właśnie takim jednym z niewielu dni w roku, kiedy – skoro już nie bierzemy grzybów halucynogennych ani maku z opiatami, żeby w ten sposób połączyć się z duchami przodków – składamy cześć tym, którzy odeszli, właśnie poprzez tę celebrę i kontynuowanie tradycji. Tego jednego dnia – nawet jeśli nam coś nie smakuje – istnieje za pomocą rodzinnych przepisów pewnego rodzaju oś tradycji, portal do przeszłości. Będę się tego trzymał, póki sił i kolacja wigilijna w hotelu jest czymś najgorszym, co mogę sobie wyobrazić.

A.M.: Nie odpuszcimy łatwo. Wolę ją spędzić w domu, nawet we dwoje...

R.M.: Nigdy czegoś takiego nie przeżyłem, bo to jest dla mnie święto rodzinne. W tym roku sobie przezornie tak ustawiłem kalendarz zawczasu, że już od 16 grudnia będę wolny i będę miał czas jeździć po sklepach i wszystko przygotowywać.

M.M.: Ale to, że masz tyle czasu, tato, to luksus. A wiele osób, które pracują w korporacjach czy mają własne firmy, pracuje ciężko nawet do ostatniego momentu przed wigilią.

F.M.: A mimo to wiele osób tak robi i są z tego powodu szczęśliwe, bo to jest jeden taki dzień w roku.

R.M.: Na szczęście jesteśmy różni i możemy mieć różne zdania, rozumiem, synku, twój punkt widzenia, rozumiem ludzi, dla których przygotowywanie wielopiętrowej wigilii jest wyzwaniem niemożliwym do zrealizowania.

A.M.: Wiem, że Mikołaj będzie pierwszym, który wyjedzie z Krakowa na święta.

M.M.: Pomijając tę tradycję i wymiar religijny, to tak: byłbym szczęśliwy, gdybym mógł wyjechać, bo wtedy po prostu nikt nie pracuje i można naprawdę odpocząć.

R.M.: Ale wtedy jest najdrożej!

A.M.: Mikołaj, ty masz świadomość, że możesz to zrobić? Możesz wyjechać? Powiedz, bo to dla mnie ważne.

M.M.: Mamo, no musiałem sobie ponarzękać...

A.M.: Bo ja ci chcę przekornie powiedzieć, że to ty pierwszy w tym roku pytałeś, czy wigilia jest u nas. Zobacz, podświadomie chcesz przekazać pałeczkę!

M.M.: Gdybym mógł, to chyba bym wszystkich nas zabrał gdzieś do Dubaju albo na Malediwy.

F.M.: Na wigilię poleciliby rumsztyk.

R.M.: Przepraszam, że zmienię na chwilę temat, ale, Fero, czy ty masz na sobie moje skarpetki?

F.M.: Tato, ja je mam w szufladzie od co najmniej trzech lat!

R.M.: Nie no, ojc,u podbierać skarpetki! Ale o czym tu mówiliśmy?

Wracając do tego, co powiedział Mikołaj, myślę sobie, że to też jest charakterystyczne dla naszego kraju na takim strasznym dorobku, gdzie rządzi kultura zapierdolu, że nie mamy czasu dla siebie, na odpoczynek, na rytuał, a co dopiero na podzielenie się sobą z innymi. I ci, którzy są strasznie zmęczeni, będą mieli poczucie nadużycia, dodatkowej pracy, a nawet zmarnowanego czasu, a tym, dla których liczy się coś innego, np. bycie z rodziną, albo mają na to więcej przestrzeni, czyli środków czy czasu, takie spędzanie czasu razem, gotowanie, rozgardiasz, pomoże naładować baterie.
R.M.: Jeżdżę trochę po świecie i to naprawdę nie będzie kokieteria w stronę rodaczek i rodaków, ale widzę, że pracujemy najciężej w Europie: nikt tak nie zapieprza. W Austrii, jak jest święto, to dwa dni przed tym świętem jest święto i pięć dni po tym święcie jest święto. To samo jest we Francji i w Niemczech.

M.M.: I dzięki Bogu, że tak u nas jest, ponieważ właśnie dzięki temu prywatny biznes przegonił organizacyjnie państwo polskie o lata świetlne. To nie państwo kształtuje gospodarkę w tym kraju, bo to nie państwo kształtuje nasz obraz rzeczywistości, tylko prywatny biznes.

R.M.: To prawda.

M.M.: Polska się trzyma dzięki pracowitości ludzi. Władza tylko ściąga podatki i mówi nam, jak żyć.

A.M.: Pamiętaj, Mikołaju, że my z ojcem jesteśmy pokoleniem transformacji. Jesteśmy z ojcem tym pokoleniem, które uczyło się obsługi komputera od podstaw.

R.M.: Dochodziliśmy do wszystkiego sami.

A.M.: Naprawdę musieliśmy się wszystkiego nauczyć od zera. I też w jakiś sposób jesteśmy całe życie na dorobku. My nie mamy przez pokolenia przekazywanych majątków, nieruchomości. Wszystko zostało zniszczone przez wojnę, przez komunę. I w zasadzie w momencie, kiedy się okazało, że nagle coś możemy – jako społeczeństwo i jako ludzie – zaczęliśmy bardzo dużo pracować, być odpowiedzialni za siebie, ludzi dookoła. Nagle coraz więcej możesz, ale też czujesz się w obowiązku, jesteś lojalny, odpowiedzialny – i to się tak spiętrza.

M.M.: Właśnie o to mi chodzi, a jeszcze teraz jest zamknięcie roku, budżety, a tu wigilijna kolacja! Może trzeba powiedzieć stop temu szaleństwu tradycji?

R.M.: I przenięć ją na marzec!

A.M.: Sednem tego, co chcemy z ojcem przekazać, jest to, że wyjazd do hotelu nigdy nie zbuduje tego, co jest istotą spotkania wigilijnego, czyli więzi. My nie mówimy o wigilii z przymusu, mówimy, Mikołaju, o wigilii z wyboru.

M.M.: Ale w moim idealnym świecie nie musisz nic przygotowywać, sprzątać, pracować w dzień wolny.

A.M.: A w naszym idealnym świecie, gdyby to się zdarzyło, to czulibyśmy z tatą, jakby coś nam zabrano. I to jest ta nasza pięk-

na różnica pokoleniowa. Ona jest fundamentalna, ale przecież daje nam siłę – czepimy z siebie nawzajem. Ty nam dodajesz nowe spojrzenie i na razie przychodzisz na wigilię – i o to chodzi! Będzie inaczej, to będzie.

F.M.: Słuchajcie, wymyśliłem moją idealną wigilię.

Wchodzę do was do domu, łazienka jest idealnie wysprzątana, nie zrobiliście tego wy. Nikt mi nie mówi, żebym włożył koszulę do spodni. To jest moja idealna wigilia. A na razie pozostanę z moim wspomnieniem idealnego świątecznego koszmaru na SOR-ze do końca życia. Wiecie, ten SOR wtedy był jak punkt ambulatoryjny na wigilijnym froncie. Jeden oparzony olejem spod karpia, drugi z bańką wbitą w stopę. No i ja z tą ością w gardle.

Mój ojciec jest lekarzem i zawsze brał dyżur, mój dziadek chirurg też. Takie dyżury zawsze są barwne! Potem nadchodzi czas petard...

R.M.: Mieliśmy też śmierć w Wigilię. Mój ojczym umarł, idąc do nas.

F.M.: Pomagałem dziadkowi wchodzić po schodach. Popatrzył na mnie, powiedział: „Umieram”, i umarł. Niesamowite, że ludzie to wiedzą.

A.M.: Umarł na pierwszym piętrze, my mieszkamy na drugim. Notabene też zmarł nieomalże w swoje urodziny, bo urodził się 23 grudnia. Ale gdy się urodził, to było tak, że Wigilia była 23, bo był z 1933 r. Nie wiem, jak to było liczone kalendarzowo, ale zawsze to podkreślał. I muszę powiedzieć, że kolacja wigilijna tego roku mimo wszystko się odbyła. Wspólne bycie przy stole było wtedy czymś jak najbardziej naturalnym, to było bardzo dobre, rodzinne, potrzebne spotkanie. No i był tam z nami, nie ma co gadać.

Mocne przeżycie.

Wracając do rutyny: czy wy w Wigilię w coś gracie, dokąd idziecie, macie jakiś zwyczaj?

R.M.: Nie, siedzimy przy stole!

A.M.: Ja – jak się da – idę na pasterkę, zawsze niestety sama.

A dokąd chadzasz?

A.M.: To zależy od tego, czy jesteśmy w Krakowie, czy w górach na wsi, gdzie ta pasterka zupełnie inaczej wygląda.

R.M.: Tam są baby osobno, chłopcy osobno. Co prawda pijani...

A.M.: Robert, co ty gadasz? Byłeś?

R.M.: Byłem!

F.M.: Ja też raz byłem!

A.M.: I co, naprawdę to widziałeś? Baby osobno, chłopcy osobno?

R.M.: Oczywiście.

F.M.: To było w 1948 r., pamiętam jak dziś.

R.M.: Partyzanci „Ognia” wychodzili z lasu. Byliśmy razem, chłopcy osobno, baby osobno, zapach wody i śpiewali „Oj maluśki”. Pamiętam.

F.M.: Ja też byłem, tato?

R.M.: Kliszczoki to są, byliśmy razem, synu. Myśmy chodzili na pasterkę, jak miałem lat naście, to znaczy 17-20, po prostu

po to, żeby wyjść z domu i się spotkać towarzysko. Byliśmy pod kościołem i tam żeśmy grzali. Było zimno, bo wtedy zimy to były prawdziwe, nie to co teraz – wilcy podchodzili pod miasto i wyli.

A.M.: Ale zima 1981 r., jak był stan wojenny...

R.M.: ...w 1970 też była dobra, bo załatwiła Gomulkę!

A.M.: Tamtej nie pamiętam, ale tę w 1981 r. tak. I koksownicy, i żołnierzy. Mieszkaliśmy wtedy w Nowej Hucie z rodzicami, szło się do znajomych na herbatę do ronda Mogińskiego na piechotę. Żaden transport nie jeździł, taka była zima. I były takie wielkie hałdy śniegu, że musiałam podskakiwać, żeby cokolwiek zobaczyć. To była magia, taka dziecięca magia. Taka jak wtedy, gdy światelka z choinki odbijają się w szybach biblioteczki. Światło jest zgaszone i tylko tak cyk, cyk – wszystko mruga i jest cudo.

R.M.: Ale jednak przyznasz, że zapach jedliny jest najważniejszy.

A.M.: Tak, jest najważniejszy.

To jak nie pasterka, to...

F.M.: Ja lubię sobie puścić w pierwszy dzień świąt „Ogniem i mieczem”.

R.M.: A nie „Potop”?

F.M.: Nie, „Ogniem i mieczem”, jednak jestem za młody na „Potop”. W sensie: szanuję, doceniam i oczywiście sceny batalistyczne są super, ale dla mnie traci myśkłą.

R.M.: A propos „Potopu”, to kiedyś leżaliśmy w łóżku w trójkę, bo jeszcze z naszą przyjaciółką, w pierwszy dzień świąt i oglądaliśmy...

A.M.: ...z Mirką, ale, Bobek, to było po śniadaniu wielkanocnym, nie w Boże Narodzenie! Oglądaliśmy „Znachora” i „Potop”.

R.M.: „Trędowatą” i coś jeszcze, wszystko, co wtedy szło z tych świątecznych hitów.

Ale „Kevina samego w domu” nie jestem w stanie oglądać.

F.M.: Wiecie, że ja nigdy nie obejrzałem całego „Kevina...”?

A.M.: Ja też widziałam tylko fragmenty w zajawkach reklamowych. Jakies to takie nie nasze.

R.M.: „Potop” jest po prostu lepszy. I to będziemy oglądać. I „Ogniem i mieczem” dla Fero. No to już wiemy, co będziemy jeść i co oglądać. Święta zaplanowane. ●

Dziękujemy The Crown Kraków za udostępnienie wnętrza hotelu na potrzeby sesji zdjęciowej

REKLAMA

34289961

Ocalone pamiątki, zachowana pamięć

Wielka zbiórka pamiątek jenieckich

związanych z żołnierzami przetrzymywanymi w niemieckich i radzieckich obozach jenieckich oraz w obozach internowania w państwach neutralnych podczas II wojny światowej.

Zbiórkę prowadzi Centralne Muzeum Jeńców Wojennych – jedyna w Polsce placówka wszechstronnie zajmująca się problematyką jeniecką. Muzeum czeka na przedmioty używane lub wytworzone w niewoli, dokumenty, korespondencję, rysunki, fotografie i rzeczy osobiste. Dary zostaną zabezpieczone i zinwentaryzowane. Dzięki temu zyskają długowieczność i staną się świadectwem jenieckiej historii dla przyszłych pokoleń.

Zainteresowanych przekazaniem pamiątek Muzeum prosi o kontakt telefoniczny, mailowy, listowny lub osobisty. Każda propozycja daru zostanie rozważona w możliwie krótkim czasie. Po zdigitalizowaniu obiektów darczyńcy otrzymają albumy z wizerunkami pamiątek, a także ich zdjęcia w wersji cyfrowej.

Za zbiórkę odpowiada Dział Zbiorów i Konserwacji Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych, ul. Muzealna 4, 48-316 Łambinowice, tel. +48 77 434 34 75, e-mail: zbiorkapamiatek@cmjw.pl



www.cmjw.pl

**CENTRALNE
MUZEUM
JEŃCÓW
WOJENNYCH**



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



SAMORZĄD
Województwa Opolskiego



**ZNAK DZIEDZICTWA
EUROPEJSKIEGO**



Centralne Muzeum Jeńców Wojennych jest instytucją kultury Samorządu Województwa Opolskiego, współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

wyborcza.pl

- Świąteczne opowieści „Wyborczej” i „Wysokich Obcasów” to wyjątkowa akcja, w której to subskrybenci i subskrybentki Wyborcza.pl zdecydowali w głosowaniu, o czym swoje świąteczne opowiadania napiszą Sylwia Chutnik, Adam Wajrak, Aleksandra Zbroja, Grażyna Plebanek i Natasza Parzymies.



wysokieobcasy.pl

- Dziękujemy za wszystkie oddane głosy (było ich aż 5 tysięcy!), a tych, którzy jeszcze nigdy nie subskrybowali „Wyborczej” w internecie, zapraszamy do skorzystania ze specjalnej świątecznej oferty na **Prenumerata.wyborcza.pl**. Zapraszamy do lektury pięciu niezwykłych historii i życzymy spokojnych świąt pełnych opowieści!

Matka się pieni, ojciec wierci

To pierwsze święta, które spędzam sama. Pokłóciłam się z rodzicami, rozstałam z dziewczyną. Niech Wigilia będzie dniem jak każdy inny



NATASZA PARZYMIESZ

W

Wieczór. Siedzę na rozkładanej kanapie przed telewizorem. Oglądam po raz setny „The Holiday”, popijam tanie rozgazowane piwo. Mam choinkę spod Biedronki, naprawdę ładnie ją w tym roku udekorowałam.

Do reszty mieszkania nigdy nie miałam serca. W mojej spektakularnie małej kawalerce mieszkam od ośmiu lat. Wyprowadziłam się tuż po maturze.

Kończy się „The Holiday”, jak zwykle płaczę. Już nie wiem, czy od filmu, czy od tego, że siedzę sama. Zastanawiam się, na co miałabym ochotę, jeśli naprawdę mogę zrobić w tę Wigilię wszystko. Mam cztery nieodebrane połączenia od taty i SMS-a od mamy: „Klaudia, nie żartuj sobie, przyjeżdż do nas po prostu. Moja córka nie może siedzieć sama w święta”. Do nas, czyli do niej i jej nowego męża, bogatego, starego rozwodnika z Wilanowa. Ta to się zawsze umiała ustawić. Tata jest w Madrycie u kolegi z klasy, mieliśmy lecieć razem, zobaczyć Hiszpanię zimą, ale pokłóciliśmy się w dzień wyjazdu. Już nawet nie pamiętam o co.

Mam! Chciałabym zjeść mój ulubiony deser. Knajpa Mexican Fiesta jest w święta otwarta, a tam podają puchar lodowy Loco. To mocno przeciętne lody polane tanim syropem, ale nie o syrop chodzi. Chodzi o show. W środek deseru wbite są zimne ognie, a w tle gra flamenco. Rodzice zawsze zabierali mnie tam na imieniny.

Ulice są kompletnie puste, trochę pada śnieg. Wyśiadam w centrum. Wszędzie świąteczne światelka i żadnych ludzi. Czuję, że cała Warszawa świeci się tylko dla mnie.

Mój puchar lodowy zjadam ekspresowo, w knajpie jestem tylko ja. Obsługa przygląda się z lekkim politowaniem. Nie podoba mi się tu, chcę ruszać dalej na moją wigilią przygodę. Idę kawałek dalej w stronę świecącego się lokalu.

W środku jakaś podsypiająca babka po pięćdzięsiątce i trzech chłopaków na oko w moim wieku. Uśmiechają się, wyglądają, jakby pracowali w korporacji, tak zresztą jest – szybko pijemy szoty za pienią-

dze z premii jednego z nich. Opowiadałam, że przyjechałam na puchar lodowy, chyba średnio rozumieją, o co mi chodzi, ale bardzo dobrze udają, że słuchają.

Dwóch z nich sekretnie się w sobie kocha, trzeci ma obrączkę na rękę i spokój w oczach. To mój ulubiony typ grupy, można w spokoju pogadać. Mówią, że to ich tradycja zawsze po wigiliach spotykać się na szota u „szamanki”. Tak nazywają tęą właścicielkę tego miejsca.

Po zakończonym rytuale ten z obrączką wraca do rodziny, a pozostała dwójka jedzie na imprezę. Chcę wracać do domu, ale jeden z nich przekonuje mnie, że raz się żyje i że takie świąteczne domówki są najlepsze: „Pełno na nich samotnych ludzi, a samotni ludzie potrafią się najlepiej bawić, bo nigdzie nie muszą wracać”. Ten argument do mnie przemawia, chociaż ja nie jestem przecież samotna, w tym roku jestem sama z wyboru. Jadę z nimi. Impreza jest u znajomej z korporacyjnego teamu.

Jeden z chłopaków podaje adres. Zamieram. Kierowca prosi, żeby powtórzyć. Ja wyjęłam mózg. Nie prześłyszałam się. Czuję dziwną ulgę. Jedziemy na Widawską na Bemowie.

Od moich narodzin aż do końca liceum mieszkaliśmy z rodzicami na Widawskiej. Nieduże mieszkanko, ale dla naszej trójki jak znalazł. Przeżyliśmy w nim atak na World Trade Center, śmierć papieża i parę innych traumatyzujących moją mamę wydarzeń.

Kiedy napisałam maturę, rodzice sprzedali nasze 45 metrów kwadratowych i kupili dwa oddzielne mieszkania. Mówili, że tak będzie lepiej.

Ja nie protestowałam, nie było dnia, żeby się nie kłócili, więc z ulgą przyjął, że wszyscy się wyprowadzamy i każdy zaczyna nowe życie.

Wiele razy fantazjowałam na temat mojego starego domu. Śniło mi się, że do niego wchodzę albo że tam jestem. Wszystko jest, jak było, a ja siedzę pośrodku mojego pokoju i wycinam z gazet zdjęcia par celebrytów. Potem układam kolaże, które przyklejam na ścianę, licząc na to, że kiedyś będę jak oni.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że przez przypadek trafisz na imprezę do swojego starego bloku i swojego starego mieszkania? Kiedy widzę, jaki numer jeden z moich towarzyszy wybiera na domofonie, uśmiecham się z niedowierzaniem. Domofon dzwoni, nikt nie otwiera. Odruchowo wpisuję stary kod. Nadal działa. Drzwi się otwierają, nowi koledzy są pod wrażeniem. „Mieszkalam tu kiedyś”. Zaczynają wywód o tym, że nic w życiu nie jest przypadkowe. Wchodzimy na trzecie piętro. Drzwi otwiera koleżanka z korporacyjnego teamu.

Spełnia się mój senny koszmar. Wracam do domu, a w nim mieszka już ktoś inny.

Siedzę w kącie w kuchni, świąteczna domówka trwa w najlepsze. Z głośników leci „Jingle Bell Rock”, pijane dziewczyny próbują zatańczyć układ z „Mean Girls”. Wszystko wygląda inaczej. Inny stół, krzesła, nie ma śladu wielkich plakatów ze wzorami matematycznymi, które wisiały w salonie, żebym łatwiej zdawała testy w szkole.

Kiedy rodzice sprzedawali mieszkanie, pojechałam pociągiem na objazdówkę po Europie. Nigdy się nie pożegnałam. Nigdy nie zobaczyłam pustego mieszkania. W mojej głowie nadal stało, jak stało.

Wychodzę z kuchni, ogarnia mnie jeszcze większa fala nostalgii. Uśmiecham się lekko. Przypomina mi się sylwester, który zrobiłam pod koniec gimnazjum tylko po to, żeby moja przyjaciółka mogła się pocałować z Krystianem z trzeciej C. Ułożyliśmy plan, że znajdą się sam na sam w łazience. Miałam wtedy naprawdę okropne przyjaciółki.

Nie wierzę, że ktoś tu teraz mieszka. Że tu są czyjeś rzeczy.

To ja wybierałam kolor tych kafelków. To była moja pierwsza wyprawa do sklepu budowlanego. Kiedy zobaczyłam mieszkania wystawowe, stwierdziłam, że nie wracam do domu, tylko zamieszkam na wystawie w „Marilyn Monroe” (tak wymawiałam nazwę francuskiego sklepu). To był czas, kiedy rodzice na kilka miesięcy przestali się do siebie odzywać, więc mieszkanie w witrynie sklepowej wydawało się świetnym rozwiązaniem.

Na drzwiach do mojego pokoju nadal jest wgniecenie, które zrobiłam z kuzynem, gdy za dzieciaka bawiliśmy się w uciekające kurczaki. Trochę mnie mrozi, nie umiem wejść do środka, udaję, że z ciekawością przyglądam się reszcie imprezy.

Łapię spojrzenie koleżanki z teamu. Podchodzi, zagaduje, pytam, od kiedy tu mieszka. Od trzech lat, podnajmuje od swojego ojca, który kupił mieszkanie od jakiś nieźle wykręconych rozwodników. Brzmi znajomo.

Pytam, co jest za drzwiami tego pokoju. Mojego pokoju – choć tego nie mówię na głos. Rzeczy jej byłego. Zdradził ją pół roku temu, a ona nie umie się ich pozbyć. Nie wchodzi tam, śpi na kanapie. Chciałaby się wyprowadzić, ale nie stać jej na mieszkanie w Warszawie.

Mówię, że pomogę jej te rzeczy wywalić. Też mam w tym pokoju wiele wspomnień, do których nie chcę wracać. Patrzy na mnie pytająco, chyba myśli, że żartuję.

Już trochę zasypiam i chciałabym się zbierać do domu. Odprowadza mnie do drzwi. Szybko przerzucam coś w telefonie i w końcu znajduję. Pokazuję jej zdjęcie małej dziewczynki stojącej w drzwiach tamtego pokoju w papierowej koronie z Maka. Szybko łączy kropki. „Ale dziwne, co? Że dla mnie tam świat się skończył, a dla ciebie zaczął”. Przytulamy się na pożegnanie. „Odzywaj się”. Nie wiem, czy to flirt. O tej porze zawsze trudno stwierdzić.

Wracam do siebie. Śpię spokojnie jak nigdy. Następnego dnia budzę się i próbuję zrozumieć, czy to wszystko się wydarzyło. Widzę na telefonie powiadomienie: „To co? Wrzucamy dzisiaj wieczorem wszystko z naszego pokoju?”.

Jednak. Oczywiście nie odpisuję od razu, bo nie chcę wyjść na desperatkę. Patrzę na moje mieszkanie, dzisiaj jakieś nadzwyczajnie piękne i moje. Dzwonię na kamerce do mamy, po chwili dołączam tatę. Po jakimś czasie odbierają, obydwoje tak samo zdziwieni. Nie rozmawiali ze sobą od lat, bo zawsze to się kończy katastrofą. Już widzę, że matka się pieni, a ojciec wierci ze stresu. ●

FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCJA GAZETA



ALEKSANDRA ZBROJA

m

Mówią, że salka jest moja. Jednak nic w niej nie ma mojego. Za biało jest na moje. I nie pachnie kadzidłem, a u mnie zawsze się pali. Salkę wypełnia łóżko cyborg, składane za pomocą pilota, onieśmielające.

– A wanna? – pytam, mimo że znam odpowiedź. Nie ma wanny. Nawet ściany nie ma. Od innej rodzącej oddziela mnie gipsowe przepierzenie. Słyszę dyszenie. Ono też onieśmiela. W dodatku nie wzięłam świec, a chciałam w wannie przy świecach. Zaznaczyłam w planie porodu. O świecach nie było w formularzu, wiedziałam, że sama muszę przynieść. Zapomniałam. Ale wanna miała być. Koleżanki dziecko dostało dyplom „Mały pływaczek”, urodziło się w wannie. Też chciałam taki – że dopiero się dzieciak pojawia na świecie, a już z dyplomem.

– Za wcześniej przyszła, na sali z wanną jeszcze rodzą.
– Ale lekarz z dołu kazał iść rodzić na górę.
– Jemu pani zgłosi zażalenia.
– Ja nie mam zażeń, po prostu myślałam, że będzie wanna.
– Usiądzie – położna poklepała łóżko, jak się klepie psu, żeby wskoczył na kanapę.
– Właściwie to ile ich tam jest? – zapytałam.
– Slucham?
– Powiedziała pani w liczbie mnogiej, że w sali z wanną rodzą.
– Jedna pani z jednym mężem.

Przez uchylone drzwi migają mi lampki owinięte wokół czegoś na kształt choinki. Mnie też owinięto kablami maszyny monitorującej bicie serca płodu. Wysylają z brzucha rytmiczną wiadomość. Żyje. Żyje. Żyje.
– Z doulą tam są. Tak sobie nawymyślali – dodaje położna. Najwyraźniej nie lubi doul. Może i dobrze, że nie było nas stać na towarzyszkę porodu.

Zostaję sama z brzuchem, który wciąż pipczy: żyję, żyję, żyję. Ważne, że żyje. Najważniejsze. Ale też przykro, że tamta rodząca ma ich wszystkich i jeszcze wannę.

Józek wysyła esemesa, czy mnie przyjęli i dużo emotikonowych serc. Dobrze mieć takiego Józka. Zajmuje się synem na czas rodzenia córki. Kocha go, choć to nie jego dziecko. Wolałabym, żebyśmy rodzili razem. Ale nie ma dziadków, żeby bawili wnuka. Na poród domowy nie starczyło nam oszczędności: położne biorą dwa-cztery tysiące za przyjechanie do domu. Z pensji stolarza nie starczy. Tak samo opiekunki brat dla jednego dzieciaka, kiedy się rodzi drugie, żeby ojciec mógł być obecny. Trudno. Będzie obecny chociaż dla syna. Jest Wigilia, piąte urodziny chłopaka, nieładnie byłoby go zostawiać z obcą babą w taki dzień.

Włączyłam serial na Netflixie, żeby nie myśleć o bólu. Ale poród wykombinowano tak, żeby nie dało się o nim nie myśleć. A już na pewno w szpitalu. Przez gipsowe ściany płyną nawoływania kobiet zakłętych w pękate

brzuchy i rozkrwawione sromy. Czuję, że naruszam ich przestrzeń. Albo one moją. Że za dużo nas tu.

Jak w fabryce.
Co jakiś czas położna przychodzi sprawdzić, czy brzuch wciąż żyje. Pachnie od niej majonezem. Majonez to jeden z powodów, dla których ludzie lubią święta. I ciasta. Dużo ciast. Personel tego szpitala też. Naprzymosili frykasów, postawili na tacach w pokoju socjalnym. Widziałam, kiedy szłam do swojej celi.
– Wysunie miednicę, sprawdzę, jak postępowanie.
Skurcze bołą, jakby ktoś wyrzynał tkaninę ciała. Badanie to coś więcej niż wyrzwanie. Badanie rozdziera. Krzyknęłam w nadziei, że za chwilę będzie koniec.
– Ledwo trzy centymetry. Coś kiepsko rodzi, nieprawie – powiedziała. Może i była zmęczona, przepracowana, lecz Józek i tak by jej nagałał. Tylko że nie było Józka. Ciast nie było. Wanny. Anestezjologa.

– Co pani poradzę, jak lekarz pojechał do domu – prychna, kiedy proszę o znieczulenie. Miało być. W planie porodu zaznaczyłam, żeby było. I ta wanna.

– Gazu rozwesalającego też nie ma – uprzedza.
– Jest piłka. Niektóre rozwarcie na pilce lubią robić.
Choć to mój drugi poród, nic nie wiem o pilce i rozwarciu. Poprzedni trwał pięć minut. Syn ułożył się w poprzek, więc lekarz go wyciągnął. Potem był ból, ale był też Józek, który wziął trzy tygodnie wolnego.
Teraz nie ma Józka. Wanny. Anestezjologa. I jedzenia. Minęło 12 godzin rodzenia, robię się głodna. Ciało kurczy się, rozkurcza, wyrzyna dziecko. Pali kalorie.
– Czytałam, że dobrze jest się poruszać przy porodzie – stękam do położnej, która jedną nogą jest już u rodzącej zza ścianki.
– Dobrze – godzi się. – Se pochodzi.

Od okna do drzwi jest pięć kroków. I w poprzek ze trzy, ale trudno tam wcisnąć aparat do mierzenia tętna, który ciągnie się za mną na stojaku. Boję się poprosić, żeby odpieli. Jeszcze by pomyśleli, że się nie nadaję na matkę. Że interesuje mnie moja wygoda, nie dziecko.
– I jak tam? – Położna ciągle niezadowolona. Pewnie wolałaby w Wigilię z rodziną siedzieć, nie ze mną, z nami. Jak rekin krąży po trakcie porodowym między przepierzeniami. Kiedy otwiera drzwi, da się słyszeć Wham! puszczane w pokoju socjalnym jako dodatek do ciasta, o którym nie mogę przestać myśleć.
– Dużo dziś ich – słyszałam, jak skarżyła się salowej.
– Wszystkie chcą kolejnego zbawiciela, zaraz wielkopolskie będzie najświętszym województwem w kraju.
Dużo nas, a ich są cztery. Mimo wszystko decyduję się poskarżyć.

– Boli – jęczę.
– Boleć to dopiero zacnie – gasi mnie, choć trzeba przyznać, że uprzejmie. Uśmiecha się nawet. Odlącza KTG. Nakazuje mi do łazienki iść, kiszki opróżnić. Zza jej pleców wyłania się studentka. Zamiast zająć salatkę warzywną, będzie pilnować moich kiszki.
– Musi pani do łazienki iść, żeby nam tu niespodzianki nie zostawić razem z dzieckiem.

Stażystka staje pod drzwiami łazienki. Co chwila pyta, czy opróżniłam kiszki, czy może wolać po lewa tywę. Kłamię, że już. Siadam na kiblu i płaczę. Mają rację, nie umiem rodzić. Nie nadaję się. Cały dzień rodzenia, a ja wciąż trzy centymetry. I jestem głodna, choć nieobyczajnie w porodzie myśleć o jedzeniu. W dodatku moje dziecko nie dostanie dyplomu. Zależało mi, żeby miała coś na lepszy start. Nielatwo jej będzie dorastać u boku brata, co się nim wszyscy zachwycają.

W szpitalu robi się cicho. Jakby wszystkie już urodziły, tylko nie ja. Jakby wszystkie umiały. Zza przepierzenia słyszę gratulacje. „Ale się chłopczyk pani udał. Najśliczniejszy”. A więc rekiniasta potrafi być miła. Studentka też unosi brwi, próbuje jednak ukryć zdziwienie pod pokazną grzywą. Upewniwszy się, co z kiszki, wychodzi. Pewnie do pokoju socjalnego idzie, pewnie będzie jadła ciasto. Też chcę jeść.

Wyglądam na korytarz. Nikogo. Słysząc tylko w „Żłobie leży” i jakieś niemrawe pojękiwania, chyba może. Pakuję do plecaka kurtkę, schodzę po schodach tak szybko, jak tylko mogę. Nikt nie pilnuje drzwi. Stacja benzynowa jest 500 metrów na lewo.

Miło mi na dworze. Nogi ugniatają świeży śnieg. Myślę o Józku, który zabrał młodego na sanki, i jak za rok będziemy wszyscy razem zjeżdżać. Kurczę się, rozkurczam. Pojeżdżając, docieram do stacji. Jest kolorowa i pachnie hot-dogiem.

Sprzedawców nie obchodzi, że rodząca nie może jeść. Bez problemu sprzedają mi hummus, opakowanie baby marchewek i sok z porzeczki, co go piłam ostatni raz z 20 lat temu. Marchewek jednak nie jestem w stanie przelknąć. Kurczę się coraz silniej, jest mi niedobrze. Ale sok wypijam. Smakuje babcią, która dawała mi taki po szkole. Siadam sobie w kącie posłuchać kolęd, popatrzeć na światełka choinki. Jest ładniejsza niż ta na oddziale. Zadowolona kupuję drugi sok i wracam na porodówkę.

Ciągle nikogo przy wejściu. Wdrapuję się po schodach. Piętro pierwsze, drugie, trzecie. Moja cela jest na czwartym. Na szczycie schodów nachodzi mnie, żeby jednak zejść, żeby złapać się poręczy, żeby kucnąć. Słyszę, jak dzwonią na pasterkę. Ogarnia mnie myśl, jak wielka historia nic nie zmienia i jak ta mała zmienia wszystko.

Otwieram sok porzeczkowy z przemytu. Zaraz ktoś nakrzyczy, że na porodówce można pić tylko przezroczyste płyny. I tak piję. A potem uśmiecham się bezmyślnie i w tym uśmiechu krzyczę. Całą sobą krzyczę, całym ciałem, które rozlewa się wilgocią po podłodze. Wspaniale się rodzi na schodach. Ciało w tobie wędruje w dół i w dół, a ty z nim, schodek po schodku, skurcz za skurczem. Narodziny to akt schodzenia: metaforycznie schodzisz na ziemię i dosłownie też lecisz na leb na szyję tunelem w stronę światła lub vacuum, co przecież też się czasem zdarza. Upadasz, bo zdanem niektórych rodzisz się za karę. Zdaniem innych to nagroda. Ja nie mam zdania. Ja rodzę.

Trzymam się poręczy, ciężę ku ziemi, nawet ramiona mi opadły, nawet włosy, które na przyjazd do szpitala upięłam w misterny kok. I znowu krzyczę, i jeszcze raz. To jest taki dobry krzyk, jak na imprezie śpiewa się ulubioną piosenkę. Zza moich pleców wyrasta armia pielęgniarsko-położnicza.

– Co pani? Wszędzie pani szukamy.
– Przejść się poszłam – sapie.
– Kłopoty z tego będą.
– To mój poród. – Józek byłby dumny, że im w końcu nagałam.

Rodzenie to wędrówka na kraniec świata. Patrzysz w otchłań i coś każe ci skakać, więc skaczesz. Po drugiej stronie świat jest taki jak ten, tyle że z jednym człowiekiem więcej.

Ktoś z armii kuca do mnie kucającej.
– Musi...
– Wiem, co mam robić.
A potem podprowadzają mnie na salę, gdzie czeka położna. Nie widziałam jej wcześniej, chyba z nowej zmiany jest. Uśmiecha się. To ważne, żeby się uśmiechać w cudzym porodzie. Nie mówi, co muszę robić. Ona wie, że ja wiem.

Kurczę się, rozkurczam, śpiewam ulubioną piosenkę. Aż w końcu poznaję swojego człowieka, małą historię, która wciąż jeszcze się we mnie wydarza. ●

• Tekst powstał w ramach akcji „Święta pełne opowieści”

wyborcza.pl

Wyborcza.pl/prenumerata

Chcę zobaczyć niedźwiedzia

Kiedys położył się jeden pod kasą i ludzie nie mogli kupić biletów



ADAM WAJRAK

j

Jej sen nie był zbyt głęboki. Serce, które zwolniło ze stu do dwudziestu uderzeń na minutę, przyspieszyło. Nie była już zwinęta embrionalnie, przeciągała się, kręciła, na ile pozwalała wysłana mchami i darnią gawra w świerkowych zwałiskach, pełnych pni niczym bierki i wykrotów, ale przytulna i bezpieczna. Ale coś malego, różowego pojawiało się nagle, wyskoczyło pod ognem, żywotne i piszczące skrzekliwie.

Jest rok 2003, piszę o niedźwiedziach w Puszczy Białowieskiej, przed sobą mam teczkę z maszynopisem od Tadeusza Buchalczyka, naukowca, wtedy z Zakładu Badania Ssaków PAN w Białowieży. Przewracam delikatnie kartki zapelnione maszynopisem. Autor to nie tylko znawca niedźwiedzi, ale też antykomunistyczny konspirator i oficer przedwojennego wywiadu, Konrad Makush-Woronicz, ps. Niedźwiedź Szary, przyjaciel Buchalczyka. – Zajmował się rozpracowywaniem niemieckich sił na Opolszczyźnie. Musiał być profesjonalistą, bo w czasie okupacji awansował na dowódcę wywiadu okręgu łwowskiego AK – mówił mi Leszek Moczulski, z którym „Niedźwiedź Szary” współpracował w latach 70. Przed wojną napisał pracę o niedźwiedziach, a po wojnie jego domu na Opolszczyźnie pilnował, poza psami, właśnie niedźwiedź. Przed śmiercią przekazał notatki Buchalczykowi, z którym łączyła go wspólna pasja.

Był maj 1976 roku, kiedy Woronicz kończy stukać w maszynę, gdy kończy przesłuchiwać starego, puszczańskiego strażnika Sergiusza Waszkiewicza, ostatniego żyjącego opiekuna białowieskich niedźwiedzi. Waszkiewicz kończy słowami, że chciałby, by wspomnienia dotarły do tych, którym droga jest Puszcza Białowieska. „Ja, łowczy puszczański i opiekun niedźwiedzi, chciałbym jeszcze doczekać dni, kiedy on – niedźwiedź – wróci do puszczy”.

Nie doczekał ani on, ani „Niedźwiedź Szary”. Ja muszę doczekać. Muszę zobaczyć powrót niedźwiedzi do puszczy, gruchnęło mi wtedy i zostało, bo puszcza bez niedźwiedzi nie będzie puszczą.

CAR WYBIJA

W roku 1820 i 1823 do puszczy zagląda baron Juliusz Brincken, inspektor Lasów Państwowych Królestwa Polskiego.

Lutowego poranka 1823 roku podjęto go śniadaniem, szynką z niedźwiedzia. W późniejszym dziele pt. „Opis cesarskiej Puszczy Białowieskiej na Litwie” baron wspomina niedźwiedzie. To niezwykle opis, bo na początku XIX wieku niedźwiedzi na obecnych ziemiach polskich prawie nie było – poza górami wybito je niemal wszędzie. W Puszczy Białowieskiej żyją spokojnie aż do drugiej połowy XIX wieku. W 1860 roku puszcza zwabia wielkiego miłośnika polowań cara Aleksandra II. Car i jego świta zabijają w dwa dni 28 żubrów, 2 losie, 10 danieli, 11 dzików, 16 wilków i saren, 7 lisów, 4 borsuki i 2 zające. Żubry są oczkiem w głowie cara i wszystko, co im zagraża, musi być

usunięte. Przede wszystkim niedźwiedzie i wilki. W 1869 roku strzela się do nich i truje, giną wilki, rysie, a ostatni wolny niedźwiedź zostaje zabity w 1878 roku.

POWRÓT NIEDŹWIEDZI

Puszcza, do której przyjeżdża w 1928 roku dr Jan Jerzy Karpiński, to inna niż przed I wojną światową. Niemilosierlnie pocięta i nadal cięta. Zaczęli Niemcy, po nich nastąpili Anglicy z firmy Century, która wybiera największe dęby. Niby zerwanie kontraktu z Anglikami miało coś zmienić, ale Lasy Państwowe też tną. Jedynym spokojnym w miarę miejscem jest nadleśnictwo Rezerwat, ledwie jakieś 4 proc. puszczy. Dyrektorem tego skrawka jest właśnie Karpiński, zastąpił Józefa Paczoskiego, botanika, który był niezbyt lubiany przez dygnitarzy Lasów Państwowych, miał nawet stanąć na drodze z dubeltówką, gdy dygnitarze chcieli po rezerwacie jeździć samochodem.

W puszczy poza rezerwatem słychać piły i strzały, bo wracają reprezentacyjne polowania. Połuje prezydent Mościcki i jego goście, także wielki łowczy Rzeszy Hermann Göring. Nie wszystko idzie źle. W 1929 do puszczy wracają żubry. – Ale co to za puszcza bez niedźwiedzi – myśli dr Karpiński. Dopiero w 1937 roku przyjeżdża pięć niedźwiedzi. Ciężarna samica Lola z poznańskiego zoo oraz cztery niedźwiadki ze Związku Radzieckiego: Ryży, Grubasek, Białka i Czarna. Młode skakały na ludzi, wyprawiały harce, jak pisze Karpiński. Te zabawy, szczególnie z ludźmi, są zapowiedzią kłopotów. Zaczyna się od Ryżego, który demoluje gajówkę, został zamknięty w klatce.

– Oj, te misie – opowiadał mi Dymitr Buszko. – Biegały na stację kolejową. Kiedys położył się jeden pod kasą i ludzie nie mogli kupić biletów.

Dymitr Buszko też miał z nimi swoje porachunki – jako chłopak pasał gęsi, a misie je porywały. – No to zapędziliśmy je do stodoły i lanie kijami sprawiliśmy. Strasznie to głupie było, bo jakby się któryś odwinął, toby i zabił.

Latem 1938 jeden z nich poranił 18-letnia Marysię Pilelenicynową, która wybrała się na jagody z koleżankami. Przyzwyczajone do ludzi niedźwiadki zostają wyłapane, ale Czarną zatłukli chłopcy we wsi Omeleń, gdy próbowała porwać owcę. Z całej czwórki jedynie Grubasek pozostał na wolności. Stronił od ludzi, bo wkradł się do rezerwatu losi, gdzie został dotkliwie pobity przez strażników i pokopany przez loszę Baśkę.

Projekt nie upadł. W najdalszej części puszczy postawiono klatkę z ciężarną niedźwiedzicą Lolą, a obok niej chatynkę dla strażników. W styczniu 1938 roku urodziła Jasia i Małgosię. Strażnicy ograniczyli z nimi kontakty do minimum. Lola, gdy słyszy człowieka, wypycha maluchy do barlogu, a sama zastawia swym cielskiem wejście. Klatka Loli zbudowana jest tak, że roztaw między jej prętami pozwala młodym na swobodne wchodzenie. Gdy nie ma w pobliżu ludzi, zaczynają same poznawać las. Wygląda na to, że niedźwiedzie wrócą do puszczy. Niestety wybucha wojna, do puszczy wkraczają Sowici. Strażnik Jan Sac nie opuszcza niedźwiedzi, dowozi Loli jedzenie, ale w końcu trafia do sowieckiego wojska. Ginie nie wiadomo gdzie.

Lolę biorą pod opiekę Jan Patoka i Sergiusz Waszkiewicz. Obydwaj są przedwojennymi strażnikami łowieckimi, a Patoka to prawdziwy arystokrata. To on był łowieckim przewodnikiem wszystkich gości prezydenta Mościckiego. Kiedy władze sowieckie zaczynały się interesować Lolą, to strażnicy wypuszczają ją na wolność. Projekt dr. Karpińskiego definitywnie upada, puszcę po wojnie przedzieli granica. Wiele lat później Nuria, moja partnerka, która jest naukowczynią i bada te zwierzęta, zbiera informacje do pracy, którą pisze z kolegami o tym, co działo się w puszczy z niedźwiedziami. To pierwszy projekt reintrodukcji drapieżników na świecie i jak dotąd jedyna próba reintrodukcji niedźwiedzi, przynajmniej w Europie. W latach 30. ubiegłego wieku drapieżniki takie jak wilki czy niedźwiedzie wciąż były bezwzględnie tępione. – Karpiński albo Żabiński wyprzedzali współczesny im świat o całą epokę. – Nuria jest pełna podziwu. – Już wtedy wiedzieli, jak ważne są dla ekosystemu.

– To dlatego niedźwiedzie muszą wrócić do puszczy? – pytam Nurię.

– Tak, ale najlepiej niech wrócą same.

OSTATNI TROP

Tadeusz Buchalczyk ma się stawić w gabinecie dyrektora zakładu profesora Zdzisława Pucka. Czekal tam już na niego porucznik Teodor Jonasz z Wojsk Ochrony Pogranicza. – Pojedziesz na granicę, bo tam znaleźli jakieś tropy – oświadczył profesor. – Poszedłem do biblioteki i zabrałem radziecki atlas do rozpoznawania tropów i śladów zwierząt – wspomina Buchalczyk. – To było za parkiem narodowym. Stoi kilku surówych, sowieckich oficerów, dwie drużyny żołnierzy, a na zaoranym pasie leży kładka z kilku żerde i coś przykryte płatami brzoźowej kory. Kiedy je odkryto, rozpoznałem bez trudu tropy. Niedźwiedź. Pokazałem jeszcze tropy w atlasie, ale nie uwierzyli. Jeden z oficerów wskazał na żołnierza i zażądał: „Oddaj automat i ściągaj buty, maszeruj”. Wojak ruszył przez pas. „Nie tak, zawołał oficer, na czterech”. Po czym pochylili się nad ziemią. – Niepodobne.

Ten niedźwiedź kręcił się około tygodnia po polskiej części puszczy. W pierwszej połowie lat 60. nie mogło mu się tu podobać, ta część była wycinana na potęgę. Wrócił na wschód. Potem nikt już niedźwiedzi w polskiej puszczy nie widział, były tylko pogłoski.

KONIEC LEŚNEJ RZEZI

Czerwiec 2019 roku. W puszczy od półtora roku nie słychać pił, czy raczej harwestarów, piekielnych maszyn zdolnych wycinać nawet 200 drzew dziennie. Cięcia, na jakie zdecydował się w 2017 roku oszalały minister środowiska w PiS-owskim rządzie Jan Szyszko, były niespotykaną w wolnej Polsce rzezią. Lasy Państwowe wycięły blisko 200 tys. metrów sześciennych drewna, około 6 tys. ciężarówek po brzegi załadowanych drzewami. Ci, co podnieśli rękę na największy polski przyrodniczy skarb, srodze się przeliczyli. W obronie puszczy stanęły organizacje pozarządowe, obywatele i obywatelki, naukowcy, prawnicy oraz instytucje europejskie i międzynarodowe. W listopadzie 2017 harwestery, po rozstrzygnięciach przed Europejskim Trybunałem Sprawiedliwości, musiały puszcę opuścić. I od tego czasu to najlepszy czas dla puszczy od 1915 roku.

W czerwcu 2019 roku pracownik Instytutu Badawczego Leśnictwa zobaczył niedźwiedzia. Zwierzę nagrało się również na fotopułapkę Instytutu Biologii Ssaków. To był młody samiec. Skąd przyszedł? Zapewne z Białorusi, z Puszczy Nalibockiej. To tylko 200 km od nas, dla niedźwiedzia to nic. Niedźwiedź Iwo z Tatrzańskiego Parku Narodowego pokonał 375 km w trzy tygodnie. W moim sercu pojawia się promyk nadziei, tym bardziej że puszcza w 2019 roku jest inna niż za czasów dr. Karpińskiego, dziksza, bardziej zapuszczona i niedostępna dzięki wygranej w 2017 roku. Stosy padłych świerków są świetnym schronieniem. W takich miejscach niedźwiedzie gawrują w Tatrach. Chodzi nie tylko o sen zimowy – w gawrze rodzą się też na przełomie grudnia i stycznia młode, a dopóki nie urodzi się u nas mały niedźwiadek, dopóty marzenie wspomnianych naukowców, Nuri i moje oraz wielu ludzi się nie spełni.

Tylko że nadzieję na powrót niedźwiedzi znów przekreślają nasze ludzkie rozgrywki. Ich powrót został zatrzymany przez budowę muru – granicznej zapory, która definitywnie rozcięła puszcę na dwa oddzielne ekosystemy. ●

• Tekst powstał w ramach akcji „Święta pełne opowieści”

wyborcza.pl

Wyborcza.pl/prenumerata



GRAŻYNA PLEBANEK

m

Mój pradziadek miał mądrą świnkę. Przybiegała na wołanie, chodziła za nim do warsztatu stolarskiego, a w zimowe wieczory kładła mu się na stopach, grzejąc je brzuchem. Dzieci bawiły się z nią, ciągnęły za ogonek, goniły po mieszkaniu.

– Zobaczcie, Gienia się uśmiecha, można by przysiąc – mówił pradziadek.

Bo świnka miała na imię Gienia. Tak ją ochrzciła prababcia, nękana zadrą z kawalerskiej przeszłości męża, który kochał się w pannie Gieni z Leszna, ale dostał kosza. Prababcia lubowała się we frazach: „Aleś się, Gieniu, uświła” oraz „Niegrzeczne świnki podaje się w galarecie”. Bawiła ją gra słów – świnka jako prosię, i świnka – ryba z rodziny karpiowatych. Prababcia lubiła wiedzieć, dlatego na zmianę wertowała książkę kucharską, encyklopedię i Biblię.

Tej zimy przed Wigilią prababcia zabrała dzieci na ślizgawkę. Kiedy wrócili, zmęczeni, w przemoczonych ubraniach, świnka nie wybiegła im na powitanie. Rozeszli się po mieszkaniu, wołając: „Gienia, Gienia!”, ale z kątów, gdzie zwykle polegiwała, wyjrzała pustka.

– Gdzie jest świnka? – dopytywały się dzieci zaniepokojone. – Uciekła?

– Gienia uciekła? – wzruszył ramionami pradziadek. – A gdzież ona by pobiegła na tych swoich krótkich nóżkach?

– Znajdzie się – uśmiechnęła się pod nosem prababcia.

Nadeszła Wigilia. Stół uginał się od potraw, których nie widzieli przez cały rok. Polyskiwała galareta stężała na bezokim karpiu, śmietana puszyła się nad śledziem posiekany w dzwonka, czerwieni barszczu ciemniała pod stulonymi, bladymi uszkami.

– Kiedy będą prezenty? – niecierpliwiły się dzieci. – Jak zjesz karpia w galarecie.

– Nie lubię karpia. – To nie jest zwykły karp, tylko złota rybka, która spełnia trzy życzenia. Czego sobie życzycie?

– Żeby Gienia się znalazła.

Pod koniec uczty wjechały ciasta i orzechy. – Dajcie mi dziadka, gdzie on się podział – żartował ktoś, a prababcia jak co roku niezmiennie odpowiedziała:

– A weź go sobie! Co mi po nim, starym dziadzie – i lypiąc na męża, podsunęła gościowi dziadka do orzechów.

Na sam koniec przyniesiono misę wypełnioną czerwonymi jabłkami. Wyglądały tak świeżo i ponętne, jakby dopiero spadły z drzewa.

– Gienia lubi jabłka! – zawołało najmłodsze dziecko. – Zostawmy jedno dla niej.

Dzieci padły przed północą, syte i zmęczone radością. Były grzeczne, Święty Mikołaj przyniósł im w nagrodę piękne upominki i nikomu nie dał różgi. Tylko Gieni wciąż nie było, chociaż dzieci zja-

dły ościstego karpia, ani przez chwilę nie wierząc, że szare cielsko w galarecie ma coś wspólnego ze złotą rybką.

Pierwszego dnia świąt zerwały się zaraz po obudzeniu, żeby jak najdłużej bawić się prezentami. Tymczasem do domu zjeżdżali się goście, a dobrze znane kąty wypełnił niecodzienny harmider. Wkrótce nadszedł też ksiądz i wreszcie można było zasiąść za stołem.

– W ten świąteczny czas niech nam się darzy – oznajmił uroczyście pradziadek, a wuj, który słabo słyszał, dorzucił niepotrzebnie: „Darzbór!”.

– Temu domowi wszelkiej obfitości – odezwał się ksiądz, a zawianej stryjence, wielbicielce nalewki z wiśni domowej roboty, wyrwało się:

– Obyśmy jak najczęściej razem zasiadali.

– A teraz... – oznajmił pradziadek. Zapadła cisza, wstrzymano oddech.

W drzwiach, jak co roku, pojawiła się prababcia. Żabot bujał się pod brodą, kok białych włosów przykrywała srebrzysta siateczka. Przed sobą nosła największy półmisek ze świątecznej zastawy w różyczki.

– Aaa! – Podniosły się okrzyki zachwytu.

Na kwiatkach prześlicznej porcelany spało zwierzątko. Przymknęło oczy, jak to zwykle robiło zmęczone zabawą, gdy dzieci dawały mu wreszcie wytchnąć po domowej gonitwie. Kręcony ogonek leżał spokojnie na świeżym listku sałaty. Szeroko otwarty pyszczek wyglądał, jakby się uśmiechał.

– A nie mówiłem, że się znajdzie? – zawołał pradziadek do dzieci. – Złota rybka w galarecie spełniła wasze życzenie.

– Gienia! – zaklaskało najmłodsze. – Odnalazła się! Daliście jej jabłko, jesteście tacy dobrzy...

Śmiech wybuchł z taką siłą, że dzieci zakryły sobie uszy rękami. Tylko najmłodsze wciąż klaskało. Klaskało coraz mocniej, z błędną twarzą, a usta zamieniły się w cienkie kreski. Klaskało i nie przestawało nawet wtedy, gdy umilkła już zbiorowa wesołość, a dorośli przestali stroić sobie żarty z dobrodziejów, którzy nakarmili świnkę czerwonym błyszczącym jabłkiem.

Pierwszy raz widziałam świniobicie, kiedy miałam trzynaście lat. Byłam miastowym dzieckiem, to był mój pierwszy pobyt na wsi. Mieszkaliśmy w starutkiej chałupie pośrodku lasu. Wiodła tam jedyna droga, którą zimą zasypywał śnieg. Za szpalerem bezlistnych brzóz rozciągały się pola.

Kiedy usłyszałam krzyk, podskoczyłam na sieniaku. Byłam pewna, że to zły sen, ten głos błagający o pomoc. Otuliłam się koldrą, wpatrując się w ciemne belki powały.

Znów krzyknęła. Ona – nie wiem, dlaczego tak pomyslałam.

Zerwałam się i pobiegłam szukać ojca. – Słyszałeś? – zapytałam.

Siedział pod chałupą na odartym z kory pniu, który służył za ławkę. Między palcami żarzył się ognek papierosa.

Za ściany lasu znów odezwał się ten głos, przeciągły, pełen nieopisanego bólu.

– Co to jest? – krzyknęłam. – Świniobicie.

Rozłożyłam słowo na czynniki pierwsze. Bicie, świnią. Nie stał za nimi żaden znajomy obraz. Abstrakcja.

– Zrobmy coś!

Ojciec spojrzał na mnie smutno. Do dziś pamiętam ten wzrok.

Klapnęłam obok niego na pniu. Dym z papierosa ojca oddzielił mnie od innej woni, obcej, gryzącej, żełazistej, która docierała do nas zza otuliny drzew.

Po południu krople odwilży ściekające ze słomy dachu zamieniły się w błyszczące sople.

– Idę zobaczyć, co u sąsiadów – mruknął ojciec. – Pójdę z tobą. – Wstałam. – Lepiej nie – odparł, ale nie słuchałam.

Szliśmy po ściętych mrozem grudach ziemi, pod butami chrupało. Pola rozwijały się popielatymi pasami, przymrozek lukrował skiby. Słońce przyczaiło się za chmurami, jakby dostępu do ziemi broniła mu chwiejna kreska dymu, unosząca się z komina chałupy sąsiadów.

Dotarli do nas podniecone głosy mężczyzn. Przekrzykiwali się, któryś huknął na pozostałych, ktoś odpowiedział mu krzykiem, gruchnął śmiech. Dotarliśmy do furtki, rozszczełał się pies. Znał nas, karmiliśmy go, kiedy tu przychodziliśmy po jajka i mleko. Ale tym razem wyparł się znajomości i ujadął na nas.

Pchnęłam furtkę. But trafił na lód, w ostatniej chwili chwyciłam się sztachety. Ziemia pode mną była czerwona.

– Zostań tu – mruknął ojciec i poszedł w kierunku grupy mężczyzn.

Podwórko szkliło się, lodowe zacieki zastygły przed oborą i stodołą, krwiste jezory dotarły aż do chałupy. Pies przestał szczekać, zgarbił się i lizał w zapamiętaniu czerwony lód. Po drugiej stronie, ze ściany obory, zwiślała uśmiechnięta twarz z półprzymkniętymi, nieruchomymi oczami.

– Chodź do nas – usłyszałam.

Gospodyni machała do mnie wesoło sprzed drzwi chałupy. Włosy przewiązała chustką, fartuch miała uwalany na czerwono. Wyglądała na zmęczoną, ale na jej twarzy malowało się zadowolenie.

– Chodź – powtórzyła. – Jest świniobicie.

Kiedy zapada noc, gdy polyskują gwiazdy, a wszyscy idą spać zmęczeni świąteczną radością, nakrywam do drugiej wigilii. Wyjmuję sianko spod obrusa i układam nim podłogę. Zbieram czerwone jabłka, których nie przejedli goście, układam jedno obok drugiego, w błyszczącym rządku. Gdy pobożni ludzie zmagają pacierze, a wódka rozgrzewa objedzone ciała, siadam na ziemi i słucham.

Odzywa się Ona i opowiada o swoim życiu i troskach. Wspomina knura, którego nie chciała, ale ustawili ją tak, że nie mogła się ruszyć. Wymienia imiona swoich dzieci, choć nie wszystkie już pamięta. Wspomina dotyk ciepłych pyszczków pchających się do wymion. Mówi o swarach z sąsiadkami i o swojej przyjaźni z suką. Chuda, wiecznie głodna, potrafiła odgonić psa od prosiąt.

Słucham Gieni, która nie pamięta swojej matki, bo zabrali ją od niej, gdy była mała. Zamiast matczynego ciepła wspomina rozgrzane kafelki pieca i śliskie posadzki, po których uciekała przed dziećmi. Przypomina jej się dotyk ich rąk, czasem czuły, częściej dokuczliwy. Szarpali ją za ogonek, tarmosili za uszy. „Uśmiecha się, można by przysiąc” – wołał człowiek, któremu grzała stopy.

Odzywa się druga Gienia, a po niej trzecia, czwarta i kolejne. Co roku brano nową świnkę. Dbano o nią i dobrze karmiono, żeby na pierwszy dzień świąt podać tłuste prosię z jabłkiem w pysku. Goście klaskali, prababcia kroila świnkę, a ksiądz dostawał największą porcję.

Ona i Gienie snują swoje świąteczne historie, a kończą je niezmiennie zdaniem zawianej stryjenki: „Obyśmy jak najczęściej zasiadali razem”.

• Tekst powstał w ramach akcji „Święta pełne opowieści”

wyborcza.pl

Wyborcza.pl/prenumerata

Bóg się rodzi, myję okna

Matka szalala po domu w rozwianej podomce. Wiadomo, że nie chodziło tu po prostu o sprzątnięcie i tak zresztą schludnego mieszkania



SYLWIA CHUTNIK

i

I już miał go pocałować, kiedy zadzwoniła matka.

– Przyjdź do mnie rano, to ukreć się mak.

Znał ten ton, nienawidził go, bo przypominały mu się wszystkie niezdane egzaminy, zawalone klasówki, życiowe błędy i porażki. Był to głos nieznoszący sprzeciwu, despotyczny, na dodatek podszyty nutką szantażu. Bo co: starej, biednej, schorowanej matce maku nie utrże? Niechby spróbował. Już tam szatan węgiel nosi pod kociołek, co do niego wsadzają niewdzięcznych synów.

– A, i okna pomyjesz, bo mi się kręci w głowie, jak na krzesło wchodzi.

Rozłączyła się, co będzie dalej gadać. W końcu wydała rozkazy i nie ma co czekać na odpowiedź, bo ta może być tylko jedna, mianowicie:

– Tak, mamo.

Tak, rzucę wszystkie zobowiązania, zostawię tego oto tu słodkiego chłopca, którego bajerowałem od kilku tygodni tylko po to, żeby w momencie miłosnego uniesienia dowiedzieć się, że mam ukreć mak. Szkoda, że nie ukreć leć tej hydrze zwanej świętami.

...

Groza narastała od kilku tygodni. Nikt się nie cieszył narodzeniem Jezusa, bo zawsze jest z tym niezłe zamieszanie. Zaczynało się w okolicy listopada, już gdzieś tak nad grobami matka wdychała z melancholią:

– Mój Boże, że też Stasiek nie dożył kolejnej Wigilii. By mu się skarpety kupiło, dezodorant dorzuciło.

To był sygnał, że czas wyciągać obdrapaną choinkę z piwnicy. Mateusz patrzył znacząco na siostrę, która – cwaniara! – co roku uciekała na koniec grudnia gdzieś do ciepłych krajów, symulując chorobę lub natłok zobowiązań w pracy. A potem wrzucała zdjęcia w bikini na stories i jeszcze je hasztagowała: „święty spokój”, że ni-by taki żarcik, tylko nieśmieszny dla tych, co musieli umęczać się przy stole. Matka co roku oburzała się, że:

– Jak to, w taki dzień każą pracować! To jest niezgodne z kodeksami!

Siostra odpowiadała wtedy poważnym tonem, że przecież jej firma jest za-gra-ni-czna i mają swoje zwyczaje, nietutejsze, które ona musi uszanować, gdyż premiera, awans, owocowe piątki. Potem mrugała do brata i tyle ją widzieli.

A on mniej więcej dwa tygodnie przed Wigilią dostawał psychosomatycznych objawów zatrucia emocjonalnego, otóż przestawał spać, dostawał ataków duszności, słysząc kolędy, i miał mroczki przed oczami, kiedy pytało się niewinnie:

– Masz już kupione prezenty?

...

To był oddzielny, również trudny, temat. Matka uwielbiała dostawać torby, pudła, wręcz naręcza artefaktów, ale nigdy nie była z nich zadowolona. Rajstopy słabej jakości, czekoladki twarde, młynek do kawy głośny, sweter drapiący, zestaw witamin „Senior” no to chyba nie dla niej, bo ona nie jest stara. I tak dalej. Zawsze źle, a najbardziej tuż po zjedzonej kolacji, kiedy trzeba było tak długo chwalić przygotowane przez nią dania, że schodziło z tym do pasterki.

Mało tego, należało komplementować z odpowiednim zaangażowaniem, ponieważ każda fałszywa nutka od razu była wychwytywana:

– Ale coś ci ten kompot w tym roku nie podszedł.

– Nie, no co ty, pyszny był.

– Słyszę po głosie, że niekoniecznie.

– Gdzie tam, był wybitny, lepszy niż w zeszłym roku!

– To w zeszłym był taki zły? Ciekawe, mówileś wtedy, że ci smakował.

Wszelka rozmowa była jak poruszanie się po terenie pełnym pułapek. W każdej chwili nieopatrzne stwierdzenie mogło przekreślić dotychczasowe starania i cofnąć na planszy konwersacji do miejsca startu. A nawet zrzucić do piekła, nazywanego również Pieczarą Wypominania:

– Sama was wychowywałam, nikt mi nie pomagał, namęczyłam się, nadzwigałam siat, nikt przysłowiowego „pocałuj mnie w dupę” nawet nie powiedział. Na emeryturze tyram jak wół. Wó! Nikogo to nie obchodzi, obrus musiałam nawet położyć na stole bez niczyjej pomocy, nikt nawet nie zapytał, nikt się nie zatroszczył.

Mateusz znał zasady tej gry, należało wtedy przełączyć się na emigrację wewnętrzną, zrobić plany na kolejny tydzień, obmyślić, co kupić na sylwestrową imprezę. Należało przeczeć lawinę pretensji i co jakiś czas mruknąć coś pod nosem, na przykład „przepraszam”, ale właściwie nie wiadomo za co, bo wymówki zaczynały dotyczyć czasów prenatalnych, odległych, kalendarzowo niedostępnych. Tak kończyła się wigilia, a dzień później, w święta, zaczynało się wszystko od początku, z utrapieniem w głosie oraz umęczeniem w ciele.

...

Po telefonie matki Mateusz pożegnał się więc z chłopakiem, uśmiechając przepraszająco, że rozumie, no ale mama, obowiązki, on syn dobry i szlachetny. Przecież nie byłby w stanie odmówić matce, w końcu go urodziła, a to nie jest takie hop-siup. Chłopak przytaknął, rozumie, patriarchat, te sprawy. Widać było jednak, że nie rozumie. Pewnie pochodzi z rodziny, gdzie sobie można, ot tak sobie, powiedzieć przy opłatku: „Hej, jestem gejem, polecam serdecznie”, i nikt nawet nie mrugnie.

Mateusz stawiał się karnie z samego rana ze starymi dresami w plecaku. Przebrał się w łazience i zaczął przygotowywać do mycia okien. Piana wylewała się z miski przy każdym ruchu. Zanurzał dłonie w ciepłej wodzie i wyobrażał sobie, że jest daleko nad morzem i zaraz wskoczy między fale. Zniknie. Tymczasem nad głowę nadawało Radio Harowa:

– Szybciej, przecież podłogi musimy zdążyć wypastować. I nie chlap tak wszędzie, jeszcze się poślizgnę i nogę zlamie. Matko, w moim wieku to by był koniec. I to przed świętami byście mi Kyrie eleison nad trumną śpiewali...

– Matka ocierała łzy wzruszenia, które pojawiły się na myśl o tak strasznej scenie.

Mateusz rozmazywał ścierką wodę po szybie. Robił z niej psychodeliczne wzory, nawet żartował coś o twarzy Maryi, która miała rzekomo pojawić się na jednym z okien.

– Ty mnie tu Matką Boską nie zagaduj, bo ona nam tu sprzątać nie pomoże. Tylko się z góry będzie patrzeć i kręcić głową z niedowierzaniem, jak ja tak syna wychowywałam, że się guzdrze i porządnie nie umie gazetami wytrzeć szyby! Jej syn to by umiał w sekundę to zrobić, co tobie zajmuje, Mateusz, godzinę.

„Lepiej niech jej syn przemieni natychmiast kranówkę w wino, bo mnie strzeli jasna cholera i na trzeźwo nie ogarnę”, pomyślał Mateusz, ale ruszył żwawiej z pracą, bo chciał ją mieć już za sobą.

...

Matka szalala po domu w rozwianej podomce. Wiadomo, że nie chodziło tu po prostu o sprzątnięcie i tak zresztą schludnego mieszkania. Typowa kłitka w bloku: kosz pod zlewem, ścierka na ręczce od piekarnika i pilot w folii. Wychuchane, wyszorowane od góry do dołu, bo wiadomo: to wizytówka każdej kobiety. Jak zapuka znienacka sąsiadka czy listonosz z emeryturą przyjdzie, to żeby sobie jedna z drugim nie pomyśleli przypadkiem, że u Eli syf i brud. A jak w nocy zemdleje, nie daj Boże, i karetka przyjedzie, to jak ona lekarzy ugości? W kurzu?

To już by wolala, żeby oni wcale nie przyjechali. No, ale na święta to trzeba dodatkowo się natrudzić, bo wiadomo. Jezus nie będzie rodził się w bałaganie. Już mu wystarczy, że go w stodole powili i nie wiadomo, ile tam zarzązków nałapał. Slabowity był taki potem, przecież to wiadać na obrazach. Już o końcu nie wspominając, ale to się o tym pomyśli na Wielkanoc. O, wtedy to trzeba będzie ściany odświeżyć, bo to nie wypada. W tym roku już nie ma czasu, syn przecież tak się ślimaczy, że by do Trzech Króli nie dokończył tym walkiem machać. No nic, dzieci są, jakie są. Kochać trzeba, chociaż czasem to się z samotności oczy zaszkłają i tak ciężko na duszy, że tyle w życiu trzeba się narobić, a czy to kto zauważy, doceni, dobre słowo powie?

Mateusz nie miał już prawie skóry na rękach od tego pucowania okien, a tu jeszcze gwóźdź programu, mianowicie:

– Czas na mak!

Na blacie wylądowały wszystkie niezbędne przybory. Mateusz, jak co roku, nieśmiało napomknął, że przecież można kupić taki zmielony i będzie mniej pracy.

– Leniwy jesteś, ja wiem, to po ojcu. Kręć i nie kombinuj.

I kręcił, co miał robić. Wpadał w trans, coraz szybciej i szybciej uciarał małe grudki i coraz bardziej czuł wkurzenie. Nie był przyzwyczajony do takiego uczucia.

„Co ja się tak irytuję, przecież nic się nie dzieje”, myślał i coraz bardziej ogarniała go złość. Czuł, że zaraz wybuchnie, że zaraz stanie się coś przerażającego. A może i ekscytującego? To chyba przez ten mak, w końcu zawsze miał właściwości halucynogenne. Najwyraźniej Mateusz musiał się odurzyć, bo zanim pomyślał, wypalił głośno:

– Pierdolę, nie robię.

Matka zatrzymała się na środku pokoju z odkurzaczem i spojrzała na swojego syna.

– Czy ty właśnie powiedziałeś...?

– Dokładnie tak. Nie będę już nic robił. I w ogóle nie przyjdę na święta. Jestem niewierzący.

Matka podeszła do niego i położyła mu dłoń na czole. Chyba nie złapał tego kowida?

– Słyszysz mnie? Mam tego dość. Poza tym – tu jednak głos nieco mu zadrzał – chcę spędzić ten czas z moim chłopakiem. A przecież do ciebie z nim nie przyjdę.

Cisza.

Ale taka, co ją można nożem kroić, tylko lepiej nie jeść, bo niestrawna.

– Masz chłopaka? – cicho zapytała.

– Tak. I to nie pierwszego. Tylko zawsze bałem ci się powiedzieć. – Mateusz pomyślał, że zdecydowanie musi być naćpany, bo właśnie w starym dresie i uwalanych łapach się wyoutował. Może to jakiś dziwny film, nie jego życie?

A jego matka, ta sama od irracjonalnych porządków, zrzędenia nad głową i kompulsywnego czyszczenia glazury szczoteczką do zębów, usiadła na wersalce i zaczęła mówić:

– Zawsze najbardziej się bałam, że nie będziesz mnie lubił. Nie „kochal”, ale lubił właśnie, tak po ludzku. I że nie będziesz miał do mnie zaufania, że będziesz się przy mnie czuł niepewnie. No i tak się stało. Matko Boska, synku, wybac mi, proszę – w szlochu podeszła do niego, a ten przytulił ją spontanicznie (to ten mak, naprawdę!) i trzymał bardzo mocno. Jeszcze mu w rękaw trochę posmarkała, a potem – jak to ona – wyprostowała się i zasnadniczym, chociaż jeszcze przez łzy, głosem zapytała:

– No, ale to jak ten twój chłopak przychodzi, to ja przecież muszę dodatkowe nakrycie postawić. I jedzenia musimy dorobić, nie starczy! To się trzeba pospieszyć, Mateusz, co tak stoisz nieprzytomny, pastujemy podłogę! ●

• Tekst powstał w ramach akcji „Święta pełne opowieści”

wyborcza.pl

Wyborcza.pl/prenumerata

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH



2024
ROK JUBILEUSZOWY

TEATR ŻEROMSKIEGO W KIELCACH



Ilustracja: Patryk Hardziej



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



WOJEWÓDZTWO
ŚWIĘTOKRZYSKIE

Wspólnie działamy na rzecz Europy **zielonej**, **konkurencyjnej** i **sprzyjającej integracji społecznej**.

Teatr im. Stefana Żeromskiego w Kielcach
jest jednostką organizacyjną Samorządu
Województwa Świętokrzyskiego
współprowadzoną przez Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego.

WWW.TEATRZEROMSKIEGO.PL

REKLAMA

N A S Z A E U R O P A

Boris Pistorius, minister obrony RFN

NIE DO KAŻDEGO
JESZCZE DOTARŁO,
JAK BARDZO
JESTEŚMY
ZAGROŻENI

– Nie chodzi wyłącznie o agresywną Rosję. Zagrożenie migracjami i terroryzmem zaczyna się daleko od Europy. Dlatego jej armie muszą być tam obecne – przekonuje minister obrony Niemiec, obecnie jednego z najbardziej pacyfistycznych krajów UE.

Thorsten Jungholt, Dagmar Rosenfeld,
Jacques Schuster

WELT

Sytuacja militarna w Ukrainie staje się coraz trudniejsza, brakuje amunicji. W Waszyngtonie Republikanie blokują dalsze wsparcie dla Kijowa. Czy pan i inni unijni ministrowie obrony przygotowujecie się na najgorszy scenariusz, w którym Europa będzie musiała zrekompensować brak pomocy ze strony USA?

– Oczywiście. Zdajemy sobie sprawę, że prędzej czy później będziemy musieli zapłacić luki w dostawach amerykańskich. Teoretycznie pewnych braków nie będziemy w stanie natychmiast zrekompensować.

Jakich?

– Możemy założyć, że USA będą stopniowo coraz bardziej zaangażowane w regionie Pacyfiku – niezależnie od tego, kto zostanie następnym prezydentem i czy nastąpi zmniejszenie, nawet tylko umiarkowane, amerykańskiej obecności w Europie. Oznacza to, że Europejczycy muszą brać na siebie gwarancje bezpieczeństwa na kontynencie. Już teraz trzeba działać, by przemysł obronny zwiększył swoje możliwości, bo to czasochłonny proces.

Mamy teraz od pięciu do maksymalnie ośmiu lat na nadrobienie zaległości – w siłach zbrojnych, w przemyśle oraz w nastawieniu społeczeństwa. Putin obecnie skokowo zwiększa rosyjską produkcję obronną. Zgodnie z rezolucją Dumy jest to wzrost o ponad 60 proc.

Jednocześnie jego groźby wobec krajów bałtyckich, Gruzji i Moldawii należy traktować poważnie. To nie jest tylko wymachiwanie szabelką. Pod koniec tej dekady możemy stanąć w obliczu realnych niebezpieczeństw. I do tego czasu będziemy na nie przygotowani.

Istotnym elementem odstraszania jest komponent nuklearny. Tutaj również ewentualny powrót Trumpa do Białego Domu może wiele zmienić.

Prezydent Macron od dawna proponuje przekształcenie francuskiej nuklearnej force de frappe w broń paneuropejską. Czy Berlin powinien rozpocząć negocjacje z Paryżem w tej sprawie?

– Nasze stanowisko jest jasne: jesteśmy częścią programu współdzielenia broni jądrowej w ramach NATO. Dlatego zdecydowaliśmy się na zakup F-35, aby zastąpić stare tornada. Wszystkie inne kwestie są bardzo wrażliwe i wymagają poufnego traktowania.

Warszawa znów ma proeuropejski rząd. Czy to okazja do stworzenia komponentu wojskowego w ramach Trójkąta Weimarskiego?

– Jesteśmy tym bardzo zainteresowani. Zaprosiłem już ministra Kosiniaka-Kamysza do Berlina. Ja sam chciałbym przyjechać do Polski jak najszybciej. Musimy ustalić, w jaki sposób możemy wspólnie działać na wschodniej flance na podstawie planów obronnych NATO. To kwestia, którą możemy się teraz razem na serio zająć.

Wbrew obietnicom federalne ministerstwo obrony będzie musiało wziąć udział w oszczędnościach budżetowych rządu.

– Planowane oszczędności w wysokości pół miliarda euro są jednorazowe i dotyczą tylko 2024 r. Zostało to uzgodnione z kanclerzem, bo sytuacja budżetowa jest trudna. Inne resorty również muszą oszczędzać. Ale w tym roku złożyliśmy do Bundestagu 55 wniosków wstępnych o wartości 25 mln euro, aby uzyskać zgodę na duże projekty. Nigdy nie było tak wielu wniosków w jednym roku, a w przyszłym będzie jeszcze więcej.

Ale co i kiedy tak naprawdę dociera do żołnierzy?

– Jestem odpowiedzialny za inicjowanie zamówień, a przemysł – za dostawy. Prowadzę regularny dialog z firmami zbrojeniowymi w kwestii zwiększenia zdolności produkcyjnych.

Czy przemysł obronny w transparentnej finansowo gospodarce wolnorynkowej jest w gorszej sytuacji niż w reżimie autorytarnym?

– Niekoniecznie. Problemem jest jednak to, że wiele podmiotów nie zdaje sobie jeszcze sprawy z tego, że nie uciekną przed podjęciem wyzwań.

Weźmy gminę Troisdorf w Nadrenii Północnej-Westfalii. Miała tam zostać rozbudowana kluczowa fabryka amunicji. Rada miejska wołała jednak zaplanować tam dzielnicę mieszkaniową. Nie będę ingerował w decyzję samorządu lokalnego, ale moim zadaniem jest zwracanie uwagi na błędy. Czasami mam wrażenie, że nie wszędzie jeszcze dotarło, że musimy zrobić więcej, aby zagwarantować sobie bezpieczeństwo, we własnym interesie.

Czy to dlatego wprowadził pan do debaty termin „gotowość wojenna”?

– Dyskusja publiczna na temat tego terminu otwiera oczy na to, o co toczy się gra: w obliczu poważnego kryzysu wojennego potrzebujemy sił zbrojnych, które mogą skutecznie obronić ten kraj. Odstraszać agresora, ni mniej, ni więcej.



• Żołnierze Bundeswehry podczas ćwiczeń NATO na Litwie w marcu 2023. Niedawno Berlin i Wilno podpisały umowę o umieszczeniu stałej niemieckiej brygady (4800 ludzi) na Litwie w ciągu najbliższych czterech lat.

FOT. KAY NIETFELD/
PICTURE-ALLIANCE/
DPA/AP



Celowo wprowadziłem do debaty publicznej termin „gotowość wojenna”. To ma ludziom otwierać oczy. Można się bronić przed niebezpieczeństwem tylko wtedy, gdy się je rozpoznaje i potraktuje poważnie. Jeśli jest ono usuwane z pola widzenia, ponieważ ktoś nie ma ochoty wypaść ze swojej strefy komfortu, nie zmniejszy się, ale wzrośnie

Zdolności obronne nie ograniczają się do wojska. Czego brakuje Niemcom, aby stać się społeczeństwem zdolnym do samoobrony?

– Można się bronić przed niebezpieczeństwem tylko wtedy, gdy się je rozpoznaje i potraktuje poważnie. Jeśli jest ono usuwane z pola widzenia, ponieważ ktoś nie ma ochoty wypaść ze swojej strefy komfortu, nie zmniejszy się, lecz wzrośnie.

Niemcy generalnie nadal mają zastrzeżenia co do militarystyki. Wiele uniwersytetów ma w statutach silne klauzule cywilne, nie ma np. mowy o szkoleniach wojskowych studentów. Co robicie, aby zmienić postrzeganie armii w społeczeństwie?

– Oficerowie odwiedzają szkoły na zaproszenie nauczycieli, aby informować o zadaniach Bundeswehry. Owszem, niektóre szkoły są temu przeciwnie. Uważam, że żołnierze powinni rozmawiać z uczniami w taki sam sposób jak policja czy straż pożarna. Nie możemy pozwalać, by ludzie nie wiedzieli, kto faktycznie chroni to państwo zarówno wewnętrznie, jak i zewnętrznie. Bundeswehra się nie reklamuje, nie prowadzi akcji werbunkowej, tylko komunikuje swoją misję.

To nie jest militarystyka, ale podstawowa edukacja społeczna. Nie wystarcza dziś po prostu nadzieja na pokój przy jednoczesnym ignorowaniu działań, które są niezbędne do jego zapewnienia.

Kiedy Bundeswehra będzie w pełni wyposażona?

– Bundeswehra już jest wyposażona dostatecznie, by wypełniać wszystkie zadania w ramach NATO. Jednak kluczowe jest, aby dostosowała swoje struktury. Jeśli misja zmienia się z międzynarodowego zarządzania kryzysowego na obronę narodową i sojuszniczą, to musi się również zmienić organizacja.

Dlatego poleciłem generalnemu inspektorowi sił zbrojnych, aby do Wielkanocy przedstawił konkretną propozycję dotyczącą przyszłej armii i podległego sektora cywilnego. Chodzi o elastyczność i zdolność do szybkiego reagowania.

Czy uwaga Bundeswehry nie powinna zasadniczo ograniczyć się do Europy? Misje, zarówno w Afganistanie, jak i w Mali, zakończyły się fiaskiem.

– Zdecydowanie nie. Polityka bezpieczeństwa działa inaczej. Żadna z wymienionych misji nie była militarnym fiaskiem, żołnierze wypełnili zadania, pomogliśmy ustabilizować sytuację w tych krajach w określonym zakresie. Nie można winić wojska za to, że zmieniają się polityczne warunki ramowe jego zadań.

Nadrzędna rola dyplomacji i współpracy rozwojowej przy zaangażowaniu wojskowym – ten model był i pozostaje słuszny.

Jasne, można powiedzieć, że jeśli odpuścimy misje w zapalnych punktach świata, oszczędzimy sobie kosztów i ryzyka. Ale wtedy będziemy musieli stawić czoło innym, jeszcze kosztowniejszym wyzwaniom, takim jak znaczny wzrost ruchów migracyjnych czy rozprzestrzenianie się terroryzmu.

To dotyczy także regionu Indo-Pacyfiku. Jeśli nie podejmiemy wysiłków na rzecz stabilizacji, np. w celu zapewnienia wolności morskich szlaków handlo-

NASZA EUROPA



wych, stracimy w tym regionie wpływy polityczne i gospodarcze, a jednocześnie będziemy ponosić wszelkie konsekwencje destabilizacji, czy chodzi o Indo-Pacyfik, czy o Sahel. Dlatego mądrze i słusznie jest przyczyniać się do stabilności wszelkimi dostępnymi środkami.

Ryzyko polega na tym, że będziemy popełniać błędy, interweniując. Albo że uwierzymy w nasze slogany, które przykryją rzeczywistość.

– Jestem realistą, a nie marzycielem. W tej chwili nie sądzę, byśmy wchodzili w duże misje, takie jak w Afganistanie czy Mali. Uważam jednak, że małe misje, zwłaszcza w zakresie doradztwa wojskowego lub współpracy z krajami, które nie podzielają naszych wartości, są niezbędne. Alternatywą byłoby zaprzestanie jakichkolwiek kontaktów z tymi krajami i pozostawienie ich na pastwę Rosjan i Chińczyków. A to byłoby jeszcze bardziej niebezpieczne.

Nasz sztandarowy projekt, brygada budowana z Litwinami, potrzebuje tysięcy ton wyposażenia. Czy wiadomo już, skąd będą na to pieniądze?

– Nowe systemy uzbrojenia i amunicja nie spadną z nieba, lecz jedno jest pewne: brygada będzie jednostką NATO, częścią Dywizji 2025, która wzmocni ochronę wschodniej flanki Sojuszu. Wszystko, co zwiększa potencjał NATO jako całości, zwiększa nasze bezpieczeństwo. Do 1 stycznia 2025 r. uda się w pełni wyposażać dywizję, która będzie operacyjnie gotowa do przerwania na front w ciągu dziesięciu dni. Ale powtarzam: jeszcze ważniejsza jest struktura podejmowania szybkich decyzji o zastosowaniu dywizji.

Szukając żołnierzy do służby na Litwie, rozważacie również zachęty finansowe?

– Mamy trzy razy więcej zgłoszeń do zespołu rozwojowego tej dywizji niż stanowisk. Wszystkie kwestie związane z warunkami pracy, zakwaterowaniem, lotami do domu i wynagrodzeniem będą rozwiązane. Zresztą Litwa ma bardzo dobrą reputację wśród żołnierzy. Zadbali o to ci, którzy stacjonowali tam już w ramach grupy bojowej.

W umowie koalicyjnej jest zapis o uczynieniu Bundeswehry „odpornej na procesy demograficzne”. Jak zamierzacie to osiągnąć?

– W sierpniu powołaliśmy grupę zadaniową ds. personelu. Efekt to 65 konkretnych propozycji dotyczących rekrutacji, naboru, szkoleń i wymagań wstępnych. Zaczniemy je wdrażać na początku roku.

Jeśli to nie zadziała, to czy bierzecie pod uwagę model obowiązkowej służby wojskowej?

– Analizuję wszystkie opcje. Po zakończeniu zimnej wojny istniały powody, by zawiesić obowiązkową służbę. Z perspektywy czasu wiemy, że był to błąd. Przywrócenie jej teraz jest strukturalnie, konstytucyjnie i politycznie trudne.

Dlatego przyglądam się innym modelom, takim jak model szwedzki, w którym wszyscy zdrowi młodzi obywatele, mężczyźni i kobiety, są automatycznie rezerwistami, ale tylko nieliczni odbywają podstawową służbę wojskową. ●

Garri Kasparow:

Ukraina stoi w obliczu klęski, a Zachód ma to gdzieś

– Kraje NATO mogłyby dziś uzbroić Ukrainę, korzystając ze swoich istniejących zapasów, gdyby tylko chciały. Każdy, kto uważa, że byłoby to zbyt kosztowne, powinien wyobrazić sobie najpierw koszty wygranej Putina w tej wojnie – przekonuje rosyjski opozycjonista i były szachowy mistrz świata.

Garri Kasparow*

Ujmę sytuację krótko i najdobitniej, jak się da:

1. Ukraina stoi w obliczu przegranej w trwającej wojnie, a winę za to ponosi Zachód. Ukraina chce i jest w stanie pokonać Rosję oraz jej zbrodniczego dyktatora Władimira Putina, ale nie może tego zrobić sama.

2. Ukraina musi walczyć o przetrwanie każdego dnia, podczas gdy amunicja jest jej racjonowana. Dla Joeego Bidena i przywódców UE wygodne jest to, że proputinowskie partie na Zachodzie porzuciły Ukrainę, bo sami mogą obwiniać o swoją bierność amerykańskich Republikanów, AfD lub Marine Le Pen. Jednak kraje NATO mogłyby dziś uzbroić Ukrainę z istniejących zapasów, gdyby tylko chciały.

3. Pociski zaprojektowane i zbudowane w celu udaremnienia sowieckiej inwazji stoją zakurzone w natowskich magazynach, podczas gdy Putin trzęsie wschodnią flanką Europy. Administracja USA obawia się porażki Putina bardziej niż zniszczenia Ukrainy. Europa odmawia uznania rzeczywistości, że wojna już tu jest, na jej terytorium.

4. Po rosyjskiej inwazji Niemcy zobowiązały się przeznaczyć 100 mld euro na zwiększenie produkcji zbrojeniowej. Kanclerz Olaf Scholz po niemal dwóch latach wciąż negocjuje ceny z koncernem Rheinmetall! Minister obrony w jego rządzie Boris Pistorius mówi, że powinniśmy „przygotować się na wojnę w Europie w 2025 roku”. Czy on myśli, że Ukraina leży w Ameryce Południowej?!

5. Obudź się, czytelniku. Wyborcy UE powinni się zbuntować przeciwko swoim niedostatecznie kompetentnym politykom za zdradę Ukrainy, wyrzucić na nich presję. Jeśli chcą, aby wojna pozostała poza granicami UE, Ukraina musi zostać teraz uzbrojona dostatecznie, aby wygrać.

6. Jeśli uważasz, że to zbyt kosztowne, wyobraź sobie nieuniknione koszty, jeśli Putin wygra z Ukrainą. A przecież istnieje także koszt moralny: wszyscy będziemy mieli coraz więcej ukraińskiej krwi na rękach.

7. Premierzy Chamberlain i Daladier popełnili poważny błąd w Monachium w 1938 roku, ale oni

przynajmniej nie znali pełnego, przerażającego spektrum celów Hitlera. Putin o swoich celach mówi od dawna otwarcie.

8. Po dwóch latach obserwowania, jak Putin popełnia systematyczne ludobójstwo na Ukrainie, zachodni przywódcy dokładnie nie wiedzą, czego chce: całkowicie zniszczyć niezależną Ukrainę. Powtarza to raz po raz, tak jak na ostatnim „spotkaniu z narodem” 14 grudnia. Lecz jego cele na tym się nie wyczerpują, więc nie ma sensu próbować go oblaskawiać perspektywą ukraińskiej kapitulacji. Putin swoim uśmiechem kpi z politycznej impotencji wolnego świata. Rosja przestawiła całą swoją gospodarkę na tryb wojenny, a Putin potrzebuje ciągłego konfliktu ze światem zewnętrznym, aby usprawiedliwiać i stabilizować swoje rządy w kraju. Nie można go ignorować. Trzeba go pokonać.

9. Każdego dnia aktywiści protestują w obronie Gazy, ale kto maszeruje w obronie Ukrainy? W ciągu ostatnich dwóch lat armia Putina dokonała niezliczonych masakr, podobnych do tej dokonanej przez Hamas 7 października. Rosyjskie pociski hipersoniczne zraniły dziesiątki niewinnych osób w Kijowie, stolicy europejskiego kraju, w jednym tylko dniu – kiedy Rada UE głosowała za otwarciem rozmów akcesyjnych z Ukrainą. Przesłanie Putina dla nas wszystkich jest jednoznaczne.

10. UE obiecała Ukrainie milion pocisków artyleryjskich do marca. Zamówiła tylko 60 tys. na przyszły rok, a dostarczyła zaledwie 480 tys. Głodująca Korea Północna dozbroiła Rosję w milion pocisków. Kraje NATO wyprodukowały drony dla Ukrainy, lecz Iran wyprodukował ich dla Rosji co najmniej pięć razy więcej.

11. Gospodarczo, militarnie, kulturowo i technologicznie wolny świat dominuje nad Rosją i jej autorytarnymi sojusznikami. Brakuje tylko woli politycznej. Wyślijmy Ukrainie broń dalekiego zasięgu, której potrzebuje. Jeśli potrzebne są dodatkowe nakłady finansowe, a nawet jeśli nie obejdzie się bez podwyżki podatków, przecież i tak te koszty byłyby znacznie mniejsze niż to, co Europa będzie musiała zapłacić, jeżeli Putin wygra.

12. Jeśli Ukraina upadnie, NATO będzie zmuszone wydać niezliczone miliardy i zmobilizować swoje armie, aby zabezpieczyć nową granicę konfliktu. Zwiększenie zasobów wojskowych i gotowości bojowej będzie dopiero wtedy kosztowało fortunę.

13. Jeśli Putinowi uda się narzucić krwawy podział Ukrainy, autokraci całego świata dowiedzą się, że nie ma kary za siłowe zawłaszczanie terytorium i ludobój-

stwo. Sam Putin nie będzie miał powodu, by poprzestać na Ukrainie. Z kolei Xi Jinping będzie miał zielone światło dla inwazji na Tajwan. Każdy dyktator będzie zachęcany do prowadzenia jakiejś wygodnej dla siebie wojny podjazdowej – widzimy to teraz w przypadku Wenezueli Nicolása Maduro, który nagle zyskał odwagę, by grozić Gujanie odebraniem jej roponośnego terytorium.

14. Europa musi reagować z siłą. Zamiast uspokajać Viktora Orbána, Bruksela powinna go ukarać: zawiesić prawo głosu Węgier w UE, dopóki nie przestaną reprezentować interesów Putina. Każde euro, które płynie do Budapesztu, by wesprzeć węgierską gospodarkę, powinno zostać anulowane. W warunkach wojny kolaboranci nie mogą podważać obrony zbiorowej i racji stanu wspólnoty; muszą zostać unieszkodliwieni.

15. Zachodnie firmy muszą podjąć dalsze działania przeciwko obchodzeniu sankcji. Wiele koncernów formalnie opuściło Rosję, lecz rekompensują to sobie, zwiększając sprzedaż w Azji Środkowej poprzez rosyjskich pośredników. Rosja produkuje swoje drony niemal wyłącznie z zachodnich podzespołów, a następnie wykorzystuje je do zabijania Ukraińców. W czasie wojny dostarczanie kontrabandy wrogowi jest zdradą stanu.

16. Stany Zjednoczone i Unia Europejska powinny zająć aktywa zagraniczne rosyjskiej elity skupionej wokół Putina, aby sfinansować obronę Ukrainy. Zachód obawia się niepokoju na rynkach, tak jakby długofalowe skutki nieprzerwanej agresji Putina nie mogły być dużo gorsze.

17. Bruksela obawia się zerwania z procedurami UE, ale przecież zwycięstwo Putina zdelegitymizowałoby Unię, kwestionując sens jej istnienia na lata, jeśli nie na zawsze.

18. W swoim exposé nowy polski premier Donald Tusk wezwał do pełnej mobilizacji wolnego świata. Polska pokazała Europie, jak przeciwstawić się putinowskiej propagandzie słowami i czynami. Dziś musimy zaangażować się w dozbrajanie Ukrainy – aż do pełnego zwycięstwa, przywrócenia zagrabionego terytorium, od Krymu po Donbas. Musimy otworzyć magazyny i dać Ukrainie wszelką broń i amunicję, której potrzebuje. Ukraina powinna zostać jak najszybciej przyjęta do UE i mieć zagwarantowane członkostwo w NATO po pokonaniu Putina.

19. Ukraina walczy o wolność waszą i moją, Rosjanina. Sława Ukraińcy. Chwała bohaterom. ●



FOT. LIBRARY OF CONGRESS

a

Administracja Bidena wstrzymuje nowe odwierty ropy i gazu wokół Chaco Canyon. A sprzeciwiają się temu... Nawahowie.

W popularnych wyobrażeniach tubylczy mieszkańcy Ameryki uchodzą za strażników matki ziemi, a historie protestów przeciw ropociągom (najsłynniejszy to Dakota Access Pipeline), których budowę ramię w ramię z aktywistami próbowali powstrzymać Indianie, utwierdzają w tej opinii.

Jednak wydarzenia w Dinétah, kraju Nawahów, pokazują, że sprawy są nieco bardziej skomplikowane.

Nawahowie, kuzyni Apaczów, to najliczniejszy obok Czirokezów z Oklahoma lud tubylczy USA. Ich rezerwat, utworzony w 1868 r., leży na pograniczu Utah, Nowego Meksyku i Arizony, a od północnego wschodu ociera się o Kolorado. Powierzchnia – 27 tys. mil kw. – czyni go największym rezerwatem w kraju. Zamieszkuje tu mniej niż połowa 400-tysięcznej populacji Nawahów. Najsłynniejszym fragmentem ziemi Nawahów jest Monument Valley w Arizonie – za sprawą Johna Forda i jego westernów, które z tego skalistego i pustynnego zakątka uczyniły symbol Dzikiego Zachodu.

Nawahowie żyją w 110 okręgach, zwanych chapters.

2 czerwca Deb Haaland, sekretarz Departamentu Zasobów Wewnętrznych, ogłosiła, że jej agencja przedłuży na kolejne 20 lat moratorium na dzierżawę terenów w obszarze 10 mil wokół parku narodowego Chaco Canyon w stanie Nowy Meksyk przez spółki wydobywające gaz ziemny i ropę. Poprzedni zakaz ogłoszono w 2021 r. Nie dotyczy on realizacji już zawartych umów, a więc z istniejących odwiertów nadal można wydobywać.

Park znajduje się wewnątrz kotliny San Juan na Wyżynie Kolorado. W 1907 r. prezydent Roosevelt ustanowił go parkiem narodowym, a w 1987 r. został zaliczony do światowego dziedzictwa UNESCO.

W głębokim i suchym kanionie Chaco znajduje się największy zespół starożytnych ruin w Stanach – aż 4 tys. stanowisk archeologicznych datowanych na 8-12 w n.e., pozostałości osiedli kultury Chaco. To obszar ważny dla Indian Nawaho i Pueblo.

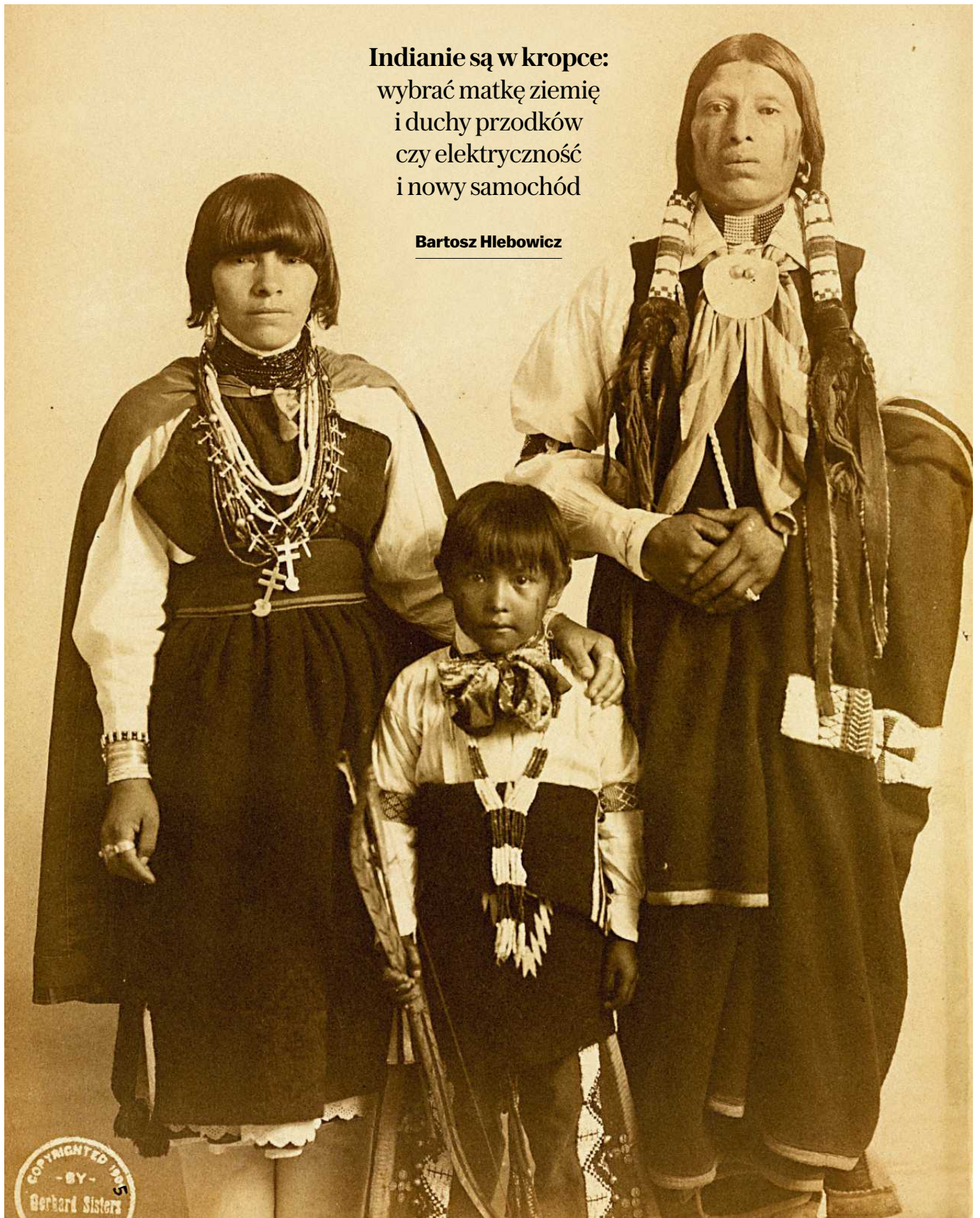
W okolicach kanionu żyją też Nawahowie „niererzerwatowi” – właściciele parceli, pozostałości po wymuszonej przez rząd akcji dzielenia rezerwatowej ziemi na przełomie XIX i XX w. Wtedy próbowano asymilować Indian, zamieniając ich w drobnych kapitalistów i właścicieli ziemskich. Indianie Pueblo, których różne wspólnoty także zamieszkują wokół Chaco Canyon, uważają go za część swojego dziedzictwa, a jego dawnych mieszkańców (nazwanych Anasazi) za przodków. Tubylczy Amerykanie z różnych grup przyjeżdżają tu, by się modlić.

Park zajmuje 10 proc. kotliny San Juan. Jej bogactwem – i zarazem przekleństwem – są bogate złoża ropy i gazu ziemnego. Już dziś jest tu ponad 300 pól naftowych i 40 tys. odwiertów.

Zakaz wiercenia na pierwszy rzut oka jest realizacją obietnicy Bidena, który po objęciu urzędu zapowiadał politykę proekologiczną i konsultacje z tubylczymi Amerykanami w sprawach ich dotyczących. Stąd też wybór Haaland, Indianki, na najważniejsze, jeśli chodzi o sprawy tubylczych Amerykanów, stanowisko w federalnej administracji.

Indianie są w kropce:
wybrać matkę ziemię
i duchy przodków
czy elektryczność
i nowy samochód

Bartosz Hlebowicz



WYKOPIEMY ROPE albo TOPÓR WOJENNY

W kwestii bufora wokół Chaco Canyon niektórzy Nawahowie jednak powiedzieli „nie”. Dlaczego?

Gdy w niedzielę 11 czerwca Haaland wyruszyła do Chaco Canyon, by ogłosić radośną wiadomość o uchronieniu świętej ziemi, napotkała blokadę. Grupa Nawahów nie przepuściła delegacji rządowej, podobnie jak wszystkich innych, którzy zamierzali wziąć udział w uroczystości. Haaland oceniła: „Ten ranek nie był doskonały. To najłagodniejsze słowa, jakich mogłam użyć. Widać zablokowanej drogi prowadzącej do naszych parków narodowych łamie serce, po-

nieważ nasze publiczne tereny należą do wszystkich Amerykanów”.

– Nasi przodkowie patrzą na nas z góry, uśmiechając się... Możemy się nie zgadzać co do konkretnych projektów, ale musimy być zjednoczeni w obronie naszych dzieci, naszej kultury, naszych wspólnych świętych przestrzeni – powiedziała Haaland.

Odpowiedź, dlaczego Nawahowie powstrzymali Haaland, można zacząć od tego, że owszem, Haaland jest Indianką, ale też członkinią pueblowskiej społeczności Laguna, mieszkającej niespeł-

na 200 km na południe od Chaco Canyon. Dzisiejsi Laguna i spokrewnieni z nimi Acoma opowiadają, że część ich przodków wywodzi się z Mesa Verde i Chaco Canyon, które opuścili w XIII w.

Z perspektywy niektórych Nawahów Haaland jest jednak równie obca jak biały człowiek. Relacje Nawahów z Pueblo były skomplikowane. Nawahowie przyjęli Pueblo, kiedy uciekali przed zemstą Hiszpanów po rewolcie z 1680 r. Wielu w nich zamieszkało u Nawahów, ucząc ich wyrobu ceramiki i własnych ceremonii. Jednak utrzymały się uprzedzenia, nie brak też

konfliktów – do najgorszych należy ciągnący się od końca XIX w. spór o ziemię i jej surowce między Nawahami a Hopi, których rezerwat leży wewnątrz rezerwatu Nawahów w Arizonie.

W napisanej na początku lat 40. książce „The Navaho” antropolog Clyde Kluckhohn i psychiatra Dorothea Leighton podsumowali: „W wielu kontekstach Nawahowie określają Pueblo jako »mieszkańców miast«. Zawiera się tu mieszanek wywodzącej się z dawnych czasów pogardy (dla Pueblo jako kiepskich wojowników i zniewieściałych słabeuszy) i wzbudzającego strach szacunku (dla Pueblo jako zręcznych czarowników i wyrafinowanych specjalistów od racjonalnych technik), razem z »realistyczną« wrogością w przypadkach sporów o ziemię”. Pueblo z kolei „odpowiadają na pogardę z nawiązką, patrząc z góry na Nawahów jako na ciemniaków i niegodnych zaufania barbarzyńców”. A Don C. Taylesva, Indianin Hopi, by oddać krytyczny pogląd swego ludu na białych, porównywał ich do Nawahów: „Podobnie jak Nawahowie byli zarozumiali i despotyczni”.

Haaland chyba wiedziała, że nie wybiera się do przyjaciół.

W dodatku z punktu widzenia demonstrantów Haaland jest reprezentantką rządu białych, który kolejny raz usiłuje narzucić swoją wolę Nawahom. A władza departamentu, którym zawiaduje Haaland, jest olbrzymia: zasoby wewnętrzne administrują wszystkimi terenami publicznymi i federalnymi oraz podziemnymi surowcami, a także regulują stosunki z 574 grupami indiańskimi, czyli wedle oficjalnej nomenklatury „plemionami”, których rząd USA jest formalnie opiekunem.

Posłuchajmy samych manifestantów. Dzień wcześniej starli się także z tubylczymi aktywistami. Nagrania są przykre – w odległości kilku metrów stoją dwie grupy: nawahijscy właściciele parceli i zwolennicy ochrony Chaco Canyon. Pierwsi trzymają transparenty z napisami: „Nasza ziemia! Nasze zasoby! Nasze miejsca pracy!”, „Zakaz wstępu na wydzielone ziemie”, „To jest tyrania”, „Nie chodzi o gaz, chodzi o ziemię”. Drugich prawie nie słysząc, wydają się zastraszeni. Najbardziej musiały ich boleć napisy: „Ziemia narodu Nawahów”, a także okrzyki: „Go home”.

Reporterka portalu Indian Country Today rozmawiała z uczestnikami konfrontacji. „Napastnicy” wyjaśniają to, co w skrócie przekazywały transparenty.

– Pieniądże, które dostajemy od spółek wydobywczych, są dla nas błogosławieństwem. Pomagają wszystkim wyjść z biedy. Stać nas na nowe domy, nowe samochody. Niektórzy mogą posłać dzieci do szkoły – mówi Delora Jesuse, kobieta w średnim wieku.

– Wszystkie moje dzieci pracują na polach naftowych. Rząd odbiera im pracę, zasoby. To, co zrobiła Deb Haaland, było bardzo nieprofesjonalne – mówi Susanne Lopez, starsza pani.

Inaczej widzi sprawę młoda Indianka Janene Yazzie, dyrektorka oddziału NDN Collective, organizacji walczącej o prawa Indian i ochronę środowiska. Też jest Nawahijką. Przypomina, że moratorium nie dotyczy aktualnych umów o dzierżawę, tylko nowych odwiertów. – Przedstawiają fałszywie stan rzeczy w interesie spółek naftowych. To, co się dzieje, to efekt zinternalizowanej kolonizacji.

Dodaje, że dla ludzi większego znaczenia nabrały indywidualne kawałki ziemi niż zbiorowa odpowiedzialność za wspólną ojczyznę.

Wśród pierwszych zatrzymanych przez Nawahów była Tweety Paisano-Suazo, starsza Indianka, z pochodzenia Acoma i Laguna: – Tyłu ludzi krzyczało do mnie: „Idź do domu”. Mężczyznę z Pueblo Zia, który stał koło mnie, zapytali, po co tu przyjechał. Odpowiedział: „Żeby się modlić. Wszyscy tu przyjeżdżamy, by się modlić. My, Indianie, powinniśmy trzymać się razem”.

– Nie przestaniemy walczyć o ochronę naszej matki ziemi, naszych wód i świętych miejsc – zapewnia Yazzie.

– Dla osoby nietubylczej to są ruiny. Ale dla Pueblo są to nadal żywe miejsca, które wykorzystuje się w sposób duchowy – mówi Julia Bernal z Pueblo Action Alliance, tubylczej organizacji ekologicznej. – Ale nietubylcy, którzy trzymają władzę, odpowiadają: „Udowodnijcie nam, że to są święte miejsca”. Jak mamy to udowodnić, przecież tu chodzi o wierzenia – dodaje.

A Jesuse odpowiada, że zwolennicy zielonej gospodarki nie zwracają uwagi na realia. Przypomina, że niektórzy Nawahowie wciąż nie mają takich podstawowych udogodnień jak bieżąca woda czy elektryczność. – Bóg stworzył te zasoby. Musimy myśleć o naszych dzieciach i wnukach – wyjaśnia.

Na koniec dzieli się spostrzeżeniem, że Nawahowie tradycyjnie głosowali na Demokratów (masowy udział nawahijskich wyborców pomógł Bidenowi wygrać w Arizonie), ale partia Bidena wcale im nie sprzyja i teraz „Nawahom bliżej do Republikanów”.

Miesiąc później rada plemienna Nawahów poparła żądania prywatnych właścicieli i wezwwała Departament Zasobów Wewnętrznych do cofnięcia moratorium. Władze plemienia poparły dwóch republikańskich kongresmenów z Arizony, którzy w czerwcu przedłożyli w Kongresie projekt ustawy Energy for All Act, która miałaby zlikwidować decyzję o 10-milowym pasie ochronnym. Liderzy plemienia oświadczyli, że rząd nie konsultował decyzji z nawahijskimi właścicielami działek.

– To nieprawda – mówi Mario Atencio z miasteczka Counselor. Jest członkiem grupy obrońców środowiska Diné Care (Diné – Ludzie – to etnoendonim Nawahów). Wszyscy członkowie zarządu są Nawahami. Atencio jest też wiceprzewodniczącym Torreon/Star Lake, jednego z nawahijskich chapters w Nowym Meksyku. W rozmowie z Indian Country Today informuje, że niemal 100 proc. jego osiedla głosowało za 10-milowym pasem ochronnym wokół Chaco Canyon, a konsultacje z mieszkańcami są udokumentowane.

Rząd powtarza, że sami Indianie prosili o jego wprowadzenie. W latach 2016-19 12 osiedli w pobliżu Chaco Canyon przegłosowało rezolucje popierające pas ochronny. W 2023 r. cztery zmieniły zdanie i zagłosowały przeciw jakiegokolwiek strefie.

W maju Western Energy Alliance, organizacja wspierająca sektor paliwowy w USA, skrytykowała decyzje rządu dotyczące Chaco Canyon. Przewodnicząca WEA Kathleen Sgamma oceniła, że „kierowany przez Haaland Departament Zasobów Wewnętrznych nie przeprowadził odpowiednich konsultacji plemiennych i nie wysłuchał głosów narodu Nawaho żyjącego w bezpośrednim sąsiedztwie Chaco, dając pierwszeństwo powiązanym z nią plemionom Pueblo oddalonym o setki mil”.

Specjaliści spierają się, czy 10-milowy bufor jest zasadny. Nawahijscy właściciele oraz władze plemienia postulowali zmniejszenie go do 5 mil. Wskazują, że podziemne pęknięcia powodowane przez odwierty sięgają najwyżej dwóch mil, a więc nie byłoby zagrożenia dla Chaco Canyon. Z drugiej strony, jeśli do szczelinowania użyto by wody z podziemnych warstw wodonośnych, mogłoby zabraknąć wody pitnej lub dla bydła hodowlanego.

W „Guardianie” Same Sage z zarządu chapter w Counselorze opowiadał, jak wyglądają jego strony, gdzie wydobyć ropy zaczęto już w 1911 r.: obumarła roślinność, klimat stał się suchy, ludzie mieszkający w domach z klepiskiem czuli wibracje z ziemi późno w nocy, od 2 do 4 rano.

Własność terenów, o które toczy się spór, przypomina szachownicę: nad niektórymi fragmentami jurysdykcję sprawuje Waszyngton, nad innymi stan Nowy Meksyk,

nad innymi Nawahowie (nie plemię, lecz prywatni właściciele, aczkolwiek nominalnie zarządza nimi rząd federalny). Jest ich około 5,5 tys. WEA uważa, że z powodu 20-letniego moratorium Indianie straciliby ok. 194 mln dolarów.

Nie wszyscy Nawahowie myślą tak jak część właścicieli na obrzeżach rezerwatu.

Mario Atencio z miasteczka Counselor opowiadał w „Guardianie” o trujących jego rodzinę oparach metanu z opuszczonych studni i zanieczyszczeniu powietrza wynikającym ze spalania nadmiaru wydobywanego gazu ziemnego.

Najnowsza fala wierceń zaczęła się w 2009 r.

– Ludzie często nie wiedzieli, co podpisują – opowiada w „Guardianie” Daniel Tso, w radzie plemiennej Nawahów odpowiedzialny za zdrowie i edukację. – Jedna starsza kobieta podpisała umowę ze spółką wydobywczą, myśląc, że wiercenie w poszukiwaniu ropy będzie przypominało scenę z filmów z Johnem Wayne’em: człowiek kopie dziurę w ziemi, wydobywa ropę, a następnie tańczy w fontannie czarnej ropy, która wystrzeliwuje w górę – i wszyscy zgarniają pieniądze – dodaje.

W istocie setki milionów zarabiają spółki wydobywcze, a Indianie grosze. Na parceli zajmowanej przez 10 Nawahów każdy zarabia średnio tysiąc dolarów miesięcznie. A są działki, których prawa własności należą do setki osób; ich zyski są minimalne.

Setki milionów zarabiają spółki wydobywcze, a Indianie grosze. Na parceli zajmowanej przez 10 Nawahów każdy zarabia średnio tysiąc dolarów miesięcznie

Dają się za to odczuć straty środowiskowe. W okolicach domu Atencio w 2019 r. w odstępie trzech dni nastąpiły dwie katastrofy: najpierw pękła rura należąca do spółki Enduring Resources, z której wylało się 1,4 tys. baryłek szlamu szczelinującego zmieszanego z ropą i popłynęło w stronę Chaco Canyon, gdzie wpadło do jednego ze strumieni. Trzy dni później niedaleko sąsiedniego odwiertu coś wybuchło, wzniciając pożar. Wycieków ropy, pożarów, wybuchów i uwolnień gazu w części kraju Nawahów, gdzie trwają wiercenia, notuje się setki rocznie.

Często ostatnimi, którzy dowiadują się o katastrofach, są Nawahowie mieszkający najbliżej. – Och, to tylko ziemia Indian. Nie ma się czym przejmować – streszcza postawę białych Daniel Tso.

Naukowcy zaś mówią o rasizmie ekologicznym: biedne niebiałe społeczności otrzymują większą część zanieczyszczeń i odpadów w porównaniu z bogatszymi białymi. Od ponad stulecia jego ofiarami padają Nawahowie złapani w ekonomiczny szantaż: w zamian za zgodę na trujące projekty otrzymują pracę i groszowy udział w zyskach. Jak zauważa Traci Brynne Voyles z Uniwersytetu w Oklahomie, autorka pracy o spuściznie wydobywania uranu w rezerwacie Nawahów, przez dekady kraj Nawahów traktowany był jako wasteland – nieużytek – więc żeby nauczyć ich rolnictwa (czytaj: cywilizacji), należało ich z niego wygnać. A kiedy na ich ziemiach odkrywano kolejne surowce – od ropy i gazu, przez węgiel, po uran – wtedy uruchomiono procedurę wastelandingu, czyli pustoszenia tej ziemi.

Ian Palmer, znawca sektora paliwowego, ocenia, że grupy Pueblo popierają opcję 10 mil, bo „patrzą na Chaco Canyon z duchowej perspektywy, która zakłada podziw i szacunek dla przodków i miejsc, w któ-

rych żyli i umierali. Odzwierciedla to, jak się wydaje, głęboki szacunek dla ziemi i większą wrażliwość na zanieczyszczenia w różnych formach”.

Przyczyny podziałów wśród Nawahów można wyjaśnić, sięgając znowu do ustaleń badaczy. Kluckhohn i Leighton pisali, że Nawahowie nieufnie odnoszą się do innych, a tymi innymi są nie tylko inne grupy etniczne, ale także inni Nawahowie: „Najchętniej współpracują w ramach grup rodzinnych”. Potwierdza to historyk Amerykańskiego Zachodu Richard White: „Nawahowie żywią głęboką nieufność do tych, którzy są z nimi niespokrewnieni”. A zatem Nawahowie wspierający Pueblo i ekologów są obcy, dlatego można im powiedzieć: „Idźcie do domu”, a nawoływania Haaland do międzyplemiennej solidarności to przejaw braku poczucia realizmu.

Zresztą Navajo Nation to stosunkowo młody byt, który funkcjonuje na płaszczyźnie politycznej czy administracyjnej. Jego powstaniu sprzyjało utworzenie rezerwatu w 1868 r., kiedy rząd USA i Nawahowie nawiązali formalne relacje, podpisując traktat. Zaś plemienny rząd został powołany do życia równo 100 lat temu przez... Departament Zasobów Wewnętrznych, żeby umożliwić wydawanie licencji na wydobywanie surowców na ziemiach Nawahów. I tak był postrzegany przez obywateli: jako narzucony przez białych urzędników twór.

Zaś lud Diné, byt niepolityczny, lecz faktyczny, pozostaje szeregiem wspólnot zespolonych więzami pokrewieństwa, gdzie najważniejszą rolę pełnią matrylinearne rody.

Trudno potępiać Nawahów, którzy myślą realistycznie o ziemi jako źródle przyszłych dochodów i nie ufają decyzjom rządu federalnego. Waszyngton wiele razy pokazał im, jak błędne są jego diagnozy mające poprawić życie Nawahów. W 1863 r. armia przegnała ich z Dinétah, ojczystej ziemi, do obozu w Bosque Redondo (Fort Sumner) w Nowym Meksyku w ramach ucywilizowania. Wędrówkę tę nazwano Długim Marszem. Tych, którzy próbowali zostać na ziemi ojczystej, wylapywali sąsiedzi z Nowego Meksyku i sprzedawali w niewole.

W Fort Sumner Nawahowie mieli porzucić dotychczasowy styl życia i całkowicie przestawić się na rolnictwo. Był to plan perwersyjny, ponieważ rolnictwo już stanowiło główne źródło utrzymania Nawahów. Uprawiali różne odmiany kukurydzy, melony, fasolę, dynię, pszenicę, ziemniaki, a także brzoskwinie. Biali zdawali się tego nie dostrzegać. Zapewne dlatego, że wszystko, co Nawahowie hodowali, służyło zapewnieniu bytu rodzinie oraz krewnym i nie było obliczone na sprzedaż. Dywersyfikacja źródeł utrzymania w krainie o tak trudnym klimacie jak Dinétah była warunkiem przetrwania. Przy okazji wojsko wydało wojnę sadową brzoskwiniovym Nawahów, ścinając tysiące drzew. Rozbijali zebrane przez nich melony (a także nawahijskie garnki).

Z ucywilizowania nic nie wyszło, bo poza ogólną ideą władze nie miały nic do oferowania. Nawahowie umierali z głodu. Po pięciu latach eksperymentu pozwolono im wrócić i wydzielono rezerwat w obrębie byłego Dinétah, który w następnych latach

powiększono. Jednak Długi Marsz „wrył się w pamięć Nawahów i wpłynął na wszystkie przyszłe kontakty z rządem”, konstatuje White w rozprawie „The Roots of Dependency”. Tę dramatyczną historię opisał m.in. Hampton Sides w książce „Krew i burza” (wyd. polskie 2017).

– Nawahowie, którzy dziś odwiedzają to miejsce, płaczą – powiedziała mi pracownica Fort Sumner, który odwiedziłem w 2004 r. Dziś nie ostało się żadne z zabudowań byłego obozu, ich umiejscowienie zaznaczono tylko niskimi kamiennymi murkami.

Lista absurdalnych pomysłów rządu jest o wiele dłuższa. Na przełomie lat 20. i 30. Waszyngton wpadł na pomysł, aby na rzece Kolorado wybudować tamę na granicy Nevady i Arizony, a więc sporo na zachód od rezerwatu Nawahów. Miała uchronić od zalań żyzną dolinę Imperial Delta w południowej Kalifornii, wspomóc system irygacyjny, a dzięki sztucznej jezioru zapewnić wodę dla Los Angeles i południowej części Kalifornii, a także elektryczność całemu południowemu zachodowi USA.

Geolodzy zorientowali się jednak, że przepływające przez rezerwat Nawahów rzeki Little Colorado i San Juan, dopływy Kolorado, wprowadzają do niej tyle szlamu, że – osadzając się przy tamie – hamowałby jej działalność. Biali specjaliści byli przekonani, że szlam był wynikiem erozji ziem rezerwatowych, spowodowanej nadmiernym wypasem owiec churro, kóz i koni przez Nawahów. Stada wyliczano na 1,3 mln sztuk. Żeby uchronić projekt tamy (najpierw nazywała się Boulder, potem nadano jej imię

irygacyjny w rezerwacie. Jednak zadekretowane odgórnie rzezie stad owiec i kóz sprawiły, że w 1936 r. zażądali oni wręcz usunięcia rządowych „konserwacjonistów” – dzisiaj nazwalibyśmy ich ekologami.

Kolejną katastrofą było odkrycie w połowie XX w. złóż uranu. Dość powiedzieć, że masowemu wydobywaniu przez amerykańskie korporacje uranu z ziemi Nawahów medycyna zawdzięcza rozpoznanie nowej choroby nerwów obwodowych – nawahijskiej neuropatii.

Wziąwszy pod uwagę to wszystko, opór części Nawahów przeciw rządowemu projektowi ochrony dziedzictwa kulturowego i krajobrazu budzi mniejsze zdziwienie. Nie zamierzają być „obrońcami matki ziemi”, bo tak chciałby ich postrzegać liberalny biały człowiek w XXI w. Chcą bronić źródła swego utrzymania tak samo jak wtedy, kiedy próbowali powstrzymać rzeź swoich owiec. Ponury paradoks polega na tym, że Nawahowie ze wschodnich obrzeży rezerwatu jako sojusznika w walce z wyjątkowo przychylnym rządem federalnym wybrali drapieżne spółki naftowe, które kaleczą i rujną matkę ziemi Nawahów, zamieniając całe połacie Dinétah w wyjałowione pustkowia.

Poprosiłem o opinię antropolożkę Ewę Dżurak, która od lat mieszka w USA, a grupami tubylczymi południowego zachodu interesuje się szczególnie. – Sprawa jest nieco podobna do czasów, kiedy u Nawahów trwała debata na temat zamknięcia elektrowni węglowej Navajo Generating Station. Ci, którzy tam pracowali, bronili jej, inni do-

Dla osoby nietubylczej to są ruiny. Ale dla Pueblo to nadal żywe miejsca, które wykorzystuje się w sposób duchowy.

Nietubylcy mówią: Udowodnijcie nam, że to są święte miejsca.

Jak mamy to udowodnić?

Herberta Hoovera, pomysłodawcy budowy, wtedy sekretarza handlu), rząd postanowił przetrzebić stada. Urzędnicy uważali przy tym, że wyświadczają Nawahom przysługę, bo nauczą ich w ten sposób lepszego zarządzania żywym inwentarzem: zarżnięte zwierzęta sprzedaje się na mięso, gleba przestanie jałowieć (potem okazało się to błędną tezą, glebę niszczyły przede wszystkim gwałtowne opady deszczu).

Biali nie potrafili zrozumieć, że dla Nawahów owce i kozy nie miały wartości rynkowej, lecz były podstawą ich przetrwania. Rodziny Nawahów od dekad utrzymywały wielkie stada, bo były zabezpieczeniem przed głodem. Na pustynnym przeważnie terytorium rezerwatu taka gwarancja była nieodzowna, ale biali urzędnicy tego nie pojęli. A pech chciał, że w połowie lat 30., kiedy biali nadzorcy wybijali ich stada, nadeszły susze i ostre zimy, dodatkowo dziesiątkując zwierzęta. Nawahom głód znowu zajął w oczy.

Najgorzej mieli Nawahowie na wschód od rezerwatu – potomkowie tych, którzy dzisiaj są zmuszani do ustąpienia w sprawie wydobycia gazu i ropy. Rząd obiecał, że ich tereny zostaną przyłączone do rezerwatu – za tę cenę także oni zgodzili się na przetrzebienie stad. Skończyło się tym, że Kongres nie zgodził się na powiększenie rezerwatu, stada wybito, a ich miejsce zajęły owce i krowy białych sąsiadów.

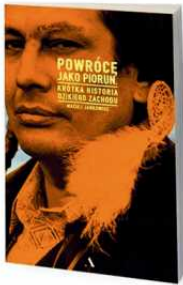
Kolejnym pomysłem rządowych specjalistów było wybiecie piesków preriowych na terenie rezerwatu, bo rzekomo wyjadały trawę owcom – w ten sposób Nawahowie zostali pozbawieni kolejnej rezerwy żywnościowej na ciężkie czasy. Nie udało się wprowadzenie hodowli bydła: Nawahowie nie rozumieli, dlaczego wybito ich owce, kozy i konie, których mięso uwielbiali, by na ich miejsce wprowadzić inne zwierzęta.

Nie wszystkie pomysły urzędników federalnych był złe, zdołali np. poprawić system

magali się szybkiego zamknięcia. Nie jestem pewna, kto w dzisiejszym świecie oddałby bez walki i rekompensaty swoje zarobki. Nawahowie klóć się z rządem federalnym tak jak każdy inny obywatel tego kraju, zaśłości historyczne mają ogromne znaczenie, ale jest XXI w. i w tej debacie mają znaczenie raczej propagandowe. W różnych protestach podkreśla się sprawę suwerenności Nawahów i mówi, że decyzja Haaland o wstrzymaniu odwiertów była jej naruszeniem, co jest argumentem propagandowym – bo przecież ona może zarządzać tylko ziemią państwową, a nie rezerwatową czy prywatną – wyjaśniła.

Historia Nawahów i Pueblo jest pełna zawzięłości, a nawet wrogości, ale wielu aktywistów uważa, że różne strony specjalnie tę wrogość w celach propagandowych przypominają, żeby ją na nowo przy tej okazji obudzić. Tymczasem u Leslie Marmon Silko, pisarki z ludu Laguna, można znaleźć wspomnienie, jak na wrześnie święto w Pueblo Laguna Nawahowie zjeżdżali tłumnie i gościli się w domach Laguna przez wiele dni. ●

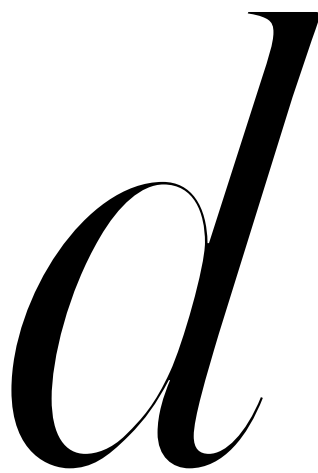
Maciej Jarkowiec opowiada o złamanych obietnicach i zdradach, jakich amerykańscy koloniści i rząd USA dopuszczali się i wciąż dopuszczają wobec Indian, w książce „**Powróć jako piorun. Krótka historia Dzikiego Zachodu**”, dostępnej na [Kulturalnysklep.pl](https://www.kulturalnysklep.pl) i w formie e-booka na Publio.pl



**Moźdżer
+ fale
grawitacyjne
= fortepian,
jakiego świat
jeszcze
nie słyszał**

Piotr Cieśliński

DIABEL ZAKŁAWIATURĄ



Dostałem list od profesora fizyki Pawła Nurowskiego: „Mam rewelację. Proszę, nie rozmawiaj o tym z nikim. Informacja na razie nie może wyjść poza kilka wtajemniczonych osób”. Potem dodał bez szczegółów: „Na prośbę Leszka Moźdżera (takiego pianisty jazzowego, może znasz?) stworzyliśmy ZUPEŁNIE NOWY FORTEPIAN”.

Długo trzymałem język za zębami, ale wnioski patentowe zostały złożone, a Moźdżer zagrał pierwszy publiczny koncert – dla uczestników międzynarodowej konferencji o abstrakcyjnych geometriach Cartana.

Rewelacja!

DIABELSKI TRYTON

Co jest nowego w tym fortepianie? I dlaczego pierwsi usłyszeli go matematycy geometry?

Co najmniej od czasu Jana Sebastiana Bacha strój fortepianu polega na podziale oktawy na 12 równych części. Moźdżer siadł do fortepianu, który jest oparty na zupełnie innym systemie dźwięków, których jest 10 w każdej oktawie. To pierwszy na świecie akustyczny fortepian dekafoniczny (dziesiątkowy – od greckiego „deka”, dziesięć). Zupełna rewolucja w pianistyce – sądzi Moźdżer, który zamierza na nim koncertować.

Oba instrumenty – o stroju 12-stopniowym i 10-stopniowym – mają tylko jeden interwał, który brzmi tak samo. Przypadkiem jest to tryton – dźwięk złowieszczy i niepokojący, „diabelski”, jak mówi Moźdżer. Według legend Kościół nie zezwalał na jego użycie, kompozytorzy muzyki filmowej umieszczają go w tych fragmentach, kiedy na ekranie dzieje się coś niepokojącego.

I niewykluczone, że jakiś szatan był tu czynny, bo historia nowego instrumentu jest ciągiem nieprawdopodobnych zbiegów okoliczności.

Szansa na to, że Leszek Moźdżer spotka się z prof. Nurowskim była – jak z grubszą oszacowałem – mniejsza niż 1 do wieku Wszechświata wyrażonego w sekundach.

Poznałem prof. Nurowskiego kilka lat temu, kiedy opisywałem pierwszą detekcję fal grawitacyjnych na świecie. On zajmował się teorią czarnych dziur oraz wzbudzałych przez nie drgań czasoprzestrzeni, które wypełniają kosmos niesłyszalną dla naszych uszu muzyką. Gdybyśmy przełożyli te drgania na częstotliwości akustyczne, to zderzenie i połączenie dwóch czarnych dziur brzmiałoby jak dźwięk o rosnącej amplitudzie i częstotliwości, który przypomina ptasi ćwierk.

Taki ćwierk (fachowcy mówią „podzwonne”) dobiegający z odległości kilku miliardów lat świetlnych zarejestrowali fizycy w 2017 r. Paweł Nurowski był w gronie tych, którzy przewidzieli istnienie fal grawitacyjnych. Teraz zaś zgłębia abstrakcyjne geometrie Cartana, które zapewne nie mają już nic wspólnego z rzeczywistością, ale kto to może dzisiaj wiedzieć.

Tuż przed pandemią uczony dostał milionowy grant z Narodowego Centrum Nauki w ramach konkursu GRIEG, finansowanego z funduszy norweskich. Konferencję podsumowującą rezultaty grantu zaplanowano na lipiec tego roku. Miała nadgonić czas stracony w pandemii, zgromadzić w Warszawie matematyków z całego świata.

ta, największych ekspertów od abstrakcyjnych geometrii, włącznie z noblistą sir Rogerem Penrosem.

SERIA KOSMICZNYCH ZBIEGÓW OKOLICZNOŚCI

– Jakiś diabeł nas podkusił, aby konferencję nazwać „GRIEG meets Chopin: warsaw meeting on geometric methods in science” – opowiada prof. Nurowski. – Gdy kilka lat temu wpisaliśmy ją w plany grantu, tytuł - GRIEG spotyka Szopena - był grą słów, która świetnie pasowała do zestawu: norweski program grantowy GRIEG (Edward Grieg to słynny norweski kompozytor i pianista) i konferencja w rodzinnym mieście Szopena. Ale po takim wyborze tytułu stało się dla nas oczywiste, że jednym z punktów konferencji powinien być koncert, najlepiej pianistów.

Kolejny przypadek (a może diabeł) sprawił, że wszyscy klasyczni pianiści, do których zwracał się prof. Nurowski, odmawiali. – Pal licha klasyków – profesor machnął na nich ręką. A że bardziej lubi jazz, postanowił ściągnąć Leszka Możdżera, jednego z najwybitniejszych polskich muzyków jazzowych.

Mierzył wysoko, z czego zdawał sobie sprawę. – Zdobyłem telefon Doroty Wink, menedżerki Możdżera, i zadzwoniłem bez większych nadziei.

Ale zanim jeszcze zdążył wyjaśnić, o co mu chodzi, usłyszał: – Pan jest matematykiem? Świetnie, potrzebujemy matematyka.

Jazzman nieprzypadkowo szukał matematyka. Chciał zrealizować projekt, który od dawna chodził mu po głowie i rozważał, jaką metodą osiągnąć upragniony cel.

MOŻDŻER ROZŁOŻYŁ SYSTEM

– Chciałem pokazać, że system dziesiętny jest do kitu – mówi Możdżer. – W szkole przekonują nas, że to takie naturalne – liczymy do dziesięciu, bo tyle mamy palców, ale to bzdura. Spotkałem w Indiach muzyków, którzy na palcach jednej ręki liczyli do 12 (i pokazuje, jak to robić, kciukiem wskazując każdy z trzech segmentów pozostałych czterech palców dłoni).

Możdżer szukał matematyka, który by mu pomógł przestroić jeden z jego fortepianów na system dziesiętny, by w praktyce pokazać, że ten system nie jest systemem naturalnym, przynajmniej w muzyce.

To, co się stało, zaskoczyło i matematyka, i muzyka. Obaj się przekonali, że 10-stopniowa skala muzyczna ma unikatowe właściwości – w matematycznej teorii i w muzycznej praktyce. Możdżer: – Mózg to komputer, podczas słuchania muzyki w każdej chwili przeprowadza obliczenia – przelicza interwały. 10-stopniowy system jest prostszy, mózg jest mniej zajęty rachowaniem, więc czerpie większą przyjemność z muzyki.

– Dlatego proste melodie oparte na ledwie kilku akordach są na szczycie list przebojów. I z tego samego powodu jazz nigdy się tam nie znajdzie – dodaje.

Nowe dźwięki to dla niego ocean nowych możliwości. – Mózg się łatwo przestrasza. Na początku 10-stopniowa skala brzmi dziwacznie, nawet okropnie, ale gdy chwilę pogram, łąduję w nowym świecie... Jak potem wracam do 12-stopniowej skali, to czuję, że to ten tradycyjny strój jest dla mnie abstrakcją. Mózg się zdumiewająco szybko przestrasza i zaczyna rachować w nowym systemie.

FIZYK ZHAKOWAŁ PITAGOREJCZYKÓW

Zupełnie inna cecha 10-stopniowej skali zafascynowała prof. Nurowskiego. Matematyk udowodnił – ku swojemu zdziwieniu – że ta skala ma najmniejszy komat pitagorejski.

W stroju naturalnym kluczową rolę odgrywa interwał (odległość między dwoma dźwiękami), zwany kwintą. Oddziela on dwa dźwięki, których stosunek częstotliwości wynosi 3:2. Z jakiegoś powodu dla naszych

uszu – wychowanych w kulturze zachodniej – to zestawienie (akord) brzmi przyjemnie. Jak mówią muzycy, jest konsonansem doskonałym (w przeciwieństwie do diabelskiego trytonu, który jest dysonansem).

Dlatego starożytni Grecy na kwin-cie oparli strojenie instrumentów strunowych, a za nimi ten system przejęli muzycy nowożytni. Chodziło o to, aby pod klawiszami mieć jak najwięcej tych niezgrzytających i konsonansowych akordów. W dodatku, gdy zestawimy 12 kwint, to otrzymamy prawie dokładnie 7 oktav (oktawa to interwał między dwoma dźwiękami, których stosunek częstotliwości wynosi jak 2:1, takie dźwięki brzmią dla nas tak samo).

Oznacza to, że dwunasta kwinta stanowi tylko nieco wyższy dźwięk (o blisko ćwierć tonu) niż dźwięk wyjściowy. W zapisie matematycznym wyrazem tego jest to, że 3/2 do potęgi 12 niewiele się różni od 2 do potęgi 7.

Ta minimalna różnica zwana jest właśnie komatem pitagorejskim i stanowi główny powód trudności, z którymi przez wieki zmagali się muzycy i stroiciele instrumentów strunowych takich jak organy, klawesyny czy fortepiany. To z jej powodu w tradycji muzyki zachodniej występuje tyle naturalnych strojów. Bo w zależności od tego, jak kompensujemy różnicę między 12 kwintami i 7 oktawami – za pomocą przypisywania klawiszom poszczególnych dźwięków – można inaczej zestroić instrument.

„Cała akustyka oparta jest na niemożnościach i paradoksach matematycznych – piszą Marek Pilch i Marek Toporowski w książce „Dawne temperacje. Podsta-

Co więcej, naturalny system 10-stopniowy pod względem minimalizacji komatu przewyższa każdy inny podział oktawy!

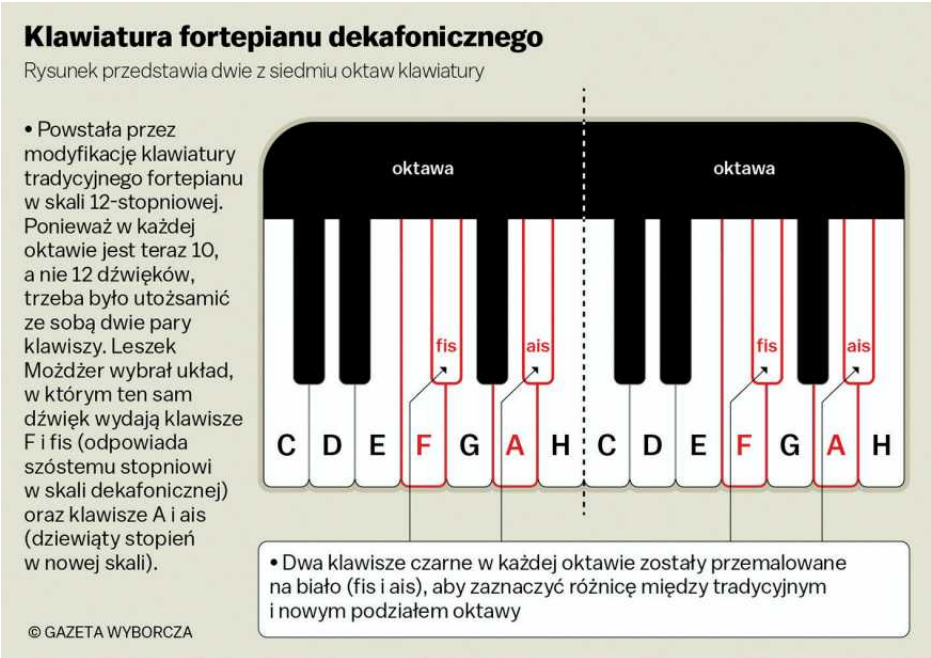
ZBRODNIĄ NIEWYMIERNĄ

Tyle teoria. W praktyce Możdżer chciał mieć fortepian nie w stroju naturalnym, ale temperowanym, tak aby oktawa była podzielona na 10 równych części. Co ciekawe, w obu temperowanych strojach – dwunastkowym i dziesiętkowym – oprócz dźwięku początkowego skali tylko jeden środkowy dźwięk w oktawie się pokrywa. Tak powstaje ten zło-wieszczy tryton o interwale równym pierwiastek z 2. Legenda mówi, że Pitagorejczyk zabił ucznia, który odkrył, że pierwiastek z 2 jest liczbą niewymierną, tj. nie daje się przedstawić jako ułamek dwóch liczb naturalnych, co burzyło ich wiarę w porządek świata.

Jeśli w tym momencie paruje wam już głowa i tracicie wątek, zróbcie sobie przerwę i posłuchajcie muzyki klasycznej albo jazzu. Ucho ludzkie nie do końca jest wierne matematycznym regułom, a struny także nie brzmią tak, jak chciałaby tego matematyka.

W grę wchodzi jeszcze inżynieria materiałowa. Słowem rzemiosło na najwyższym światowym poziomie.

Aby spełnić marzenie Możdżera, konieczne było rozwiązanie wielu problemów technicznych. Budowa całkiem nowego instrumentu z wielu powodów, nie tylko finansowych, nie wchodziła w grę. Możdżer



wy akustyczne i praktyczne wykorzystanie”. – Być może w nich leży całe bogactwo muzycznych środków ekspresji”.

W pewnej mierze problem wyboru stroju skończył się w chwili, kiedy muzycy – mniej więcej od czasów baroku – zaczęli stosować stroje równomiernie temperowane, w których oktawa jest podzielona na 12 równych części. Psuje to nieco poszczególne naturalne interwały (np. czysta kwinta to stosunek częstotliwości 3:2, czyli 1,5, a kwinta temperowana jest minimalnie mniejsza – 1,498), ale znika problem z komatem. Ale pozostaliśmy przez chwilę przy strojach naturalnych.

Prof. Nurowski – co było zaskoczeniem dla niego samego – dowiódł, że z matematycznego punktu widzenia strój, w którym oktawa jest dzielona na 10 części, jest strojem idealnym według szkoły pitagorejskiej.

W takim 10-stopniowym stroju, w którym odpowiednikiem kwinty jest interwał seksty neutralnej (o stosunku częstotliwości 13:8, też dającym przyjemny interwał konsonansowy), komat jest dużo mniejszy niż w 12-stopniowym. Przy tym liczba oktav, która domyka ten system, także wynosi 7.

Matematycznie oznacza to, że 13/8 do potęgi 10 jest dużo bliższe 27, niż 3/2 do potęgi 12.

chciał mieć fortepian, który brzmi jak fortepian, choć będzie strojony w innej skali.

Chodziło o zachowanie barwy, czyli charakterystycznego brzmienia instrumentu. Ona zależy nie tylko od tonów podstawowych, które są generowane uderzeniami w klawisze, ale także od wzbudzanych jednocześnie składowych harmonicznych (tzw. alikwotów), których częstotliwość jest wielokrotnością tonu podstawowego – ich ilości, amplitudy, narastania i zanikania w czasie.

Ale prosta zmiana skali oktawy – z 12 do 10 stopni – w tradycyjnym fortepianie drastycznie zmienia naprężenia strun. Obrazowo: w miejsce 12 stopni schodów prowadzących na piętro instalujemy tylko 10 stopni, za to wyższych. Taka klatka schodowa robi się bardziej stroma. Podobnie rosną naprężenia strun, które chcemy przestroić z 12- do 10-stopniowej skali.

Całkowite naprężenie strun w standardowym fortepianie wynosi ponad 17 ton. Zmiana stroju do skali 10-stopniowej zwiększyłoby naprężenie o ponad 6 ton, co z jednej strony skutkowałoby zerwaniem znacznej części strun, z drugiej – prowadziłoby do utraty brzmienia, bo dobre brzmienie struny zależy od optymalnego naprężenia.

SIR ROGER PYTA, CZEMU IO

Paweł Nurowski wraz z Aleksandrem Boguckim z Instytutu Fizyki Doświadczalnej UW (dobry pianista amator, wytrawny eksperymentator) znaleźli rozwiązanie: odwzorowanie matematyczne pomiędzy istniejącymi klawiszami fortepianu a dźwiękami w skali 10-stopniowej, które minimalizuje zagrożenia związane z nadmiernym naciąganiem strun.

W rezultacie otrzymali ponad 500 możliwych sposobów, na jakie można przypisać poszczególne klawisze tradycyjnego fortepianu do dźwięków w nowej skali.

Ten wybór zawęził z punktu widzenia najbardziej optymalnej akustyki fortepianu Andrzej Włodarczyk, praktyk doskonały, doświadczony konstruktor fortepianów i ekspert w dziedzinie strojenia i budowy instrumentów historycznych (w jego podwarszawskiej pracowni stoi m.in. odtworzony model fortepianu, na którym grał Chopin).

Ostateczną wersję akustycznego fortepianu dekafonicznego wybrał Możdżer wraz z zespołem. W wybranym rozwiązaniu klawiatura ma układ, w którym klawisze F i fis wydają ten sam dźwięk odpowiadający szóstemu stopniowi skali dekafonicznej, a klawisze A i ais – dziewiątemu.

Na koniec trzeba było koncepcję wcielić w życie. Możdżer z ciężkim sercem zdecydował się przerobić jeden ze swoich fortepianów – instrument porządnej skandynawskiej firmy Ostlind & Almquist, który pieczołowicie odremontowano po tym, jak załaza go wielka powódź we Wrocławiu w 1997 r. Możdżer lubuje się w ratowaniu zniszczonych fortepianów, które ktoś chce wyrzucić na śmietnik albo zalegają w rupieciarniach, czekając, aż ktoś je spali.

Ryszard Mariański wykonał unikatową klawiaturę, w której dwa klawisze czarne w każdej oktawie zostały przemalowane na białe (fis i ais), aby zaznaczyć różnicę między tradycyjnym i nowym podziałem. – To pytanie, jak pomalować 10-skalową klawiaturę, spowodowało, że zacząłem zgłębiać stroje pitagorejskie. Bo tylko tak można ustalić, które klawisze powinny być czarne, a które białe – tłumaczy prof. Nurowski.

Obudowę wykonał Roman Galiński, nad akustyką pracował Sławomir Rosa, a za mechanikę fortepianu, regulację, intonację oraz ostateczne strojenie odpowiadali Jan Grzyśka i Mirosław Mastalerz.

– Ech, to był dobry fortepian, a ja go zniszczyłem – żartował Możdżer w warszawskiej sali koncertowej Nowa Miodowa, gdy siadał do fortepianu dekafonicznego podczas jego światowej premiery. Chwilę potem dał koncert, który mnie oczarował. Prawykonał utwory skomponowane przez niego na dwa fortepiany (tradycyjny i dekafoniczny) oraz tylko na fortepian dekafoniczny, preparował instrument, wkładając materiał pomiędzy struny a młotki, a także wykonał na fortepianie dekafonicznym parafrazy arcydzieł muzycznych.

Eksperymentował z niezwykłym brzmieniem nowego fortepianu, zacieraającym granicę pomiędzy systemami tonalnymi dur i moll. Ten pierwszy ma charakter pogodny i wesoły, drugi – smętny. Nowy fortepian burzy tradycyjne tonacje.

– Dzięki Bogu, a przede wszystkim Alkowi Boguckiemu i Andrzejowi Włodarczykowi, fortepianu nie zepsuliśmy – cieszył się prof. Nurowski.

– Piękny koniec wspaniałej historii – mówię.

– Jaki koniec, to początek! – odpowiada. Kiedy noblista sir Roger Penrose usłyszał o nowym 10-stopniowym fortepianie, spytał: – Dlaczego 10, powinno być 19!

Podobno muzycy sądzą, że podział oktawy na 19 części jest najbardziej optymalny. Nie 12, nie 10, ale właśnie 19 równych stopni najlepiej ma przybliżyć naturalne współbrzmienia takie jak kwarta czy kwinta. A Penrose nawet napisał niedawno o tym publikację, która uzasadnia to naukowo.

Przed prof. Nurowskim stoi więc całkiem nowe wyzwanie. ●

Trzy nosy someliera

Wąchaj, siorb, młaszcz, płucz usta i wypływaj. Jak smakować, badać, opisywać i oceniać wino.

Wawrzyniec Świącicki

Istota wdzięku wina leży w ogromnej różnorodności biorącej się z różnolitości odmian, rejonów i tradycji wytwarzania. Picie wina, podobnie jak kontemplacja malarstwa czy słuchanie muzyki, jest zmysłową przyjemnością – świadomą, ale bierną. W przeciwieństwie do picia okazjonalnego degustacja wina jest przemyślanym aktem badawczym mającym zwiększyć tę przyjemność. Istnieje kilka podstawowych zasad degustacji, które trzeba znać, lecz najważniejsze są praktyka i doświadczenie. To dzięki nim zauważamy coraz więcej niuansów, trenujemy zmysł smaku i potrafimy się dzielić tymi wrażeniami z innymi.

Każdy człowiek ma inną wrażliwość na bodźce zmysłowe. Jednak to nie liczba kubków smakowych czyni z nas superdegustatorów. To, co nazywamy smakiem, jest kompilacją wrażeń smakowych, węchowych i dotykowych. Najważniejsze zaś dzieje się w naszym umyśle. To tu docierają wszystkie bodźce. Część jako mniej istotna jest pomijana. Te, które świadomie identyfikujemy jako wartościowe, podlegają analizie i interpretacji.

Degustację wina można podzielić na dwie fazy. Pierwsza polega na uważnym odbieraniu i identyfikowaniu jak największej liczby wrażeń. Można na tym etapie poprzestać

i po prostu cieszyć się przyjemnością picia.

Druga polega na interpretacji zebranych odczuć, spojrzeniu na wino jako całość i ocenieniu go według określonych kryteriów. Do tego potrzebna jest znajomość specyficznego języka, za pomocą którego staramy się opisać ulotne odczucia. Siłą rzeczy to język nieprecyzyjny, wrażeniowy. Opisy wina niekiedy mogą wydawać się ekstrawagancje i przesadne. Nie chodzi o mnożenie przymiotników, lecz o określenie tego, co w danym winie jest wyjątkowe. Najważniejszym kryterium oceny pozostaje zawsze zasada przyjemności – całkowicie subiektywna, ale kardynalna.

PROCES DEGUSTACJI WINA

Spokojny początek – pierwszy nos

1. Postaw kieliszek do degustacji na białym tle. Napełnij go winem mniej więcej w 1/3 objętości. Patrząc z góry, przeanalizuj wygląd, czyli tzw. suknię wina.

- Sprawdź, czy w winie nie ma **zanieczyszczeń**, np. korka.
- Oceń **klarowność** wina. Lekkie zmętnienie może pojawić się w winach naturalnych, nieklarowanych. Osad zdarza się również w winach starzonych.
- Określ, czy powierzchnia wina jest **lśniąca**, czy **matowa**. **Połysek** jest wyznacznikiem wieku wina i wiąże się z poziomem kwasowości. Dlatego jest szczególnie pożądany w białych winach.
- Oceń **głębię sukni**, czyli intensywność barwy. Widoczna od góry nóżka kieliszka jest dobrym punktem odniesienia.



- Bez zakręcania kieliszkiem powąchaj wino, wolno wciągając powietrze. To tzw. **pierwszy nos** (fr. premier nez), pozwalający wyczuć najdelikatniejsze, najbardziej ulotne zapachy. Częsteczki zapachowe różnią się pod względem lotności. Najlżejsze z nich samoczynnie odrywają się od powierzchni wina pozostającego w spoczynku.



- Podnieś kieliszek za dolną część nóżki i lekko przechyl. W tej pozycji łatwiej jest ocenić barwę sukni i jej jednorodność. Porównaj zabarwienie wina na środku i przy krawędziach.

Barwa ma największe znaczenie w przypadku win czerwonych. Za ich charakterystyczny kolor odpowiedzialne są związki polifenolowe zawarte w skórkach winogron – **antocyjany i taniny**. Ich ilość i zabarwienie różni się w zależności od odmiany, dojrzałości owoców i długości maceracji. Antocyjany są **purpurowe**, a taniny **pomarańczowe**. Obie grupy z czasem polimeryzują i wytrącają się w postaci osadu. Antocyjany są bardziej nietrwałe, dlatego najpierw w winie zanika kolor purpurowy, a starzone wino przybiera ceglany odcień charakterystyczny dla tanin.



Lekkie wzruszenie – drugi nos

2. Unieś kieliszek i lekko zakręć winem. Obserwuj, czy pojawiają się w nim bąbelki lub piana oraz czy na szkle pozostają zacieki.

Lekko zakręcamy winem tak, by rozprowadzić je po wewnętrznych ściankach kieliszka.



Powstawanie bąbelków i piany na powierzchni świadczy o obecności dwutlenku węgla powstałego w procesie fermentacji. W winach musujących, im pęcherzyki gazu są mniejsze i wolniej wypyływają, tym trunki jest szlachetniejszy. W winach spokojnych obecność pęcherzyków świadczy o niepożądanym refermentacji.

Łzy, czyli zacieki widoczne na ściankach kieliszka po zakręceniu winem, nie są wyznacznikiem jakości wina. Świadczą jedynie o wysokiej zawartości alkoholu lub cukrów zwiększających jego lepkość. Szybko odparowujący alkohol zmienia gęstość wina i spowalnia jego sptywanie po ściankach kieliszka.

- Po zakręceniu winem i analizie wizualnej ponownie powąchaj wino. To tzw. **drugi nos** (fr. deuxième nez), pozwalający stwierdzić, czy wino jest poprawne.

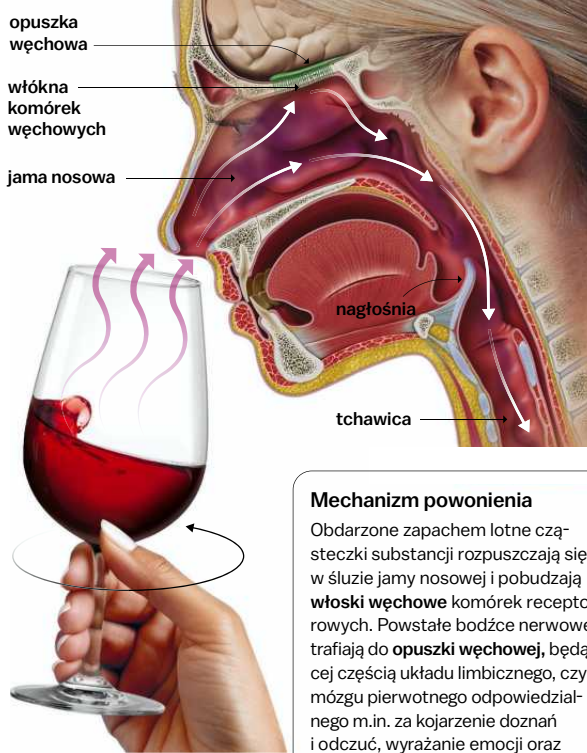
Lekkie wzruszenie wina uwalnia cięższe aromaty nieodczuwalne tuż po nalaniu z butelki. To właściwy moment, by wino ponownie powąchać, odkrywając wiodące nuty zapachowe. Tego samego wina nie należy wąchać w zbyt krótkich odstępach czasu, ponieważ węch szybko dostosowuje się do odczuwanych woni i chwilowo zmniejsza swoją wrażliwość na dany zapach. **Wino najlepiej jest wąchać przy wewnętrznej krawędzi kieliszka**. Bliżej środka aromat wina może być zdominowany przez woń alkoholu.



Silne wzburzenie – trzeci nos

3. Ponownie, tym razem energicznie, zakręć winem i natychmiast je powąchaj, nie przerywając, dopóki wino się nie ustabilizuje.

Zmysł węchu u ludzi jest o wiele wrażliwszy niż zmysł smaku – człowiek potrafi rozróżnić ponad 10 tys. zapachów. Niestety, z wiekiem zmysł powonienia się pogarsza.



Mechanizm powonienia

Obdarzone zapachem lotne cząsteczki substancji rozpuszczają się w śluzie jamy nosowej i pobudzają **włoski węchowe** komórek receptorowych. Powstałe bodźce nerwowe trafiają do **opuszki węchowej**, będącej częścią układu limbicznego, czyli mózgu pierwotnego odpowiedzialnego m.in. za kojarzenie doznań i odczuć, wyrażanie emocji oraz zapamiętywanie.

- Porządnie zakręć kieliszkiem, tak by wino pokryło cienką warstwą jego ścianki. Uzyskujemy w ten sposób rozległą powierzchnię płynu, z której łatwiej odrywają się cięższe cząsteczki zapachowe, tworząc aromatyczną mgłę, oraz dodatkowo napowietrzamy wino. Następnie w skupieniu, nie spiesząc się, ponownie powąchaj. To tzw. **trzeci nos** (fr. troisième nez). Na tym etapie zapach wydaje się najbardziej wyrazisty po upływie kilku sekund od rozpoczęcia wąchania. Wrażenia zapachowe mają zasadnicze znaczenie przy degustacji wina. Aromaty wina określa się przez porównanie do innych woni.

Wyróżniamy trzy zasadnicze grupy aromatów:

- **Aromaty pierwotne** (pierwszorzędowe, odmianowe), pochodzące od substancji aromatycznych zawartych w owocach. Nuty zapachowe: roślinne, kwiatowe i owocowe.

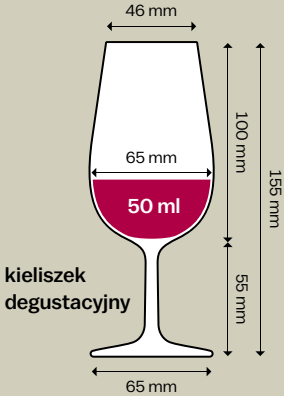
- **Aromaty wtórne** (drugorzędowe, fermentacyjne), powstające w procesie fermentacji alkoholowej. Nuty zapachowe: piekarnicze, drożdży, chleba, piwa.

- **Aromaty trzeciorzędowe**, powstające na etapie dojrzewania wina w beczce. Nuty zapachowe: balsamiczne, korzenne (np. cynamon), odzwierzęce (np. piżmo), pochodne palenia (np. kawa, dym).

JAK PRAWIDŁOWO SERWOWAĆ WINO

Kieliszek

Kieliszek do degustacji wina musi być **przezroczysty i bezbarwny**. Powinien mieć **wygodną do trzymania nóżkę** (żeby nie ogrzewać wina podczas trzymania kieliszka w dłoni) oraz **dostatecznie dużą czaszę** umożliwiającą bezpieczne kręcenie winem. Kształt czaszy powinien być zbliżony do **kształtu tulipana** – u dołu szerszy i stopniowo zwężający się ku górze. Dzięki temu wydzielane przez wino aromaty ulegają koncentracji u wylotu kieliszka. Do degustacji przeznaczone są specjalne, certyfikowane kieliszki. **Porcja degustacyjna** wina jest mniejsza niż porcja serwisowa i wynosi ok. 50 ml.



Kieliszek napełniamy do najszer-szego miejsca, by powierzchnia styku wina z powietrzem była jak największa. Dzięki temu wino się lepiej napowietrza i wydziela więcej aromatów.

Temperatura

Temperatura wina jest bardzo istotna, ponieważ wpływa na in-tensywność aromatu i smaku. Im wino jest cieplejsze, tym jego aromat jest mocniej wyczuwalny. Białe wina i wina musujące, z na-tury bardziej ożywcze, podaje się schłodzone. Wina czerwone, zazwyczaj o pełniejszym aroma-cie, serwuje się w temperaturze zbliżonej do pokojowej. Obecnie, w dobie dobrze ogrzanych miesz-kań, trzeba uważać, by wina nie przegrzać, tym bardziej że po nalaniu z butelki wino w kieliszku szybko się nagrzewa. W dużym uproszczeniu opty-malna temperatura podania **białych win wynosi 8-12 st. C, różowych 10-12 st. C, a czerwonych 16-18 st. C.**

temperatura podania w st. C

6-9 st. C	8-12 st. C	10-12 st. C	12 st. C	16-18 st. C	20 st. C
--------------	---------------	----------------	-------------	----------------	-------------

zawartość alkoholu w proc.

9-14 proc.	9-14 proc.	9-14 proc.	10-15 proc.	12-17 proc.	14-20 proc.
---------------	---------------	---------------	----------------	----------------	----------------

kształt kieliszka



Kolejność

Przy degustacji ważna jest kolejność serwowania win. Podajemy je w następującym porządku:

- białe → czerwone,
- wytrawne → słodkie,
- młode → starsze,
- stołowe → gatunkowe,
- musujące → wzmacniane.

Dekantacja

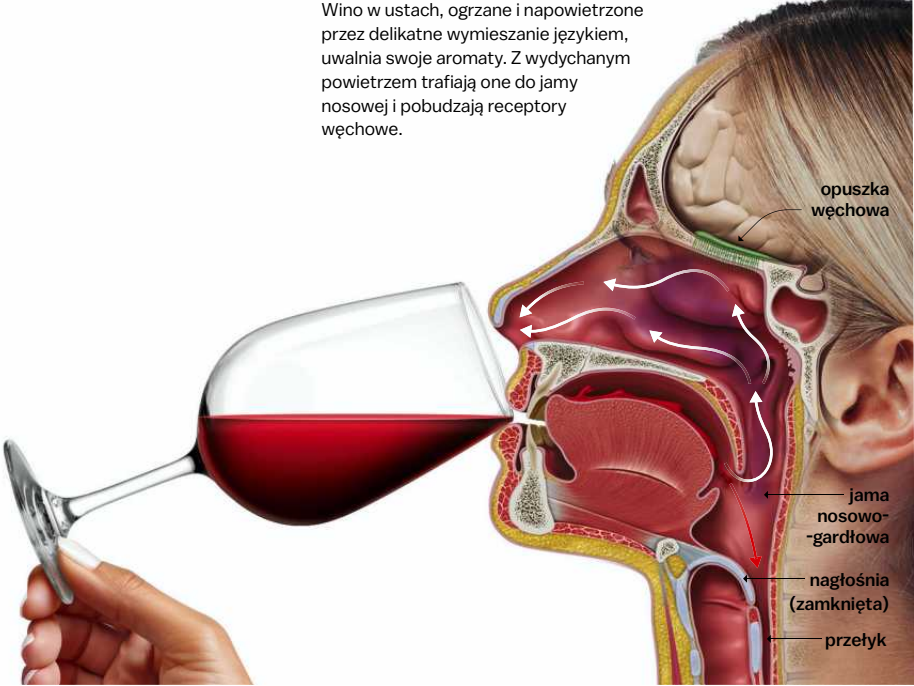
Wina czerwone starzone oraz te bardziej ekstraktywne mogą tworzyć osad na dnie butelki. Również w niektó-rych białych winach mogą wytrącać się nierozpuszczalne kryształki kwasu winowego. W takim wypadku wino przed podaniem należy ostrożnie przelać do innego naczynia.

Co o winie mówi język – pierwszy tyk

4. Nabierz w usta tyk wina. Rozprowadź je po całym języku i podniebieniu, tak by miało kontakt ze wszystkimi kubkami smakowymi.

- Przechowując wino w ustach, nabierz przez rozchylone wargi trochę powietrza, by zintensy-fikować wydzielanie substancji lotnych. Mieszając wino językiem, postaraj się poczuć jego fakturę i zidentyfikować zawartość cukrów, kwasów i tanin. Spokojnie oddychaj i po trochu połykaj. Kubki smakowe znajdują się nie tylko na języku, ale również w jamie nosowogardłowej, a także w górnej części przełyku. Uwolnione w jamie ustnej czą-steczki zapachowe trafiają wraz z wydychanym powietrzem do jamy nosowej. Suma wrażeń zmysłowych pochodzących z kubków smakowych i recep-torów węchowych składa się na wrażenie smaku.

Wino w ustach, ogrzane i napowietrzone przez delikatne wymieszanie językiem, uwalnia swoje aromaty. Z wydychanym powietrzem trafiają one do jamy nosowej i pobudzają receptory węchowe.



Cechy wina związane ze smakiem i odczuciami pozostającymi w ustach

• Słodkość/wytrawność

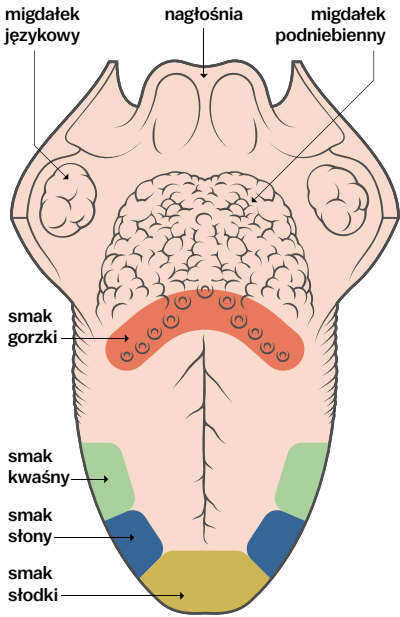
Słodki smak wina związany jest z obecnoś-cią nieprzetworzonego w procesie fermen-tacji **cukru reszkowego**. Wytrawność jest przeciwieństwem słodkości i oznacza, że w winie nie czuje się cukrów. Jednak wrażenie słodczy w winach wytrawnych mogą wywoływać sam **alkohol**, niewielka ilość **gliceryny** będącej produktem ubocz-nym fermentacji oraz **smak naturalnie dojrzałych owoców**.

• Kwasowość

Najważniejsze kwasy w winie – **winowy i jabłkowy** – pochodzą z winogron. Trzeci istotny kwas – **mlekowy** – powstaje w wyniku fermentacji malolaktycznej będącej częścią procesu winifikacji, głównie win czerwonych. Niższy poziom kwasów wykazują wina z gorących regionów winiarskich. Chłodniejsze regiony winiarskie produkują wina o wyższej kwasowości. We właściwej proporcji kwasy są w winie niezbędne. Nadają mu potrzebną **żywość i charakter**. Nadmierna ilość kwasów sprawia, że wino jest **cierpkie**. Jeśli jest ich za mało, wino jest **plaskie, tępe, bez wyrazu**. W białych winach pozbawionych tanin kwa-sowość stanowi podstawowy element ich struktury. Cukier równoważy i łagodzi kwasowość, podczas gdy wysoki poziom tanin i kwa-sów nawzajem się uwydatnia.

Czucie smaku

Receptory smaku, czyli **kubki smakowe**, znaj-dują się przede wszystkim w wyniosłościach języka zwanych brodawkami oraz, w mniej-szejszym stopniu, na podniebieniu, w gardle i na nagłośni. Choć każdy kubek jest w stanie odbierać wszystkie podstawowe smaki, to jednak można wyróżnić obszary języka bardziej wrażliwe na jeden smak. Poniżej znajduje się uproszczona mapa smaków.



• Alkohol

Alkohol etylowy jest głównym produktem fermentacji, podczas której drożdże rozkła-dają cukry obecne w winogronach. Alkohol ma złożony, słodko-gorzki smak oraz swoistą fakturę. Jego konsystencja i lepkość różni się od konsystencji wody. W ustach wywo-tuje wrażenie ciepła. Wysoki poziom alko-holu w winie może sprawiać, że wino jest w smaku **palące**. Zbyt niski poziom alkoholu z kolei powoduje, że wino jest **cienne, lekkie i puste**.

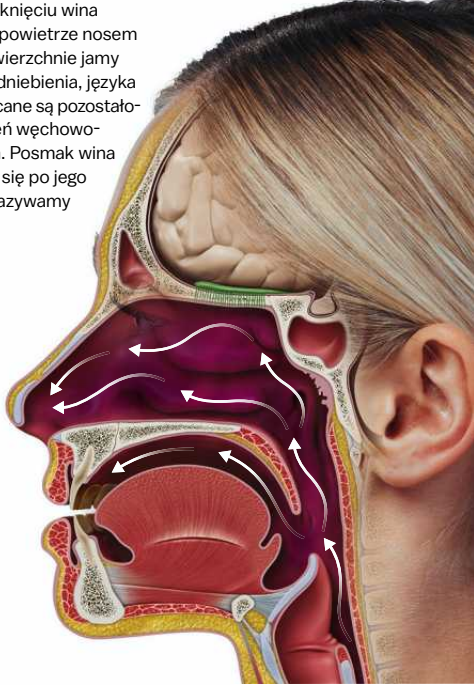
• Ściągalność (taniny)

Ściągalność objawia się wrażeniem wysu-szenia i zmarszczenia powierzchni jamy ustnej sprawiającym, że trudno jest gładko przeciągnąć językiem po dziąstach. Efekt ten wywołują obecne w winie taniny. W ustach rozkładają one białka zawarte w ślinie i powodują, że przestaje ona dzia-łać jak naturalny smar. Taniny w winie po-chodzą ze skórek i szypułek winogron oraz z drewnianych beczek do starzenia, dlatego występują głównie w winach czerwonych. Jest to składnik w największym stopniu wpływający na **teksturę wina**, jego konsys-tencję, gęstość i intensywność. Są również naturalnym środkiem konserwującym umożliwiającym leżakowanie czerwonego wina. Z upływem czasu łagodnieją, sprawiając, że tekstura wina staje się bardziej miękka i gładka.

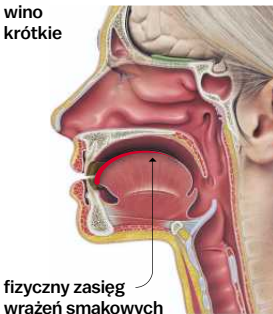
Pozostające wrażenia – finisz

5. Po przełknięciu albo wypłuciu wina w skupieniu przeanalizuj wrażenia pozostałe w jamie nosowej, ustnej i w gardle.

Kiedy po połknięciu wina wydechamy powietrze nosem i ustami, powierzchnie jamy nosowej, podniebienia, języka i gardła nasycane są pozostało-ściami wrażeń węchow-o-smakowych. Posmak wina utrzymujący się po jego połknięciu nazywamy **końcówką**.

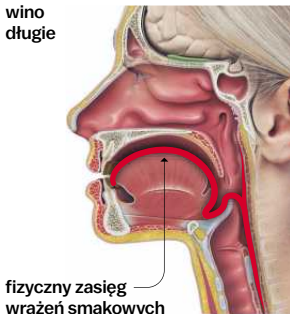


- **Długość wina**, czyli tzw. finisz, jest cechą jakościową będącą uniwersalną miarą jakości wina. Przy degustacji rozpatruje się ją w dwóch aspektach: **fizycznym** – jak głęboko w jamie ustnej i na języku odczuwamy obecność wina, zanim jego smak zwiędnie, oraz **czasowym** – jak długo przełknięte wino stymuluje kubki smakowe i koncentruje naszą uwagę.



fizyczny zasięg wrażeń smakowych

Wina krótkie nie tylko mają nie-trwały posmak, ale też przy poły-kaniu jedynie przemykają po języku i przestają być odczuwalne.



fizyczny zasięg wrażeń smakowych

Wina długie oprócz długiego posmaku po połknięciu są odczuwalne na całej długości jamy ustnej, u nasady języka i w gardle.

- Odrębną cechą jest **długość końcówki wina**, czyli trwałość posmaku, na który składają się smaki i aromaty pozostające w ustach po skończonej degustacji. Generalnie im wino jest dłuższe, tym jest lepsze. Zasada ta dotyczy win dobrze zrówno-ważonych, w których wszystkie składniki smakowe tworzą harmonijną całość. Jeśli jednak długość posmaku związana jest z nadmiarem jakiegoś składnika – kwasowości, tanin lub alkoholu, który dominuje w końcówce wina nad nutą owocową i aromatem, wówczas mamy do czynienia z winem niezrównoważonym i ten rodzaj długości postrzegany jest jako wada.

UMARŁ SAMOCHÓD, NIECH ŻYJE SAMO-CHÓD

FOT. SHUTTERSTOCK



Jest zimno, więc podłączyłem rower do prądu **Miłosz Kędracki***

P

Przyszłość transportu miejskiego przedstawiana w reklamach samochodów to futurystyczna gruszka na trzech kółkach. Wewnątrz zamknięty jest pasażer, bo nie kierowca, i albo przesuwają coś na przejrzystym interfejsie niczym Tom Cruise w „Raporcie mniejszości”, albo gapi się z tej bańki na sterylny świat. Ma wyraz twarzy, jakby poddano go lobotomii lub działaniu jakichś psychosubstancji, albo nie wierzy w to, co widzi. Ja też nie.

Z kolei wizja planistów i wizjonerów wyklucza taką ekstrawagancję jak transport indywidualny. W taką utopię też nie wierzę, choć zgadzam się, że idea „samochodu dla ludu” już została rozstrzygnięta na jego niekorzyść. Co wcale nie oznacza końca samochodu jako takiego.

BUJDA NA KÓŁKACH

Moja wizja przyszłości to skrzyżowanie kadrów z pierwszego „Blade Runnera”, futurystycznej Kalkuty i Pekinu, po którym jeździ 9 mln rowerów.

Skąd to wiem? Bo trochę jestem pesymistą i zdaję sobie sprawę z tego, jak silna jest entropia. Widzę też, że samorządy nigdy nie zapewnią powszechnego i działającego zbioru, bo myślą o nim jak o podatku albo obowiązku, który muszą zrealizować, a nie jak o sposobie na przemieszczanie się milionów ludzi, czyli czymś naturalnym i nieodzownym niczym wodociąg. Na elektryczne hulajnogi nas

nie stać – za dużo by szło na dentyków i chirurgów twarzowych. Rower to co innego, zapewniał możliwość komunikacji nawet w Chinach po rewolucji kulturalnej. Jest po prostu najbardziej dostępnym, łatwym i stosunkowo bezpiecznym, mobilnym, elastycznym oraz najszybszym i arcyefektywnym środkiem transportu, zwłaszcza w gęstej zabudowie. Przetrwa każdą prosperitę i katastrofę, z udarem planetoidy włącznie. Teza tym bardziej uzasadniona, że w ostatnich czasach błyskawicznie ewoluuje i staje się jeszcze doskonalszy.

IDEAŁ NA KÓŁKACH

Już analogowy rower doskonale radzi sobie na średnim dystansie 10-15 km i świetnie się sprawdza na tzw. ostatniej mili. W wersji ze wspomaganie niestraszne mu dłuższe dystanse, i to bez drenowania energii użytkownika czy poniżania go w obliczu wzmorcowu i podjazdów (oraz braku prysznicy w zakładzie czy na uczelni). Mimo to wciąż bardzo wielu ludzi uważa rower ze wspomaganie za aberrację, a głównym podawanym powodem tej opinii jest wyobrażenie, że rower elektryczny zwalnia jadącego z wysiłku fizycznego. To nieprawda.

Wspomaganie elektryczne wzmacnia, ale nie wyręcza. Dlatego wyrażenie „rower elektryczny” jest niewłaściwe, a termin „e-bike” należy utożsamiać z rowerem ze wspomaganie elektrycznym, a nie mopedem, w któ-

rym gazu dodaje się manetką albo dotykając bez wysiłku pedałów.

Klasyczny, analogowy rower utożsamiany jest z intensywną aktywnością fizyczną, która z kolei ma korzystny wpływ na zdrowie. Ergo korzystanie z rowerów ze wspomaganie elektrycznym (e-rowerów, e-bików itp.) może prowadzić do zmniejszonej aktywności fizycznej. Czyżby?

ELEKTRYCZNY ROWERZYSTA MNIEJ CHODZI

Praca naukowa pt. „Physical activity of electric bicycle users compared to conventional bicycle users and non-cyclists” Alberta Castra i współpracowników z kilkunastu uniwersytetów, w tym z Zurychu i Oksfordu, żeby wymienić tylko najbardziej mi znane, pokazuje, jak jest w rzeczywistości. Wyniki oparto na badaniach fizycznej aktywności mieszkańców w siedmiu europejskich miastach. Przebadano ponad 10 tys. osób przemieszczających się rowerami, rowerami ze wspomaganie oraz korzystających z innych środków transportu, w tym zbiorowego i indywidualnego. Wykazano, że e-rowerzyści korzystali ze swoich wspomaganie rowerów z podobną częstotliwością pod względem dni użytkowania w miesiącu jak rowerzyści analogowi (14,5 vs. 14 dni w miesiącu). Okazało się, że e-bikerzy znacznie rzadziej wybierali jednak transport publiczny (7,7 vs. 10,4). Rza-

dzie też korzystali z rowerów analogowych (7,9 vs. 14) i mniej chodzili pieszo w porównaniu z rowerzystami nieużywającymi rowerów ze wspomaganie (16,3 dnia w miesiącu vs. 18,9). Ha, wyszło na wasze!

Tyle że przebadani e-rowerzyści deklarowali dłuższy średni czas trwania podróży e-rowerem i rowerem – korzystali bowiem z obu tych pojazdów. Określono to odpowiednio na 35 i 41,9 min. Jak się okazuje, to znacznie dłużej niż czas trwania podróży rowerem bez wspomaganie używanym przez zatwardziałych analogowców (25,6 min!).

Biorąc pod uwagę badania, jakie przeprowadzili Sveinung Berntsen, Lena Malnes, Aleksander Langåker i Elling Bere w pracy „Activity when riding an electric assisted bicycle”, które dowodziły, że w zależności od topografii rower ze wspomaganie skraca czas przejazdu od 15 do 35 proc., należało założyć, że e-bikerzy jeżdżą dalej. Praca pod kierownictwem Castra to potwierdza: użytkownicy rowerów ze wspomaganie pod względem średniego dystansu podróży pokonują znacząco większe dystanse niż rowerzyści analogowi.

Jak dowodzi praca Castra et consortes, e-bikerzy pokonywali średnio 8 km dziennie, podczas gdy dla klasycznych rowerzystów średnia podróż wyniosła raptem 5,3 km. Co zastanawiające, e-rowerzyści dodatkowo zgłaszali 2,5 km dziennie na rowerze bez wspomaganie... Nienasyceni.

Badacze przywodzą też dane z innych dzieł naukowych, wedle których „średni tygodniowy przebieg na rowerze elektrycznym wynosił od 15 km do ponad 70 km; średnia długość podróży do pracy wahała się od 9,8 km do 17 km; udział podróży rowerem elektrycznym zastępującym podróże samochodem wynosił od 16 do 76 proc.; a średnia prędkość roweru elektrycznego była porównywalna z miejskim transportem publicznym”. Rowery ze wspomaganiem są naprawdę zachwycające.

NIKT NIE ZABRANIA WYŁĄCZYĆ WSPOMAGANIA

Dlatego nie wolno dać się ponieść hejto wi pod adresem roweru ze wspomaganiem. Zwłaszcza że nie jedzie on po naciśnięciu magicznego przycisku (i z tego powodu można nim jeździć i po drogach, i po ścieżkach rowerowych, a w pewnych określonych warunkach nawet po chodnikach z pieszymi). Jednocześnie legalny rower ze wspomaganiem pozwala dojechać na miejsce bez konieczności wysiłku ponad miarę, a po dotarciu do celu można być się bez konieczności użycia prysznica czy przebrania garderoby. Na analogu jest to możliwe nadzwyczaj rzadko. Wspomaganie elektryczne nie wyręczy całkowicie, ale ograniczy wysiłek pod wiatr i na podjazdach. Ułatwi szybki start spod światła i pozwoli dotrzeć punktualnie na biznesowe spotkanie. O poziomie wspomagania decyduje użytkownik. W drodze powrotnej możesz dla kaprysu wyłączyć wspomaganie i zamiast akumulatora rozładować emocje, poprawić kondycję oraz zażyć dopaminy.

25 KG POD GÓRKĘ

Wyróżniam coś takiego jak niemiecka szkoła projektowania rowerów. Zakłada ona maksymalizację możliwości i osiąągów. Cechy te najłatwiej osiągnąć

E-rowerzyści pokonują średnio 8 km dziennie, analogowi – 5,3 km. A elektryczni dodatkowo przejeżdżają 2,5 km dziennie na rowerze bez wspomagania

za pomocą silników centralnych, w których silnik bezpośrednio wspomaga korby. W e-MTB, czyli elektrycznych rowerach górskich (takich do użytku serio, nie supermarketowych), to optymalna strategia, silniki centralne charakteryzują się bowiem wybitną kulturą pracy oraz optymalną masą w stosunku do mocy. Ale coś za coś – są cięższe, bardziej skomplikowane i dużo droższe. Silniki zintegrowane w piaście koła (choćby takie, jakie widzimy w rowerach dostawców UberEats) są znacznie skromniejsze i dalekie od ideału w najbardziej wymagających warunkach, ale oprócz tego, że są tańsze, dysponując mniejszą mocą, delikatniej się z nią obcho-dzą, przez co rozsądniej zużywają zasoby energii. Gdy na rowerze cięższym niż 23-25 kg zabraknie prądu, bardzo trudno go rozpędzić, a byle górka przekracza możliwości przeciętnego rowerzysty. Bariera ta, a wraz z nią „range anxiety”, czyli lęk przed pustą baterią, znika poniżej 20 kg masy całkowitej roweru. Dlatego projektant roweru z silnikiem w piaście może postawić na lekkość. Akumulator o mniejszej pojemności pozwoli pokonać podobne dystanse jak na cięższym e-biku.

PRĄD SIĘ SKOŃCZYŁ, A JEDZIESZ

Pojemność akumulatora to najczęstszy temat dyskusji o elektrykach. Poprawne wnioskowanie nie zawsze jest zgodne z intuicją. W przypadku samochodów koniec prądu oznacza koniec jazdy. W rowerach silnik wspomaga, a nie napędza. Wyczerpanie akumulatora nie jest katastrofą, pod warunkiem że rower jest w miarę lekki.

Okazuje się, że już z akumulator-ka o pojemności 250 Wh można wy-cisnąć 40-50 realnych kilometrów wspomaganej jazdy. W przypadku potworów o pojemności przekraczającej 750 Wh zasięg jest oczywiście znacznie większy. Czy jednak konieczny na dojazdy do pracy? Jeśli dziennie masz do pokonania około 50 kilosów tam i z powrotem, oblicisz to bezstresowo.

Kolejną cechą, na którą chcę zwrócić uwagę przy okazji roweru do miasta, jest integracja akumulatora. To nie tylko kwestia wzornictwa czy skłonność do mimikry, czyli udawania „prawdziwego”, „klasycznego”, w domyśle „szlachetniejszego” roweru. Decyduje też o walorach trakcyjnych, bo im niżej umieszczony środek ciężkości, tym korzystniej. Łatwiej się jeździ i trudniej zauważyć różnicę w prowadzeniu względem roweru analogowego. Umieszczenie akumulatora na bagażniku jest popularne w e-bikach poprzednich generacji. To tańsze rozwiązanie, ale zostawiając już na boku estetykę działkowo-balkonową (składak z dzwonkiem, trąbką, dwoma lusterkami, chorągiewką i radyjkiem na kierownicy), rower tego typu jest gorzej wyważony i zauważalnie trudniej się prowadzi. Poza tym to, że „elektryk” ze sprytnie zintegrowaną baterią wygląda jak rower analogowy, ma walor nie tylko estetyczny, ale też mniej rzuca się w oczy miłośnikom cudzej własności. Sprytnie umieszczony niewielki akumulator oraz trochę bardziej opasła niż zwykła piasta nawet znawców sprowadzą na manowce.

DUŻO CYFEREK I AKRONIMÓW

Tyle że na polskim rynku nie ma wielu rowerów pasujących do powyższego opisu, czyli nieskomplikowanych, wspomaganych silnikiem w piaście i ze zintegrowanym akumulatorem. Znalazłem dosłownie kilka podobnych propo-

zycji (uwaga, to nie product placement, za to będą nazwy kojarzące się raczej z czasopismem dla nerdów wkręconych w rynek komputerowych kart graficznych niż wiatrem we włosach): EcoBike Urban z silnikiem Bafang i akumulatorem 349,2 Wh, Jobobike Viva z baterią ogniw 374 Wh, Orbea Vibe Mid H30 EQ wspomagana silnikiem Ebikemotion X35 Plus zasilanym przez akumulator 248 Wh i Winora E-Speedster z silnikiem Mahle X35 i akumulatorem 250 Wh. Na podobnych zasadach skonstruowano także Electrę Loft Go! 7D EQ. Przy czym silnik o wdzięcznej nazwie Hiena i akumulatoryk 250 Wh zamontowano do ramy nawiązującej kształtem do klasycznego damskiego cafe racera. Dzięki temu nie da się obok tego roweru przejść obojętnie.

Zostańmy dłużej przy modelu Elektra, bo jej elektryfikacja jest praktycznie niezauważalna – silnik jest niezwykle cichy, a grubość rur ramy nie zdradza wypchania ogniwami. To dobrze, bo jazda po mieście to nie tylko wiatr we włosach (optymalnie przenikający się przez otwory wentylacyjne kasku) i rozkosz obserwacji zablokowanych w korku kierowców. Rower trzeba także móc bez stresu zostawić pod biurowcem czy galerią handlową.

Tak pomyślany może być królem miejskiej jazdy. Da radę w codziennym tyraniu do pracy, bez względu na pogodę i porę dnia, bo wyposażony jest w bardzo skuteczne oświetlenie pozycyjne i reflektor, który radzi sobie z całkowitymi ciemnościami. Ma też kapitalne pełne – czyli długie niemal do ziemi – błotniki solidnie przymocowane do ramy. Jest przy tym na tyle szykowny, żeby zachwycić na podjeździe pod teatr czy galerię (nie tę handlową).

I TAK SIĘ ZMĘCZYŁEM, A BAWIŁEM SIĘ LEPIEJ

Rowery ze wspomaganiem o mniejszej mocy już od pewnego czasu są coraz lepiej odbierane przez miłośników jazdy terenowej, ponieważ nawet do największych purystów dociera, że mogą się zmęczyć tak, jak lubią, i „wyrobić lądę”, jednocześnie docierając dalej, a więc eksplorując więcej, dłużej ciesząc się naturą, widokami i adrenaliną. Obecnie powoli przebija się świadomość, że e-rower może budować przewagę także w trakcie podboju miejskiej dżungli.

Teraz wystarczy odświeżyć znajomość przepisów kodeksu ruchu drogowego – bo slogany aktywistów miejskich nie unieważniają reguł pierwszeństwa, czerwonych świateł ani zasady ograniczonego zaufania do pozostałych uczestników ruchu – i w drogę. ●

*Miłosz Kędracki

• założyciel i wieloletni redaktor naczelnymiesięcznika „bikeBoard”, najstarszego (na rynku od 1996 r.) i największego w kraju czasopisma rowerowego, aktualnie mentor i konsultant. Jedynty zagraniczny członek jury prestiżowej nagrody Eurobike Award

Ostatnia szarża arcybiskupa

W wyborach społeczeństwo pokazało Kościołowi czerwoną kartkę.

Magdalena Czyż

Każdy, komu bliskie są wartości demokratyczne, obserwuje z satysfakcją – żeby nie powiedzieć z przyjemnością – serię wydarzeń w ostatnich tygodniach.

Święta i koniec roku to czas podsumowań. We wrześniu, w szczycie kampanii wyborczej, na każdym spotkaniu kampanijnym stron prodemokratycznych padały pytania o rolę i miejsce Kościoła w Polsce. Frustracja pytających była boleśnie wyczuwalna, ponieważ wszyscy czuli, a niektórzy byli przekonani, że wpływ wyrażanych przez Episkopat poglądów na rzeczywistość jest niewspółmiernie wielki w porównaniu z faktyczną siłą tego gremium.

Intuicje pytających zostały potwierdzone 15 października. Społeczeństwo pokazało Kościołowi, którego głosem ciągle jest w Polsce wyłącznie głos Episkopatu, czerwoną kartkę i poprosiło o zejście z boiska.

Zatem jeśli próbuję odpowiedzieć na pytanie, kto lub co jest największym przegranym 2023 roku, to będzie to Kościół, a personalnie arcybiskup Stanisław Gądecki. Dlaczego nie Jarosław Kaczyński albo Zbigniew Ziobro? Po pierwsze dlatego, że oni mają świadomość przegranej. Po drugie, historia polityczna ma to do siebie, że często zatacza koła.

O historii Kościoła nie da się tego powiedzieć. Skrajny konserwatyzm reprezentowany przez arcybiskupa ginie na naszych oczach, a wraz z nim upada Kościół katolicki w Polsce.

Ostatnie dwie iście ulańskie szarże abp. Gądeckiego w obronie konserwatywnego katolicyzmu okazały się groteską. Pierwsza to jego list – donos do papieża Franciszka na niemiecką Drogę Synodalną, w którym m.in. uskarżał się na nadzbyt jego zdaniem miłosierny stosunek niemieckich biskupów do społeczności LGBT i błogosławieństwa par jedнопłciowych.

Watykańska Dykasteria Nauki i Wiary właśnie wydała dokument o możliwości udzielania błogosławieństw takim parom, dając wyraźnie do zrozumienia arcybiskupowi, że Kościół idzie w innym kierunku.

Druga szarża to list do Andrzeja Dudy i próba nacisku na jego sumienie w sprawie ustawy o finansowaniu in vitro. Duda podpisał ją bez zwłoki, lekceważąc i upokarzając arcybiskupa na oczach całego kraju. Fakt, że cios zadał polityk obozu, który Episkopat tak jaskrawo wspierał przez osiem ostatnich lat, musiał zabo-leć podwójnie.

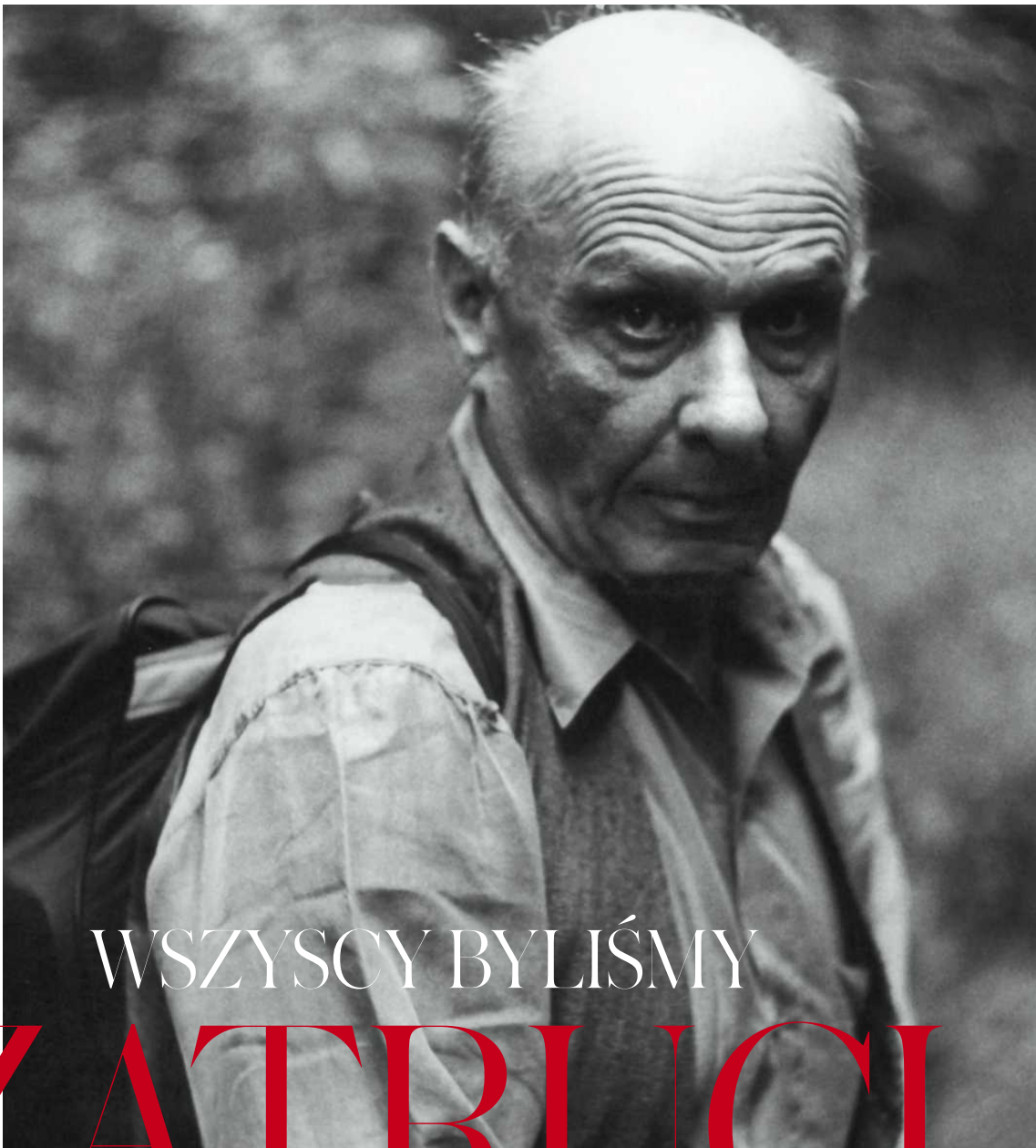
Sytuacja arcybiskupa Gądeckiego zaczyna przypominać tę Antoniego Macierewicza, o którego była obawa, że po rozwiązaniu jego pseudokomisji ds. badania przyczyn tragedii w Smoleńsku zabarykaduje się w jej siedzibie na Kolskiej w Warszawie i trzeba go będzie stamtąd siłą wywlekać. Prof. Andrzej Rychard zapytany o taki pat słusznie zauważył, że to żaden pat. Jeśli Macierewicz chce tam siedzieć, to niech sobie siedzi. Życie i praca nowego rządu toczą się przecież zupełnie gdzie indziej.

Różnica jest taka, że Macierewicz szybko zrozumiał, że jego wojenka i czas się skończył i teraz tylko by się ośmieszał.

Arcybiskup Gądecki ciągle tego nie rozumie. ●

Adam Michnik poleca **Portret Romana Zimanda**

FOT. DOROTA SIWICKA



„Na uczelni
musieli się mnie bać.
Jak biłem, to po oczach”.

OD STALINIZMU
DO OPOZYCJI

Jan Olaszek*

WSZYSCY BYLIŚMY
ZATRUCI

r

Roman Zimand, rocznik 1926, nie miał „słusznego” z punktu widzenia komunistów pochodzenia. Wychował się w bogatej rodzinie lwowskich Żydów. Żyła ona na wysokim poziomie dzięki interesom jego ojca, Bernarda, przemysłowca drzewnego. W dużym stopniu była zasymilowana. W domu mówiono po polsku, a do religijnych zasad stosowano się wybiórczo. Roman został wychowany w przekonaniu, że istotna nie jest różnica między „Żydami a Polakami”, tylko między „żydami a chrześcijanami”. Wydaje się, że jego rodzice uznawali II RP za swoje państwo. Wiosną 1940 r. Bernard został aresztowany, a następnie zamordowany przez Sowietów; 13-letniego Romana z matką, Klarą, wywieźli do Kazachstanu, gdzie przez półtora roku pracował w kółchozie. Ukończył tam trzecią klasę gimnazjalną w szkole prowadzonej przez ambasadę rządu RP oraz cztery semestry technikum felczerskiego.

•

Po przyjeździe do Polski w czerwcu 1945 r. Zimand udał się do Łodzi, gdzie poznał Henryka Hollanda, działacza Związku Walki Młodych, komunistycznej młodzieżów-

ki. Ten skierował go do centralnej szkoły tej organizacji. Być może gdyby Zimand spotkał kogoś innego, jego losy potoczyłyby się inaczej. Wpływ na jego drogę mógł mieć zatem przypadek, jednak i tak warto poszukać głębszych przyczyn tego, że stał się stalinistą i był nim przez dekadę.

Wziąć pod uwagę trzeba różne motywacje: wpływ autorytetów ze starszego pokolenia, świadomość braku alternatywy dla rządów komunistycznych w powojennej Polsce, brak szerszej wiedzy o zbrodniach systemu, strach, zaślepienie wiarą w ideologię czy poczucie konieczności odbudowania życia po wojnie.

Zimand o tych motywacjach nie wspominał, ale to nie znaczy, że żadna nie miała na niego wpływu. Na ogół zresztą unikał tłumaczenia swojej dawnej postawy. Właściwie jedyną taką jego wypowiedź znaleźć można w książce Barbary Łopieńskiej i Ewy Szymańskiej „Stare numery” o „Po Prostu”. Słowa Zimanda wskazują na trzy motywy: doświadczenie wojny, wiara w sprawiedliwy porządek i osobiste korzyści.

„Myślę, że dla pokolenia urodzonego między 1920 a 1930 rokiem podstawowy mechanizm samooclepienia, bez którego nie można było zostać bolszewikiem, związany jest z wojną. (...) Miałem nadmiernie rozbudzoną potrzebę uporządkowania raz na zawsze wszystkiego, co jest dobre, a co złe. Komunizm dawał tę jasność, która potem dla mnie okazała się ciemnością”.

Być może liczył na to, że w nowym porządku żydowskie pochodzenie przestanie być obciążeniem. Miał bardzo trudne doświadczenie z armii Andersa. Spędził w niej tylko cztery miesiące. Powodem były antysemickie szykany ze strony kolegów. Z badań Krystyny Kersten i utrwalonych w literatu-

rze doświadczeń kilku pisarzy (m.in. Józefa Hena) wiadomo, że Żydów często po prostu tam nie przyjmowano. Epizod ten mógł być istotnym kontekstem późniejszych wyborów Zimanda.

Nie było to pierwsze jego zetknięcie się z antysemityzmem. W eseju „Gatunek: podróż” opublikowanym w 1983 r. wracał do czasu dzieciństwa, pisząc o tym zjawisku jako czymś stale obecnym, ale też o harmonijnym współistnieniu różnych kultur we Lwowie.

Jego dzieciństwo nie było zdominowane przez doświadczenie antysemityzmu. Wpływ na to pewnie miał status majątkowy rodziny. Ludziom bogatym łatwiej było unikać szykan, choć jego ojciec w pewnym momencie obok innych żydowskich przemysłowców drzewnych robiących interesy z koleją stał się obiektem antysemickich ataków endeckiej prasy.

Doświadczenie antysemityzmu badacze uznają za jeden z ważniejszych elementów wpływających na akces do ruchu komunistycznego polskich Żydów przed wojną. Jednocześnie w przypadku osób, które do tego ruchu dołączyły już w czasie wojny lub po niej, nie można nie brać pod uwagę kontekstu Zagłady.

Jak zwracał uwagę w książce „Żydom-komuna” Paweł Śpiewak, dla wielu młodych Żydów dotychczasowe świadomie przeżyte doświadczenia wiązały się jedynie z Holocaustem, co wpływało na otwartość niektórych na idee rewolucji i budowania nowego porządku. Świat ich rodziców nie istniał, a własnego nie mieli.

Zimand nie miał własnych bezpośrednich doświadczeń związanych z Zagładą. W 1984 r. podczas dyskusji w „Tygodniku Powszechnym” zastrzegł: „Żywego hitlerowca

widziałem w życiu jeden raz, w trzydziestym siódmym roku w Gdańsku”. Zarazem jego zainteresowanie tematem wynikało nie tylko z utożsamienia się ze zbiorowością milionów zamordowanych Żydów.

Jego ukochanego brata Dawida rozstrzelali Niemcy podczas likwidacji getta w Żółkwi. Ofiarami Zagłady była też znaczna część dalszej rodziny. On sam należał do „ocalonych na Wschodzie”, dla których wywózka okazała się ratunkiem, co mogło mieć istotny wpływ na jego stosunek do komunizmu, który jako pogromca nazizmu wielu jawił się jako jedyna dla niego alternatywa.

W drugiej połowie lat 80. w eseju „Piołun i popiół (czy Polacy i Żydzi wzajem się nienawidzą?)” Zimand polemizował z postrzeganiem antysemityzmu jako głównej przyczyny akcesu Żydów do partii komunistycznej przed wojną. Dostrzegał za to kilka cech kultury żydowskiej, które mogły kierować ich w tę stronę. Wspominał o legalizmie, który wraz z mylnym, jak podkreślał, poglądem, że lewica nie może być antysemicka, miał doprowadzić niektórych do przekonania, że problem antysemityzmu środkami prawnymi rozwiąże komunizm. Tak myślących nazywał „beznadziejnymi głupcami”.

Pisał tak ostro także o sobie. Jego zdaniem najbardziej popychał Żydów ku komunizmowi specyficzny status uciekających od korzeni asymilowanych Żydów. O to też miał żal do siebie. Wspominał, że jego zaangażowanie w komunizm było zaprzeczeniem tego, co wyniósł z domu i ze szkoły. „Byłem bardzo złym synem i bardzo się tego wstydzę. Można było sobie przecież powiedzieć, daj spokój, myśli jak żona fabrykanta, ale to jest przecież twoja matka, niech sobie myśli, co chce”.

Klara do tworzącego się komunistyczne-
go porządku miała bardzo negatywny sto-
sunek. Przez kilka lat mieszkała w Bytomiu,
w grudniu 1948 r. wyemigrowała do Fran-
cji, by w końcu osiąść w Izraelu. Drugi brat
Romana, Zygmunt, który służył w armii An-
dersa, po wojnie zamieszkał w Wielkiej Bry-
tanii.

To, że po doświadczeniach represji ze strony
Sowietów Roman stał się przekonany komu-
nistą, wpisywało się w szersze zjawisko
przyjmowania wiary w tę ideologię bądź po-
zostawania przy niej mimo aresztowań, zsy-
łek i pobyków w łagrze, na co pozwalały roz-
maite sposoby racjonalizowania takiej po-
stawy.

Słowa o „żonie fabrykanta” wskazują na
wiarę Zimanda w ustrój sprawiedliwości
społecznej. „No cóż, lewicowa szajba odbi-
jała w latach 30. różnym intelektualistom,
ale to nie jest usprawiedliwienie Romana Zi-
manda. Nic w mojej rodzinie nie skłaniało
mnie do tego, żeby zostać bolszewikiem (...).
Trudno dziś zrozumieć ten pałacy wstyd, że
jest się bogatym, a wokoło są ludzie bardzo
biedni. Tylko pytanie: jakie konsekwencje się
wyciąga z tego uczucia. W [19]45 r. miałem
dziewiętnaście lat, a w tym wieku człowiek
powinien już wiedzieć, jakie uczynki są do-
bre, a jakie złe” – tłumaczył Łopieńskiej i Szy-
mańskiej.

Wiarę w nowy ustrój wzmacniała świa-
domość, że zaangażowanie po stronie władz
pozwoli mieć na coś wpływ, osiągnąć pewną
pozycję. Zimand mówił, że dzięki byciu sta-
linistą odniósł korzyści, bez tego nie praco-
wałby na uniwersytecie. Przyjechał do Polski
jako człowiek nieposiadający właściwie ni-
czego.

Holland, wspominając ich pierwsze spo-
tkanie, mówił o podartych ubraniach Zi-
manda; nawet na tle powojennej biedy się
wyróżniał. Holland miał wówczas prowa-
dzić w szkole ZWM nabór do pracy dzien-
nikarskiej. Zimand wyróżniał się na tle in-
nych słuchaczy, ale wkrótce musiał szkołę
opuścić. Powodem była kradzież koca i pró-
ba sprzedania go.

Pojechał wtedy do Wrocławia, gdzie uda-
ło mu się otrzymać wysokie stanowisko
w zarządzie wojewódzkim ZWM. Tam też
wstąpił do PPR. Zapisał się na zerowy rok
studiów medycznych na Uniwersytecie Wro-
cławskim. Wkrótce rozpoczął pracę w „Try-
bunie Dolnośląskiej”, organie komitetu wo-
jewódzkiego partii, w którym publikował
przez kilka lat przesiąknięte komunistyczną
ideologią teksty.

Dziennikarstwo pochłaniało go bardziej
niż kształcenie się na lekarza, więc studia
te porzucił, ale jesienią 1946 r. zapisał się na
wstępny rok studiów na Wydziale Huma-
nistycznym Uniwersytetu i Politechniki we
Wrocławiu, po którego ukończeniu zaczął
studiować socjologię. Wstąpił też do Akade-
mickiego Związku Walki Młodych „Życie”,
studenckiej odnogi ZWM. Wszedł w skład
zarządu terenowego organizacji, kierując je-
go wydziałem kulturalno-oświatowym, a po-
tem propagandowo-prasowym.

Przy okazji działalności w ZWM i w „Ży-
ciu” poznał Mariana Turskiego, wówczas
przewodniczącego zarządu terenowego tej
pierwszej organizacji w Wałbrzychu. „Po-
znałem go w 1946 r. na jakiejś konferencji
wojewódzkiej naszego związku. (...) Była ja-
kaś dyskusja, on zabrał płomiennie głos, ja
zabrałem płomiennie głos i przypadliśmy so-
bie do gustu” – opowiadał po latach Turski.

Turski i Zimand mieli okazję się prze-
konać, że komunizm jako lek na antysemi-
tyzm jest nieskuteczny. Według jednej z nie-
przychylnych Zimandowi opinii, kiedy tylko
w tamtym okresie spotykała go krytyka, tłu-
maczyć ją miał antysemickimi motywacja-
mi ją wygłaszających. Ale takie sytuacje nie
zmniejszały zaangażowania Zimanda i Tur-
skiego. Połączyła ich na pewno m.in. rzut-
kość i żarliwość w propagowaniu „nowej
wiary”, której czuli się „apostołami”.

Dwaj młodzi aktywiści mieli dużo oka-
zji do wspólnego działania. Turski praco-

wał w wydziale propagandy KW PPR, potem
w lokalnym urzędzie cenzury. Obaj działali
w strukturach partyjnych i w „Życiu”, uczest-
niczyli w organizowaniu „w terenie” sfał-
szowanych wyborów do Sejmu w styczniu
1947 r.

Ich przyjaźń, mimo że przyjmowali bar-
dzo odmienne postawy polityczne, prze-
trwała do śmierci Zimanda na początku lat
90. Tak też było z Leszkiem Kołakowskim,
którego Roman poznał w czasie działalności
w „Życiu” w 1947 r.

Nawet na tle działaczy komunistycznej
młodzieżówki Zimand wyróżniał się zaan-
gażowaniem w propagowanie ideologii ko-
munistycznej i w zwalczanie jej rzeczywi-
stych bądź domniemanych przeciwników.
Często oznaczało to formułowanie oskar-
żeń wobec koleżanek i kolegów oraz wykła-
dowców.

Mieszkający jako licealista w pierwszych
latach po wojnie we Wrocławiu późniejszy
krytyk literacki Andrzej Biernacki wspomi-
nał: „Wybitnie inteligentny, a tym samym
arcygroźny Zimand, niszczytel wrocław-
skiej socjologii”. Studiujący tam wówczas
przyszły opozycjonista Aleksander Mała-
chowski twierdził, że Zimand dał się tam
poznać jako „marksistowska bestia”.

Na początku marca 1948 r. Zimand od-
szedł z „Trybuny Dolnośląskiej”. Władze
„Życia” zdecydowały o skierowaniu go do
pracy w warszawskiej redakcji „Po Prostu”,
której został sekretarzem. Pismo wtedy nie
miało nic wspólnego z legendarnym tytu-
łem z czasów odwilży, było silnie zideologi-
zowane.

W Warszawie Zimand kontynuował
studia socjologiczne. Działal w Związku
Akademickim Młodzieży Polskiej (ZAMP)
oraz w uczelnianych strukturach PPR,
a potem PZPR. „Na uczelni musieli się
mnie bać. Jak bilem, to bilem po oczach”
– wspominał.

Również w Warszawie należał do fana-
tycznych zwolenników marksizmu, uczest-
niczących w atakach na kolegów i wykła-
dowców. Studiująca wówczas znana póź-
niej socjolożka Barbara Szacka wspomina-
ła moment, w którym pierwszy raz zoba-
czyła Zimanda: „Na wykładach Stanisława
Ossowskiego pojawiał się Z. wystylizowa-
ny na komunistycznego komisarza. W roz-
piętej pod szyją skórzaney kurtce, ukazują-
cej fragment owłosionego torsu, wstawiał
z ławki i wdawał się w ostry, zresztą inteli-
gentny, spór z wykładowcą”.

Ossowski jako uczony niemarksistow-
ski cieszący się ogromnym poważaniem
w środowisku był zwalczany przez władze,
aż wreszcie w 1951 r. pozbawiono go moż-
liwości prowadzenia zajęć, a wkrótce wła-
dze zlikwidowały socjologię jako kierunek
studiów. Zimand wpisał się w nagonkę, pu-
blikując w „Myśli Współczesnej” napastli-
wy tekst zawierający recenzję jednej z je-
go książek.

„Napisałem go z własnej chęci i pro-
szę nie wierzyć, że kogokolwiek zmuszałem”
– przestrzegał Zimand Łopieńską i Szymań-
ską. Mówił im także o ataku na jednego
z uczniów Ossowskiego: „Rozprawilem się
na zebraniu ZMP z Witoldem Jedlickim. Co
zrobił? Nic oczywiście. Powiedział, że z tym
Tito to chyba niezupełnie tak”.

Nie zagrzał długo miejsca w „Po Prostu”. Już
w lutym 1949 r. opuścił zespół. Zaczął pracę
jako korektor w dziale wydawniczym szko-
ły partyjnej przy KC PZPR. Twierdził potem,
że zwolnił się z własnej woli, ale kierują-
ca w tym okresie redakcją Krystyna Obozo-
wicz-Walczak (siostra Józefa Świątły) twier-
dziła, że zrobił to, spodziewając się zwol-
nienia.

Zimand, odchodząc z „Po Prostu”, wska-
zał stojącego na czele wydziału nadzorują-
cego w ZAMP kadry Bernarda Sztatlera jako
jedną z osób, które mogą wystawić mu refe-
rencje. Tymczasem zarówno on, jak i Obo-

zowicz-Walczak napisali bardzo negatywne
opinie o Zimandzie i przesłali je do wydziału
personalnego KC PZPR.

Główny zarzut dotyczył opowiadania an-
tyradzieckich dowcipów. Zimand miał z te-
go powodu kłopoty, ale nie były dramatycz-
ne, mimo że na tym jednym zarzucie nie po-
przestano. Miały go cechować: „obcość ideo-
logiczna”, nieumiejętność dogadywania się
ze współpracownikami, „współdziałanie
w intrygantwie”, „mieszczkański tryb życia”,
skłonność do „powierzchownej samokryty-
ki” oraz krytyka linii władz ZAMP.

Autorzy opinii nie omieszkali zwrócić
uwagi na „burżuazyjne pochodzenie”, rzeko-
me ukrywanie pobytu w armii Andersa, ży-
cie za granicą „całej jego rodziny” oraz „jaw-
nie wrogie nastawienie wobec Polski Ludo-
wej” jego matki. Później wypłynęła również
kwestia kradzieży koca.

Początkowo obyla się bez konsekwen-
cji dla Zimanda, ale sprawa wróciła, kie-
dy jesienią 1949 r. miał zostać przeniesiony
na stanowisko pracownika politycznego KC
PZPR, na co jednak nie otrzymał zgody wy-
działu personalnego. Zgłosił się wówczas
do Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej KC
PZPR. Zespół orzekający CKKP w grudniu
1949 r. zdecydował o wykluczeniu go z par-
tii i zwrócił się do wydziału personalnego
KC PZPR o zwolnienie go z pracy w aparacie
partyjnym.

Ponieważ stamtąd jednak dotarły do
CKKP pozytywne opinie, pozwolono Zi-
mandowi pozostać członkiem organizacji
młodzieżowych, gdzie „aktywną pracą bę-
dzie mógł naprawić swoje błędy, a po pew-
nym czasie ubiegać się o ponowne przyjęcie
do Partii”. Ostatecznie udało się mu zresztą
uniknąć wyrzucenia z PZPR i utraty pracy,
bo w maju 1950 r. podczas zebrania podsta-
wowej organizacji partyjnej na UW wygło-
sił samokrytykę.

Protokół z tego posiedzenia jest lektu-
rą fascynującą. Wzięli w nim udział koledzy
i koleżanki Zimanda z organizacji partyjnej,
ludzie na ogół znający go dobrze od kilku
lat, niekiedy z nim zaprzyjaźnieni, w więk-
szości studenci lub młodzi pracownicy na-
ukowi.

Głos zabierali m.in. studiujący wraz z Zi-
mandem socjologię lub filozofię Henryk
Holland czy Paweł Beylin, psycholog spo-
łeczny i członek Biura Politycznego KC PZPR
w ostatnich latach istnienia PRL Janusz Rey-
kowski, znani później historycy Feliks Tych,
Adam Kersten i Jerzy Jedlicki oraz histo-
ryczka sztuki Hanna Morawska.

Podczas obrad pojawiały się jednoznacz-
ne potępienia „niewłaściwej” postawy Zi-
manda, ale też głosy wskazujące na okolicz-
ności łagodzące i na pozytywne zmiany, ja-
kie w nim zaszły. Zimand z pokorą przyzna-
wał się do błędów ideologicznych, z pewny-
mi zarzutami jednak polemizując.

Samokrytyka Zimanda wraz z jego mło-
dym wiekiem i informacjami o zmianie po-
stawy pozwoliły CKKP w sierpniu 1950 r. za-
mienić karę wyrzucenia z PZPR na suro-
wą naganę.

Badacz literatury Roman Loth, który czasie
studiów zetknął się z Zimandem jako agita-
torem, wspominał go po latach: „Reprezen-
tował wówczas bardzo radykalnie rewolu-
cyjny komunizm, a – trzeba przyznać – był
mówcą inteligentnym i żarliwym”.

Mieli okazję przekonać się o tym studenci
dwóch warszawskich uczelni. We wrześniu
1950 r. Zimand został zatrudniony na UW ja-
ko asystent (jeszcze jako student) i prowa-
dził proseminarium z materializmu histo-
rycznego. Miał również wykłady z estetyki
marksistowskiej w ASP.

Jego przełożonym na UW był Adam
Schaff, zarazem promotor jego obronionej
w 1952 r. pracy magisterskiej o Antonim Sy-
gietyńskim jako krytyku sztuki. Zimand bo-
wiem od początku studiów zajmował się
przede wszystkim kulturą i sztuką, cze-
mu pozostał wierny niezależnie od później-
szych przemian.

Jeszcze przed obroną pracy Schaff ściąg-
nął Zimanda do Instytutu Kształcenia Kadr
Naukowych przy KC PZPR. Instytucja ta
miała uczyć młode pokolenia marksistow-
skich naukowców.

Charakterystyki sporządzane w cza-
sie pobytu Zimanda w tej instytucji z jed-
nej strony wskazywały na pewne jego wa-
dy (niezdyscyplinowanie, arogancja, „zaro-
zumialstwo”), z drugiej – na ewolucję, któ-
rą w czasie pobytu w szkole partyjnej miał
przejsć. W związku z tym w 1954 r. struktu-
ry partyjnie zaakceptowały wniosek o cof-
nięcie nagany.

Wypowiedzi Zimanda na zebraniach róż-
nych instancji organizacji partyjnej w IKKN
były pryncypialne. Krytykował chłopów
spółdzielczych niewywiązujących się ze zo-
bowiązań i aktywistów partyjnych „kale-
czących” język polski. Na jednym ze spo-
tkań zwrócił uwagę na „brak samodzielno-
ści i przesadne oglądanie się na kierowni-
ka naukowego” części aspirantów, wymie-
niając z nazwiską jedną z koleżanek, na in-
nym powiedział, że wygłoszone przez jedne-
go z kolegów zagajenie było „zbyt szkolar-
skie” i nie służyło rozwinięciu dyskusji. Ta-
kie oceny mogły wtedy skrytykowanym bar-
dzo zaszkodzić.

W 1954 r. Zimand opuścił IKKN; w pa-
dzierniku tego roku zatrudniony został na
stałe w dziale kultury „Trybuny Ludu”. Pra-
ca w organie pasowym KC PZPR dla niespeł-
na 30-letniego gorliwego marksisty, którego
głównym zajęciem było pisanie, oznaczała
duże osiągnięcie.

Dla „TL” Zimand pisywał recenzje i tek-
sty o ogólniejszym charakterze. Zwłasz-
cza na początku miały „słuszny” charakter.
Czas jego pracy w organie KC przypadł aku-
rat na lata odwilży, kiedy powoli zaczynała
być obecna w sferze publicznej krytyka sta-
linizmu, wygłaszana oczywiście z „właści-
wych” pozycji i mieszcząca się w pewnych
ramach. Zmieścić się w nich usiłował rów-
nież Zimand, który nie od razu został „wście-
kłym rewizjonistą”. Narodziny tego ostatnie-
go trwały długo.

Przemiany w poglądach Zimanda, tak jak
innych osób z jego formacji, zachodziły po-
woli i nie w sposób ciągły. Marian Turski
wspominał, że pierwsze znaki zapytania
w myśleniu ich obu zaczęły się pojawiać po
„sprawie lekarzy kremlofskich”, która na
przełomie lat 1952-53 dała początek kampa-
nii antysemickiej w ZSRR. Dla owych prze-
mian w poglądach ważna była również
śmierć Stalina.

Na znaczenie obu tych wydarzeń dla
przemiany Zimanda wskazywały również
słowa jego samego z grudnia 1956 r., kiedy
w „Po Prostu” przyznawał, że był stalinistą
– „w szczególności w latach 1949-53”. W po-
łowie lat 60. za początek okresu rewizjoni-
stycznego, a więc koniec stalinowskiego, Zi-
mand uznawał rok 1954.

Turski wskazywał, co jeszcze wpływało na
rodzenie się wątpliwości. „Wypatrywaliśmy
każdego numeru »Nowego Mira«, gdzie była
[drukowana] »Odwilż« Ilji Erenburga. To by-
ło dosłownie dla nas jak nowe zjawisko”.

Ta przełamująca socrealistyczne schema-
ty powieść ukazała się w ZSRR w 1954 r. Po
jej ukazaniu się w Polsce w kwietniu 1955 r.
Zimand na spotkaniu w Związku Litera-
tów Polskich wygłosił referat, w którym mi-
mo pewnej krytyki wyrażał się o książce po-
zytywnie.

Podobnie zareagował na „Poemat dla do-
rosłych” Adama Ważyka. W wydrukowa-
nym przez „Nową Kulturę” tekście ocenił go
jako utwór politycznie błędny, ale zasługują-
cy „na poważną dyskusję”.

Podczas jednego z posiedzeń organiza-
cji partyjnej w „Trybunie Ludu” odbyła się
burzliwa dyskusja między kierującym re-
dakcją Romanem Werflem a znaczną czę-
ścią zespołu. Naczelny gazety bronił prakty-
ki „konsultowania się” w sprawie oceny kon-

kretnych artykułów z przedstawicielami władz, co w praktyce oznaczało ręczne sterowanie redakcją przez KC. Argumentował, że krytyka kogoś na łamach organu prasowego KC jest odbierana jako stanowisko rządzących.

Zimand odpowiedział szefowi, że spór toczy się o rozumienie pojęcia „pisanie prawdy”, i dodał, że „Trybuna Ludu” nie jest w stanie walczyć z negatywnymi skutkami decyzji rządu, nie mogąc tych ostatnich krytykować. „Między stanowiskiem Werfla a większością towarzyszy istnieje poważna różnica zdań” – tak mówił o swoim zwierzchniku w jego obecności!

Choć w jednym z tekstów przyznawał, że „niejako sam się zalicza” do grona „zawodowych propagandystów”, rolę dziennikarza, nawet w organie prasowym KC, postrzegał inaczej niż rolę wykonawcy woli władz partyjnych, która kilka lat wcześniej była uznawana za oczywistą.

W grudniu 1955 r. na zebraniu POP PZPR w „Trybunie Ludu” pojawił się sam Bolesław Bierut. Jeden z dziennikarzy zapytał, czy ktoś, kto pracuje w „TL”, ma prawo pisać na łamach innego tytułu „rzeczy, z którymi nie zgadza się kierownictwo redakcji i kierownictwo partii”, precyzując, że chodzi o artykuł Zimanda w „Nowej Kulturze”. Jego zdaniem kierujący redakcją nie powinni zgadzać się na publikację artykułu w innym piśmie bez przejrzenia go.

Bierut nie odniósł się w żaden sposób do tego wątku, ale notowań Zimanda na pewno to nie poprawiło; podobnie jak to, że został wymieniony w negatywnym kontekście w powstałej w styczniu 1956 r. notatce ambasadora ZSRR dla KC KPZR na temat redakcji w „Trybunie Ludu”. Dyplomata zarzucał mu „niewybaczalne pomyłki” w artykule „Milczenie nie zawsze jest złotem” z maja 1955 r., w którym pisał o potrzebie debaty i krytykował Jana Błoińskiego surowo oceniającego powojenną poezję. Błędy miały polegać na przytoczeniu „zwulgaryzowanych wypowiedzi o roli partii na froncie kulturowym”.

Artykuł o Błoińskim był dobrym przykładem tego, na czym polegał rewizjonizm Zimanda (i nie tylko jego) we wczesnej fazie odwilży. Była to krytyka stalinizmu przy jednocześnie zachowaniu wiary w ideologię marksistowską, czemu towarzyszyło przekonanie, że walczyć o poprawę systemu powinni przede wszystkim członkowie PZPR i że krytyka tego, co było, nie powinna iść za daleko.

W taką postawę wpisywał się udział Zimanda w nagonce na Błoińskiego i Ludwika Flaszena na plenum zarządu głównego ZLP w czerwcu 1955 r., czego kontynuacją był opublikowany w „Nowej Kulturze” atak na tego drugiego, którego Zimand nazwał „świętą dziewicą ideologiczną”, a bronił go przez Flaszena Czesława Miłosza po prostu zdrającą.

Na pewno istotnym momentem dla ewolucji Zimanda był referat Chruszczowa (luty 1956) i szybka śmierć Bieruta. W wielu organizacjach partyjnych odbyły się wtedy burzliwe dyskusje dotyczące potępionego przez sowieckiego przywódcę „kultu jednostki”.

Zimand zwracał uwagę, że może to być odbierane jako krytyka jedynie pozycji Stalina, a nie całego szeregu mechanizmów, które ów kult umożliwiły i które z niego wynikały.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Żenia Berkowicz

Czemu płaczesz...

Czemu płaczesz? Już, no już.
Sam o cud się modlisz co dzień.
Idź, na własne oczy spójrz:
Jego nie ma tam, w tej grocie.

Tylko pustka w środku tkwi,
Ani desek, ani gwoździ.
I na glinie śladu krwi
Nie zostawił, gdy odchodził.

Nic dla wiary, nie ma nic,
Nie zostawił ci niczego.
Jakby tu go nie znał nikt,
Tego syna człowieczego.

Facet w płaszczu cicho stał,
Nikt nie został zatrzymany.
Mojżesz, to tablice miał –
A tu mistyka nieznana.

Niepotrzebny żaden lęk.
Nie był – to mu nic nie będzie.
Babkę się po prostu zje,
Jajka się ot tak poświeci.

Tak po prostu śni się sny,
I na mszy jest ludzi masa.
Ktoś się znów urodzi, by
Tak po prostu umrzeć za nas.

PRZEE. JÓZEFINA PIĄTKOWSKA
WIERSZ ZA ROSYJSKIM MIESIĘCZNIKIEM „URAL” NR 12/2021



Przekonywał, że wpływ na powstanie „kultu jednostki” mieli członkowie oderwanego od mas społecznych aparatu partyjnego; odnosił to także do siebie.

Zimand zadał wtedy retoryczne pytanie o postawę członków partii w ZSRR w latach 30.: „Jak mogła partia komunistyczna w Zw. Radzieckim dopuścić do takich rzeczy? Jeżeli partia pozwala na rozstrzelanie 70 proc. członków KC (...), to można powiedzieć, że tej partii wcale nie ma”.

Słowa te były odważne i można było na nie sobie pozwolić raczej tylko wśród „samych swoich”. Jednocześnie były utrzymane w tym samym co referat Chruszczowa paradygmacie, który pozwalał na przypominanie tych zbrodni Stalina, których ofiarami byli inni komuniści. To jeszcze świadczy o podążaniu za linią władz.

Jednak mocno brzmiały słowa wypowiedziane do Werfla:

„Ja sobie zdaję sprawę z tego, że jesteście tyle lat w partii, co ja mam w ogóle życia. My wszyscy jesteśmy w tej czy w innej mierze zatruci jadłem błędów i zbrodni, jakie były w ruchu robotniczym w ostatnich latach. Broniliśmy tego”. I jeszcze: „Jedyną drogą dopomożenia jest zrzucenie z siebie tego wszystkiego, co jest stare, złe i niedobre, albo my się do tego nie nadajemy, żeby budować socjalizm. Jeżeli wszyscy jesteśmy tknięci tym złem, to wy

chyba jesteście też bardzo poważnie złem tknięci, towarzyszu Werfel, i powinniście to sobie uświadomić”.

Broniąc się, redaktor naczelny „TL” przekonywał, że spór między nim a redakcją nie dotyczył koncepcji gazety, lecz przestrzegania „leninowskich norm”, wskazując tym samym, że stanowiska wyrażane przez buntującą się część dziennikarzy były z nimi niezgodne. Była to próba zdyscyplinowania zespołu, który próbował wypowiedzieć posłuszeństwo linii partii.

Zimand nazwał to „próbą zastraszania zespołu”, co najlepiej świadczyło o jego bojowym nastawieniu. Cechowało ono większość redakcji. Pod koniec kwietnia 1956 r. Werfel stracił stanowisko. Zastąpił go sekretarz KC Jerzy Morawski, związany z puławianami [reformatorską frakcją w PZPR]. Miesiąc później redakcję opuścił również Zimand. ●

Dokończenie za tydzień
Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

*Jan Olszek

● historyk, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN i IPN. W ramach projektu IPN „Twórcy, dziennikarze i naukowcy wobec władz komunistycznych” przygotowuje biografię Romana Zimanda

Wielkanocna opowieść wigilijna

„Życie można komuś zepsuć, ale póki żyjemy – nie da się go skraść”. Wierzenie przesłanie Żeni Berkowicz.

Józefina Piątkowska*

Boże Narodzenie to święto w szerokim wyobrażeniu magiczne: mgła i mróz, świece, złote bombki na choinkach, jagody na jemiolach, ciepła para nad wagą barszczu. Światła z okien jaśnieją ciepłem w mroku. Świętujemy pamięć o nocy, kiedy urodził się chłopiec, który był synem Boga.

Ilu jeszcze chłopców urodziło się tamtej nocy w Betlejem? Nie wiemy. Trwał powszechny spis ludności, ale właśnie dlatego panował chaos, który nie sprzyja skrupulatności. W dodatku ludzie starali się fałszować dane, bo król Herod kazał zabić każdego nowo narodzonego. Na szczęście byli także dobrzy królowie, a dokładniej astrologdy, którzy „wiedzieli, ale nie powiedzieli” temu złemu, co wyczytali z gwiazd o miejscu narodzin chłopca mającego zbawić świat miłością i samemu zostać królem.

Tak światłość przebiła ciemność, dobro prześcigało zło, a życie zwyciężało śmierć. Napięcie między tymi siłami jest mocno obecne w „międzyświątecznych” wierszach Żeni Berkowicz (rocznik 1985), opublikowanych dwa lata temu zimą, tuż przed początkiem i w trakcie inwazji Rosji na Ukrainę. Rosyjska poetka i reżyserka teatralna już osiem miesięcy przebywa w areszcie.

Oficjalnym powodem jest „usprawiedliwianie terroryzmu” w spektaklu „Finist Jasny Sokół”. Paradoxem jest to, że wcześniej sztuce przyznano Złotą Maskę, najważniejszą państwową nagrodę teatralną (w dwóch kategoriach). Teraz artystka żydowskiego pochodzenia jest oskarżana o promowanie ideologii Państwa Islamskiego.

Nieoficjalną przyczyną aresztowania jest niezależność głosu, który wybrzmiewa w jej wierszach publikowanych w sieci. Szybko zyskały rozgłos: a to niezależna telewizja nagrała recytację znanego aktora, a to bard napisał do nich muzykę.

Wiersz „Czemu płaczesz...” stał się zapowiedzią krótkiej serii utworów, które były pierwszym poetyckim komentarzem Berkowicz do tego, co się dzieje.

Nieliryczny komentarz wyraziła jeszcze wcześniej. Pierwszego dnia wojny poszła rano na jednoosobowy protest. Nie wiele się namyślała. Po prostu, kiedy jej dwoje adoptowanych dzieci poszło do szkoły, ona wyszła też i stanęła na ulicy z banerem. Została zatrzyma-

na. Wtedy jeszcze nie na długo, tylko ostrzegawczo.

Ponieważ poetka zareagowała na sytuację wierszami bardzo szybko, ich powstawanie przypadło częściowo na czas między najważniejszymi chrześcijańskimi świętami. Jeszcze trwał karnawał i święta była pamięć o Bożym Narodzeniu, ale już zbliżał się czas postu, a po nim Pascha.

„Czemu płaczesz...” łączy przeżywanie obu świąt. Fabuła nawiązuje do Wielkiej Niedzieli, zdaje się, że słyszymy liryczny monolog zwrócony do jednej z trzech Marii, które przyszły namaścić ciało Jezusa, ale okazało się, że nie ma go w grocie. W ostatniej strofie jednak następuje nieoczekiwany zwrot ku narodzinom.

Misteria Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy zostają połączone, a spoiwem staje się ludzka obojętność i łatwość zapomniania. Skoro Go nie ma, to zapewne w ogóle nie było. I można więcej o tym nie myśleć. Poza tym narodzi się ktoś nowy, aby umrzeć za nas albo zamiast nas.

Wiersz został opublikowany w czasie, gdy państwo przygotowywało się do konfliktu zbrojnego. Zaginiony Chrystus staje się symbolem każdego zaginionego na wojnie człowieka. Bezrefleksyjność rytuałów rymuje się z przyzwyczajeniem i zobojętnieniem wobec wiadomości o ofiarach.

Możliwe, że z tych zimowych wierszy powstał zamysł Berkowicz, by na małej niezależnej moskiewskiej scenie wystawić spektakl bożonarodzeniowy. Tuż obok prowadzonego niegdyś przez Kirilla Sieriebriennikowa Centrum im. Gogola znajduje się niewielka Przestrzeń Wewnątrz (Prostranstwo Wnutri). Nie tylko w wieczór premiery, ale podobno w ogóle można tam się poczuć trochę jak w betlejemskiej stajence. Jest się na uboczu, ktoś czasami szeptem toczy rozmowę o emigracji, tylko nie do Egiptu, ale do Gruzji, Izraela czy Łotwy.

W przedstawieniu znów aktualne przeplata się z wiecznym. Zamiast pastuszków pojawiają się bardzo prawdziwi policjanci: tacy z wykształceniem nie wyżej średniego, bo mieli trudne dzieciństwo i do szkoły „trzy dni na wielbłądzie”. Zimowe zwierzęta są bardziej świadome swojej roli: dostały zadanie nadyszeć jak najwięcej ciepła, bo odłączone gaz i nie było czym grzać w stajence. W spektaklu odbywa się ów powszechny spis ludności, a ludzie są namawiani do udziału obietnicami wyprawek dla niemowląt z programu „Nasz skarb”. Sens spisu staje się jaśniejszy niż kiedykolwiek.

Wypowiedzi Żeni Berkowicz poprzez poezję i teatr, a także te zawarte w wywiadach ukazują jej etos. Artyst-

ka mówi, że jeśli położyć na szalach sumienie i poezję albo sumienie i teatr, to sumienie będzie ważyć więcej. „Nie wolno ratować sztuki za cenę własnych przekonań” – stwierdziła w rozmowie z dziennikarką Lizą Lazerson krótko przed zatrzymaniem.

Śledztwo w sprawie Berkowicz, a także współpracującej z nią dramaturżki i autorki sztuki Swietłany Pietrijczuk cały czas trwa. Sąd średnio co dwa miesiące odracza rozprawę. W celi Berkowicz dużo czyta, pisze książkę i dostaje mnóstwo listów z całego kraju. Trzyma się, uważając, że „życie można komuś zepsuć, ale póki żyjemy – nie da się go skraść”.

W wywiadzie opowiada, jak będąc na wolności, ćwiczyła swoje słowo w sądzie. Kiedy pod koniec czerwca rzeczywiście przyszło jej takie słowo wygłosić, po raz pierwszy od tygodni zobaczyła bliskich. Zrozumiała wtedy, że nie wypowie do perfekcji wyćwiczonych ostrych, efektownych zdań. Mowa Berkowicz-reżyserki, pokazującej nonsens śledztwa, zaczęła się i zakończyła zdaniami Berkowicz-matki.

Dla niej Boże Narodzenie nastąpi nie w zimową noc, ale raczej w jasny dzień o jakiejkolwiek porze roku, kiedy na wolności obejmie dzieci i życie, a światło i dobro znowu zatriumfują. ●

***Józefina Piątkowska** – doktor nauk humanistycznych, pracuje w Instytucie Lingwistyki Stosowanej UW. Tłumaczy m.in. poezję rosyjską. Autorka książki „Poetyka sugestii Mariny Cwietajewej”

Pochodnia

Obrazić też trzeba umieć.

Michał Rusinek



Była ministerka (albo ministra, jak kto woli) Anna Zalewska błysnęła na Twitterze (albo na X, jak kto woli) złośliwym i satyrycznym w zamysle komentarzem: „Marszałek nie panuje nad Sejmem. W Sejmie panuje bez-Hołownia”. Kiedy satyryk wyśmiewa się z nazwisk, to schodzi poniżej akceptowanego powszechnie poziomu. Anna Zalewska może jednak tego nie wiedzieć, bo nie jest satyryczką, ale euro-parlamentarzystką.

„Bezhołowie”, do którego subtelnie się odwołała, jest zapożyczeniem z języka ukraińskiego („bezhołowje”). Nazwisko marszałka Sejmu również pochodzi z tego języka, w którym „hołownia” oznacza głównie, czyli pochodnię. Gdybyśmy podobnie jak Anna Zalewska mieli naganną skłonność do zabawy znaczeniem nazwisk, moglibyśmy powiedzieć, że nie ma się co dziwić, że marszałek rozpałił w niej namiętność do komentarzy na swój temat.

Zresztą nie tylko w niej. W wielu mediach pojawiają się analizy wypowiedzi i zachowań Szymona Hołowni. Weźmy dwie z brzegu, a właściwie z dwóch przeciwnych brzegów: na portalu OKO.press i w „Tygodniku Solidarność”. W obu pojawiają się eksperci, którzy poddają naukowej analizie fenomen Hołowni. „Jego zachowanie wypływa ze środka, to jest coś, co mu w duszy gra” – czytamy w tytule tekstu OKO.press i jest to zdanie Barbary Krysztowczyk, szefowej ds. PR w sztabie wyborczym Szymona Hołowni z czasów kampanii prezydenckiej z 2020 r., trenerki wystąpień publicznych. „Hołownia był dwukrotnie w nowicjacie u dominikanów i ma dobrze opanowaną sztukę retoryki. Dominikanie to zakon kaznodziejski, gdzie uczył zakonników głoszenia wiary” – czytamy „Tygodniku Solidarność”

w leadzie do wywiadu z ekspertem ds. retoryki i wizerunku publicznego Dominikiem Mazurem związanym z Fundacją Republikańską.

Justyna Bakalarska-Stankiewicz w OKO.press pisze, że Hołownia „doskonale sobie radzi w roli marszałka Sejmu” i że przyznają to „nawet jego zdeklarowani przeciwnicy polityczni”. Dominik Mazur zaznacza w „Tygodniku Solidarność”, że Hołownia mimo sukcesu, jaki odniósł jako młody człowiek, pozostaje skromny. „Poza tym miał fundacje, które pomagały dzieciom w Afryce, to jest pociągające” – opowiada. Dodaje jednak „ważne zastrzeżenie”: „Hołownia budzi też uczucia zażenowania, niechęci i złości”. W internetowej wersji wywiadu pojawia się tu odnośnik do wypowiedzi Arkadiusza Mularczyka, wiceministra spraw zagranicznych dwutygodniowego rządu, z którym marszałek Sejmu nie chciał się spotkać – chodziło więc o zażenowanie, niechęć i złość pojęte dość wąsko.

Na pytanie dziennikarza, czy to Hołownia spopularyzował obrady Sejmu „swoją osobowością i stylem w byciu” (chyba miało być: „stylem bycia”?), Mazur odpowiada: „Tak, ale nie miał głównego wpływu na ogromną popularność obrad Sejmu w internecie. Zainteresowanie nowym Sejmem po zmianie władzy jest naturalne samo w sobie”. Innego zdania jest Bakalarska-Stankiewicz, która twierdzi, że podręcznikowo buduje on swoją komunikację, korzysta z innego języka niż jego poprzednicy i uprawia edukację polityczną, bo nie tylko mówi do parlamentarzystów, ale też oglądającym obrady Sejmu widzom tłumaczy parlamentarne procedury. Mazur zarzuca mu jednak, że parlamentarzyści są dla niego jedynie „tłem, żeby on mógł błyszczeć”, a on sam chce „maksymalnie wykorzystać świecznik, na którym się znalazł”.

I Bakalarska-Stankiewicz, i Mazur zauważają siłę bon motów Hołowni. Dziennikarka OKO.press wymienia trzy: „Łączy nas wiele, obaj znamy nazwiska swoich następców” – wypowiedziane w stronę byłego już premiera Morawieckiego, „Obrazić też trzeba umieć” – skierowane pod adresem posłów PiS, którzy kolejny raz zwrócili się do niego mianem „marszałka rotacyjnego”, czy też: „Czasami lepiej dostać od wyborców przycisk srebrny niż czerwony” – wypowiedziane do Mariusza Błaszczaka, gdy ten straszyl Hołownię, że za dwa lata nie będzie miał już swojej partii i zostanie mu tylko kanał na YouTube. Ekspert Fundacji Republikańskiej wspomina tylko bon moty, ale ich nie wymienia, choć ocenia, że nie są one „rażące”. Zauważa, że pytany o niechęć do zmiany prawa w zakresie energii wiatrowej marsza-

łek posłużył się wartościującym sformulowaniem „zabobon” oraz że stosuje technikę „belki w oku”.

Tu dochodzimy do różnicy fundamentalnej. OKO.press zwraca uwagę na staranne przygotowanie medialne Szymona Hołowni: ćwiczenia, treningi, symulacje i sound bite’y, a także cechy wrodzone, takie jak dystans do samego siebie, umiejętność posługiwania się ciętymi ripostami i żartem. „Tygodnik Solidarność” upatruje źródeł jego popularności gdzie indziej. Hołownia to bowiem „kaznodzieja polityczny” wykształcony w klasztorze. „Dominikanie to zakon kaznodziejski mający głosić i przekonywać ludzi do przyjęcia wiary w Jezusa. Tego ich uczył. W ogóle Kościół katolicki to jedyne miejsce, w którym zachowała się ciągłość warsztatu retoryki. Inne szkoły zostały przetrzebione przez wojnę, a później komunistyczną nowomowę. Nauka retoryki w Kościele jest dostosowana do celu (sic!), jakie ma realizować, głównie w zakresie kazania, prowadzenia rozmów z wiernymi oraz emisji głosu, czyli melodii języka mówionego. Niemniej u Hołowni tę dobrą, zaadaptowaną dominikańską szkołę widać” – twierdzi Dominik Mazur. Czynność pomyłkowa, pomylenie retorycznych „celów” z klasztorną zapewne „celą” (dopełniacz liczby mnogiej słowa „cel” brzmi: „celów”, nie: „celi”) jest tu znamienna, podobnie jak wybór słowa „zabobon”, zauważenie techniki biblijnej „belki w oku” i posłużenie się metaforą „świecznika”. Ekspert Mazur mówi bowiem niejako z wnętrza Kościoła i właśnie kościelne epizody w edukacji Hołowni postrzega jako formacyjne dla jego kompetencji. Dodaje jeszcze, że marszałek ma obycie medialne (ekspertka OKO.press uważa, że: „To, że ktoś występował w programie rozrywkowym, nie jest jakąś istotną przewagą, bo one się rządzą zupełnie innymi prawidłowościami”), ale – co ważniejsze – ma „przyjaciół wśród dziennikarzy”. Wynikać ma z tego, jak rozumiem, że dziennikarze nie będą wobec niego krytyczni.

Choć przyczyn fenomenu rosnącej popularności Szymona Hołowni eksperci upatrują całkiem gdzie indziej, to co do jednego są zgodni: pochodnia Hołowni może wkrótce zaświecić jeszcze większym blaskiem. Jego język i sposób zachowania może bowiem stać się atrakcyjny nawet dla niechętnych mu dotychczas wyborców PiS-u, szczególnie że – jak zauważa Barbara Krysztowczyk – „nie ma [on] tak dużego negatywnego elektoratu jak chociażby Donald Tusk”. Ciekawe, jak tę atrakcyjność wykorzysta i przy okazji jakich wyborów. A czy przekona także Annę Zalewską, żeby powstrzymała się od żartów z nazwiska – zobaczymy. ●

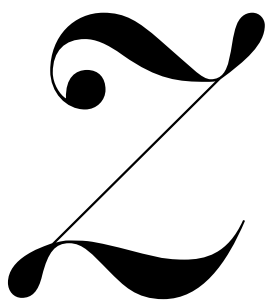
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34248365

Wszechstronna, głęboka, serdeczna książka dla rodziców, którzy często stają bezradni wobec swoich nastoletnich dzieci. Nie mogłam się zdecydować, czy lepsze są w niej pytania, czy odpowiedzi – ostatecznie uznałam, że jest remis: świetne pytania, mądre odpowiedzi.

NATALIA DE BARBARO

PREZENT LAST MINUTE DLA RODZICÓW NASTOLATKÓW



Z KOMPOZYTOREM
ZBIGNIEWEM PREISNEREM
ROZMAWIA **ANNA**
S. DĘBOWSKA

Na Instagramie wciąż pan się bawi z jakimś kotkiem, karmi go, pozwala mu chodzić po klawiaturze fortepianu. Co to za małeństwo?

– To Wiktor, kocia sierotka. 5 grudnia skończył dwa miesiące. Jestem przez niego pogryziony i podrapany – to grecki dziki kot. Teraz jest u mnie, w Jamnej koło Zakliczyna, ale przygarnąłem go na Rodos, gdzie mam drugi dom. Matka go odrzuciła, gdy miał dwa tygodnie. Znajoma weterynarz powiedziała, że to się zdarza u młodych kotek. My ją zresztą znamy, tę matkę. Jest dzika. Jak przychodzi do nas zjeść, to nawet się nie da pogłaskać. Mówię na nią Jagusia. Chcieliśmy ją wysterylizować, ale uciekła.

Na początku października pojechaliśmy do Polski na wybory, wróciliśmy w drugiej połowie miesiąca. Na progu domu leżała ona, a z boku piszczało małe kocię. Jak tylko nas zobaczyła, straciła nim zainteresowanie. Mieścił mi się w dłoni, umarłby bez pomocy. Weterynarze mówili, że ma niewielkie szanse na przeżycie.

Jak pan go przewiózł do Polski?

– Zgodnie z prawem europejskim kot musi mieć paszport, czip i szczepienia. Ale nie wolno szczepić kota, który nie ma trzech miesięcy. I wtedy się dowiedziałem, że w Grecji kot może dostać paszport tymczasowy, jeśli nie miał kontaktu z innymi zwierzętami. Tylko że Polska nie akceptuje takich regulacji, ale Czechy już tak, no to przyjechałem z kotem do Pragi, a potem do Polski samochodem. Musiałem przecież ratować kota, to ludzki odruch. I teraz jest ze mną w Jamnej.

W Jamnej ma pan swoje studio nagraniowe?

– Kiedyś je miałem w Niepołomicach. W czasie pandemii, kiedy skończył się lockdown, postanowiłem przenieść je tutaj, żeby mieć bliżej do pracy. Myślałem, że wtedy będzie mi się chciało pracować, a jest odwrotnie – wcale mi się nie chce.

Ale mam studio wyposażone jak Air czy Abbey Road w Londynie. Kiedy piszę muzykę do filmu, większość nagrań i całą postprodukcję robię u siebie.

Gdzie jest Jamna?

– Między Nowym Sączem a Tarnowem, 16 km ode mnie jest miejscowość Zakliczyn, a obok w Lusławicach miał dwór Krzysztof Penderecki. Po drugiej stronie, też 16 km ode mnie, jest dwór Ignacego Jana Paderewskiego w Kąsnej Dolnej. A na Jamnej ja. Trójkąt kompozytorów, w dodatku o nazwiskach na literę P.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

ZA 300 LAT

kraj będzie normalny

Musiałem ratować, to ludzki odruch,
a mówili, że ma niewielkie szanse na przeżycie

Pan się urodził w Bielsku-Białej. Dlaczego przenieśliście się do Bobowej, bliżej Nowego Sącza?

– To mój świętej pamięci ojciec romantyk tak zdecydował. Mieszkaliśmy w Bielsku. To były początki lat 60. XX w., ciężki komunizm. Chodziły wtedy takie komisje z kuratorium i robiły dzieciom badania słuchu. Przekazali moim rodzicom, że mam jakiś wyjątkowy talent i powinienem iść do szkoły muzycznej.

Ale ponieważ moi dziadkowie, rodzice mamy, którzy mieszkali w takim przysiółku Bobowej o nazwie Brzana, pisali do matki, że im ciężko i proszą o pomoc, mój ojciec postanowił się tam przenieść. Zamieszkaliśmy więc na Brzanej. Liceum kończyłem w Bobowej, miałem 5 km w jedną stronę. To były trudne czasy.

Czyli szkoła muzyczna pana omięła.

– Jak ktoś mnie pyta, dlaczego nie skończyłem szkoły muzycznej, to tylko z jednego powodu – po prostu nie było jej tam, gdzie mieszkalem. A teraz w Bobowej jest szkoła muzyczna I stopnia. Mieści się w pięknie odnowionym dworku, który należał kiedyś do rodziny gen. Bolesława Wieniawy-Długoszewskiego, adiutanta Józefa Piłsudskiego.

W pana biogramie podają, że jest pan autodydakta, sam się pan uczył muzyki. To budzi szacunek.

– Trzeba się nauczyć podstaw wykonywania każdego zawodu tak, aby trudności techniczne nie przeszkadzały w opowiadaniu swojego świata. To wszystko. U mnie to poszło szybko. W 1975 r. jeszcze nie

znałem nut, a dwa lata później pisałem na orkiestrę.

Ale jak do tego doszło?

– W 1974 r. zdawałem na prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim i się nie dostałem, chcieli mnie wziąć do wojska. Mój kuzyn powiedział: „Słuchaj, jest wakat na dyrektora gminnego ośrodka kultury”. Byłem prosto po liceum, miałem 19 lat. Błędego pojęcia nie miałem, co miałbym tam robić, ale się zgodziłem. To było jedyne osiem miesięcy w moim życiu, kiedy pracowałem na etacie.

I wtedy się zaczęło?

– Marysia Ciepielowska, dyrektorka szkoły w Ciężkowicach, powiedziała, że przygotowują się na ogólnopolski konkurs poetycki i czy nie dobrałbym jej jakieś muzyki do wierszy. Już w liceum grałem na gitarze w zespole młodzie-

żowym, ale nut nie znałem. Włączyłem magnetofon i zaśpiewałem do mikrofonu te wszystkie teksty, i wygraliśmy ten festiwal. Nagrodą był wyjazd na festiwal piosenki harcerskiej do Kielc. Stworzyłem wtedy zespół Gamba. W Kielcach wszyscy śpiewali piosenki harcerskie, a my ballady o pustej drodze, samotności. Dla wszystkich to był szok i wygraliśmy. W jury byli ludzie z Novi Singers, Waldemar Parzyński i Ewa Wanat, a także ktoś z radiowej Trójki.

Parzyński mi zaproponował, żebym napisał coś dla studia piosenki przy Programie Trzecim, nie wiedział, że nie znam nut. W Gambie na skrzypcach grał nauczyciel fizyki z Tarnowa Władysław Strejczek. Siedziimy więc z Władkiem, pijemy winko i on mówi: „Ja cię nauczę nut”. I zaczął mi tłumaczyć, jak w systemie nutowym zapisać proste melodie.

Po czym wróciłem do Krakowa, dostałem się na historię na UJ. Szedłem rynkiem, a tam u wlotu ulicy św. Anny był sklep muzyczny Kurant. I nagle słyszę piosenkę Ewy Demarczyk „Skrzypek Hercowicz” z muzyką Andrzeja Żaryckiego. Słucham i myślę, że ja takie piosenki pisałem w liceum.

I to był impuls?

– Tak się zaczęło. Pracowałem jako węglarz, żeby zarobić na utrzymanie, kupowałem partytury, nagrania na winylach i uczyłem się muzyki. O instrumentacji i kontrapunkcie znajdowałem informacje w książkach Nikołaja Rimskiego-Korsakowa.

On też był samoukiem.

– Tego nie wiedziałem, ale jestem w dobrym towarzystwie. Oczywiście lamałem zasady. Jak czytałem, żeby nigdy nie pisać trąbki powyżej fletu, bo to będzie źle brzmiało, to ja odwrotnie – często pisałem trąbkę powyżej fletu i to bardzo dobrze brzmiało. Bo to zależy od muzycznego kontekstu. Założyłem zespół, w którym grali studenci Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie. Pisałem np. na kwartet smyczkowy, a jak mi coś nie brzmiało, to mówiłem, że to poprawię.

A kiedy pan trafił do Piwnicy pod Baranami?

– Pisałem już wcześniej piosenki dla ludzi z Piwnicy, np. Marysi Wiernikowskiej czy Basi Wójcik, ale Piwnica mnie onieśmielała. Tam była Ewa Demarczyk, był Zygmunt Konieczny. Awangarda.

Znałem już Koniecznego i Piotra Skrzyneckiego. Któregoś dnia, chyba w 1977 r., Zygmunt mówi: „Nie wygłupiaj się, przyjdźże do Piwnicy”. Przyszedłem i zostałem. Jedną z pierwszych kompozycji była „Do polityka” do słów Czesława Miłosza. Piotr mnie poprosił, żebym to napisał dla Ani Szalapak.

„Kto ty jesteś, człowieku –/ zbrodniarz czy bohater? (...) Oto starca i dziecka/ w ręku dzierzysz los”.

– Piotr to zapowiadał: „Posłuchajcie wyklętego w Polsce poety, ale już niedługo będzie on znany”. I okazało się, że dwa lata później dostał Nagrodę Nobla.

Znał pan Antoniego Krauzego, reżysera propagandowego filmu „Smoleńsk”.

– Jak go poznałem, Antek był zupełnie innym człowiekiem – fantastycznym reżyserem, bardzo się

z nim wtedy przyjaźniłem. Potem nasze drogi się rozeszły z powodów politycznych. Nakręcił niesamowity film „Prognoza pogody” na podstawie opowiadania Marka Nowakowskiego „Zdarzenie w miasteczku”.

Mieszkańcy domu starców dowiadują się, że dyrektor kupuje trumny, więc myślą, że będzie ich mordował, i postanawiają uciec. Napisałem do tego filmu bardzo narracyjną muzykę. To było coś zupełnie nowego. Ja zawsze staram się pisać do filmu muzykę narracyjną. Nie ilustruję tego, co widzę, wchodzę w uczucia bohaterów. W przypadku „Prognozy pogody” ta muzyka była o ich siłę, o wyzwoleniu. To zrobiło duże wrażenie, zyskałem rozgłos.

Krauze pracował w zespole TOR, gdzie był między innymi Krzysztof Kiesłowski. I potem Kiesłowski się zgłosił.

Tak po prostu?

– Przysłał telegram, nie miałem wtedy telefonu. Zaproponował spotkanie. Siedział przy stoliku z operatorem Jackiem Petryckim i reżyserem dźwięku Michałem Żarneckim. Usiadłem z nimi, a „Kiesiel” mówi: „To może się wódeczki napijemy?”. W tamtych czasach jak się zamawiało wódkę, to dawali zakąski. Po pół godzinie na stole leżały same zakąski, nikt tego nie jadł.

A „Kiesiel” mówi: „Słyszałem pana muzykę do »Prognozy pogody«. Takiej bym chciał w swoich filmach”. Wtedy robił „Bez końca” z Jerzym Radziwiłowiczem i Grżyną Szapołowską (1985). A on dalej: „Tylko pan jest z tej Piwnicy, wy tam pijecie”. A ja tak patrzę na te puste kieliszki i mówię: „No tak, pijemy”.

„Bo wie pan, ja lubię punktualność” – i tak głądzi. A ja: „Panie Kiesłowski, niech się pan nie martwi, nie takie premiery się kładło”. Nigdy więcej mnie nie upominał, żebym był punktualny.

Czyli się dogadaliście.

– Podpisałem umowę. Wtedy nie było tak jak dziś, że się dostaje gotowy obraz do oglądania w domu. Za pierwsze zarobione pieniądze kupiłem w peweksie mały magnetofon kasetowy i jak przychodziłem do wytwórni na Chelmskiej, to nagrywałem: „Szapołowska idzie, przechodzi, zamyka drzwi, wchodzi po schodach”. A kiedy wracałem do domu, to sobie to odtwarzałem. Po paru tygodniach Kiesłowski pyta: „I jak ta muzyka?”. Ja na to: „Słuchaj, ten film nie potrzebuje muzyki”.

Aż tu nagle przypadek – gramy z Piwnicą nielegalny koncert w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej. Poprosiłem Skrzyneckiego, żeby zobaczył „Bez końca”. Umówiłem w wytwórni na 14, żeby Piotr się obudził i wytrzeźwiał – ja też nie lubię wstawać rano. On co chwilę przysypiał. Pomyślałem: „Boże, nic z tego”. Były już napisy końcowe, gdy on się obudził i powiedział: „Stary, przecież to jest proste, to są »Dziady«”. Olsniło mnie – misterium. I tak to nagraliśmy z Filharmonią Łódzką pod dyktando Zdzisława Szostaka.

Powiedziałem muzykom: „Śpiewajcie, jakbyście śpiewali w kościele”. Początkowo nie chcieli, a potem zaczęli śpiewać bez słów. Stopniowo przechodzili na instrumenty, ale już grali più voce, jak chciałem.

Mówię do „Kiesiela”: „Mam nadzieję, że jak dasz mi znowu szansę, to uda mi się napisać lepszą muzykę”, na co on spojrzał na mnie: „My już będziemy pracować ze sobą do końca życia”. I tak się stało – zrobiliśmy razem 17 filmów i rozdzieliło nas tylko to, że on zmarł.

(w tym momencie nasza rozmowa na Zoomie się urywa)

Po ponownym połączeniu: Zbigniew Preisner: Nie chcę być za bardzo metafizyczny, ale mam wrażenie, że to połączenie przerwał nam Kiesiel”, jakby chciał powiedzieć: „Nie gadajcie już o mnie”. A powiem pani, dlaczego tak myśle. Kiedyś Hanna Krall udzielała wywiadu o Krzysku do telewizji, kręcili to u niej w domu. Skończyła ten wywiad i przyszła sąsiadka z góry: „Pani Hanno, jak pani pięknie opowiadała o Kiesłowskim”. Krall zaskoczona, a sąsiadka, że to szło w radiu. „Ale jak to szło w radiu, skoro to było tylko nagranie?”. Dziwny przypadek.

W końcu to Kiesłowski nakręcił film „Przypadek”.

– Tak, to jest dla mnie dowód na istnienie życia po życiu. Też miałem z Kiesłowskim przygodę po jego śmierci.

Jaką?

– Przyjechał do mnie do Krakowa razem z Piesiewiczem, który jechał na narty do Szwajcarii. Ja musiałem lecieć na cztery dni do San Francisco, bo kończyłem jakiś film. Umówiliśmy się, że jak wrócę, dojedziemy razem z Kiesłowskim na te narty. W tamtym poprzednim domu była moja pracownia, w której on bardzo lubił mieszkać. Mówię do niego: „Nie możesz tam teraz zostać, bo nie działa toaleta”. On był majsterkowiczem i postanowił to naprawić. Wszystko porozkręcał, zostawił na podłodze z precyzyjnym opisami, co jest od czego, miał coś dokupić w Warszawie i dokończyć naprawę po moim powrocie. Jeszcze powiedział: „I jedź na Cezary”. Rok wcześniej dostałem Cezara za muzykę do jego filmu „Czerwony”, twierdził, że znów dostanę. I faktycznie, nagrodzili mnie Cezarem za muzykę do filmu Jeana Beckera „Eliza”.

Naprawił?

– Jak wróciłem po tygodniu z Ameryki, okazało się, że „Kiesiel” jest w szpitalu. Operacja. Kiedy się dowiedziałem, że to już koniec, zacząłem pisać „Requiem dla mojego przyjaciela”, które towarzyszyło mu w jego ostatniej drodze. W międzyczasie pomagałem Marysi, żonie Krzyska, organizować pogrzeb.

Wróciłem do domu, wchodzę do łazienki, naciskam spłuczkę, a ona działa. Pytam mojego ogrodnika, czy coś z tym robił. Nie. Gosposia też nie. I wtedy przypomniałem sobie, że „Bez końca” zaczynało się sceną, w której Radziwiłowicz grający nieżyjącego męża Szapołowskiej naprawia spłuczkę już po swojej śmierci. Wszyscy na kolaudacji pukali się w głowę i Krzysiek w końcu wyciął tę scenę. A mnie się to przydarzyło naprawdę. I ta toaleta działa do dzisiaj.

Profanum i sacrum.

– Jeżeli więc ktoś mówi, że nie istnieje coś takiego jak życie po życiu, jakaś obecność, to ja w to nie wierzę, bo mam namacalny dowód, że jest inaczej.

Pan jest osobą wierzącą?

– Wierzę w Boga, nie wierzę w Kościół. Rozumiałem Kościół katolicki w latach 80., gdy rzeczywiście pomagał opozycji. Czulem to sacrum w dzieciństwie. Byłem ministrantem i pamiętam mszę po łacinie. W momencie, gdy to wszystko zmieniło się na mszę polską, z tego misterium, z tajemnicy zrobiło się profanum. A jak już weszło to posoborowe: „Przekażcie sobie znak pokoju”, przestałem chodzić na mszę, bo to o jeden krok za daleko.

W Polsce następuje odwrót od Kościoła katolickiego. Patrzy pan na to z niepokojem?

– Kościół popełnił straszne błędy. Weźmy to, co się dzieje z Rydzykiem, z wypowiedziami Jędraszewskiego o in vitro choćby... Chcę tylko przypomnieć, że Kościół był kiedyś przeciwny transplantacjom serca. Do momentu, gdy księża sami zaczęli z tego korzystać. Postęp medycyny nie szkodzi ludziom, tylko pomaga. Jak można być przeciwko temu? Młode pokolenie odchodzi, bo widzi postawę hierarchów – ludzie nie analizują przecież, że wiara w Boga nie jest równoznaczna z wiarą w Kościół. Ale boję się, że odchodząc z Kościoła, będą też odchodzić od wiary, a bez wiary to wszystko się źle skończy.

65 proc. Czechów deklaruje ateizm, ale żyją normalnie, potrafią się szanować.

Pracowałem jako węglarz, żeby zarobić na utrzymanie, kupowałem partytury, nagrania na winylach i uczyłem się muzyki

– To prawda. Tak samo Szwajcarzy, Francuzi, Holendrzy, Niemcy. Jak mieszkałem w Szwajcarii, trzeba było deklarować przynależność religijną, bo od tego płaciło się podatek. Niewierzący nie płacili. W kościele w Morgins, gdzie miałem dom przez 18 lat, była wywieszona lista, ile parafia dostała z podatków, ile wydała i na co. Podoba mi się ta transparentność.

Ma pan satysfakcję z wyborów?

– Tak, bo to, co się działo przez ostatnich osiem lat, to był największy pokaz fałszu i obłudy w historii Polski.

W 1997 r. wyprowadził się pan do Szwajcarii. W wywiadzie powiedział pan: „Nie potrafię już tu żyć. W kraju kłamstwa, głupoty i paranoi. Kompletniej bezmyślności i bezkarności”.

– Wróciłem ze Szwajcarii w 2015 r., bo pomyślałem, że nic złego już się nie wydarzy. Wtedy człowiek był dumny z bycia Polakiem, w Europie nas podziwiali, jak się rozwijamy ekonomicznie, jaką demokrację stworzyliśmy. Przez ostatnie osiem lat to wszystko zostało zniszczone, zmarnowane. Na wiele pokoleń.

Pan wrócił akurat w roku, w którym nastąpiła ta fatalna zmiana.

– Jak na ironię. Potem natychmiast przeniósłem się do Grecji. W razie czego zawsze tam mogę zamieszkać na stałe, nie nadaję się na niewolnika. W 2014 r. zrobiliśmy z Ewą Lipską koncert na otwarcie ICE Kraków, nazywał się „2014. Tu i teraz”. Śpiewała Lisa Gerrard. Ewa napisała: „Tu i teraz, pomiędzy wierszami wieków, na skraju apokalipsy zapisuję ci w testament kraj, miasto, ścieżkę, pustynię”. Wydawało nam się, że przesadzamy z tą apokalipsą. Dwa lata później we Wrocławiu graliśmy koncert „2016. Dokąd”.

Teraz widzę, jak myśmy to wszystko przewidzieli. Jak mówi Seneka: „Żadna tyrania nie trwa wiecznie”, „Przebaczenie wszystkim jest takim samym okrucieństwem jak nieprzebaczenie nikomu”.

Po poprzednich rządach Kaczyńskiego nie rozliczono jego ekipy i prawdopodobnie dlatego wrócili jak bumerang.

– Naprawienie tego, co zepsuli, będzie trwało kilkadziesiąt lat. Mamy więc dwa wyjścia – robić to, co oni, obchodzić prawo i konstytucję, albo robić wszystko zgodnie z prawem, lecz wtedy to potrwa.

Jestem zbudowany czym innym. Mam wiarę w młode pokolenie. To, co się zdarzyło 15 października, te długie kolejki do późnej nocy, żeby zagłosować, oznaczają, że młode pokolenie, które ma wszystko, obudziło się i powiedziało: „Stop. Tak dalej być nie może”.

Zresztą proszę zobaczyć, co się dzieje z młodzieżą. Jest takie zjawisko, które zauważyłem – sanah. Śpiewa poezję. Można się zgadzać lub nie zgadzać z muzyką, która do tego powstaje, ale każde pokolenie ma swój czas. Ja z tym nie dyskutuję. Ona na tych koncertach śpiewa 30-40 proc. poezji i wypełnia stadiony. To znaczy, że coś się zmieniło, że ten cały chłam, to podlizywanie się publiczności, myślenie, że im głupiej, tym lepiej, się kończy.

Miejmy nadzieję.

– Sztuka znów zaczyna być ludziom potrzebna. Grałem w tym roku pierwszy raz po koronie trasę moich kolęd. Wszystkie sale były wypełnione. Kilka tygodni temu widziałem „Requiem” wykonywane w Filharmonii Szczecińskiej. Taka sama reakcja. Ludzie chcą czegoś innego, prawdziwego, chcą się wzruszyć, chcą, żeby mówić do nich ludzkim językiem, poruszać sprawę, które są dla nich ważne.

Przed naszą rozmową chciałam sobie przypomnieć pana kolędy do słów Ewy Lipskiej nagrane w 2015 r. Uderzyło mnie, jak profetyczna była „Kolęda niepokoju”: „Co ty zrobisz, gdy w mundurze/ anioł zjawi się na górze,/ a królowie monarchowie/ zagubieni w pustosłowiu./ Zmiłuj się nad nami, Panie,/ co się wtedy z nami stanie?”

– Boję się, że jesteśmy w przededniu III wojny światowej, i mówię to bardzo poważnie. Wolałbym się mylić, ale obawiam się, że to wszystko wymknie się spod kontroli.

Mieszkamy z Ewą w tej samej kamienicy w Krakowie. Kiedy zaczęliśmy pisać te kolędy, myśleliśmy o tym, że Boże Narodzenie wszystkim kojarzy się z pomyślnością, lecz te święta wcale nie są takie radosne, raczej refleksyjne. Zostawiamy tradycyjnie puste miejsce przy stole. Po śmierci Krzysztofa Kiesłowskiego i Piotra Skrzyneckiego napisałem „Kolędę dla nieobecnych”. Bo dla mnie to puste miejsce niekoniecznie kojarzy się z tymi, którzy mają przyjąć, ale z tymi, którzy odeszli.

Po śmierci Krzyska i Piotra zawsze trzymałem dla nich dwa miejsca przy stole, ale później odeszło jeszcze wielu innych moich przyjaciół – Jerzy Turowicz, Marek Grechuta, profesor Andrzej Szczekliki, Jerzy Trela, Janek Nowicki czy ostatnio Stasio Radwan. Myśmy w tym tygłu żyli razem, a teraz zostały puste miejsca.

A może coś optymistycznego na koniec?

– Mieszkam w Jamnej 23 lata. To jest mała miejscowość. Przez te 23 lata do wszystkich tutejszych dzieci jeździ Mikołaj. One piszą najpierw listy z życzeniami do soltysa, soltys przynosi je do mnie i co roku Mikołaj jeździ po wsi i rozwozi prezenty. Tego roku mamy ich 35.

Pan je dla nich kupuje?

– To, czego sobie zażyczą. Zauważyłem, że od tego roku nie chcą już ubrań. Chcą szachy, książki, płyty, sanki. Zmienia się. Widać po 23 latach, jak się zmieniała ta miejscowość, warunki życia, estetyka. Mówię to dlatego, że mam nadzieję, iż ktośś z tych dzieci, jak kiedyś też robi jakąś karierę, dorobi się pieniędzy i zamieszka w małej miejscowości, przypomni sobie tego Mikołaja z Jamnej i będzie kontynuowało ten zwyczaj w swojej miejscowości. Jeśli to się powie dzie, to za 300 lat ten kraj będzie normalny. Mówię o tym pierwszy raz, wcześniej nie mówiłem publicznie, pamiętam słowa z Biblii: „Niech inni mówią, a nie usta moje, obcy, a nie wargi moje”. Ale po 23 latach trzeba to powiedzieć, bo być może takich ludzi dobrej woli jest znacznie więcej. Musimy zacząć być dla siebie dobrzy. ●



Autorem wielu haseł jest **Robert Jurszo**

weekendówka

83

HU, HU, HA, NASZA ZIMA ZŁA

Może nie do końca to widać (tak po prawdzie w ostatnich latach generalnie różnie z tym bywa), ale wczoraj oficjalnie pożegnaliśmy jesień. Bo od 22 grudnia mamy w Polsce zimę. Co ciekawe, zarówno kalendarzową, jak i astronomiczną.

Ta pierwsza zawsze zaczyna się tego samego dnia, właśnie 22 grudnia. Datę ustalono na potrzeby kalendarza, więc tu wątpliwości nie ma.

Co innego zimą astronomiczną. Znaczy, wątpić w nią rzecz jasna także nie ma co, lecz jej początek wypada różnie. Albo 22 grudnia, albo dzień wcześniej – te przesłoki wynikają z obecności w kalendarzu lat przestępnych. Gwoli ścisłości warto dodać, że jest jeszcze trzecia zima, meteorologiczna. Zaczyna się 1 grudnia, a kalendarz meteorologiczny ustalono na potrzeby klimatologów, by mogli porównywać okresy dla zbierania danych statystycznych i porównawczych.

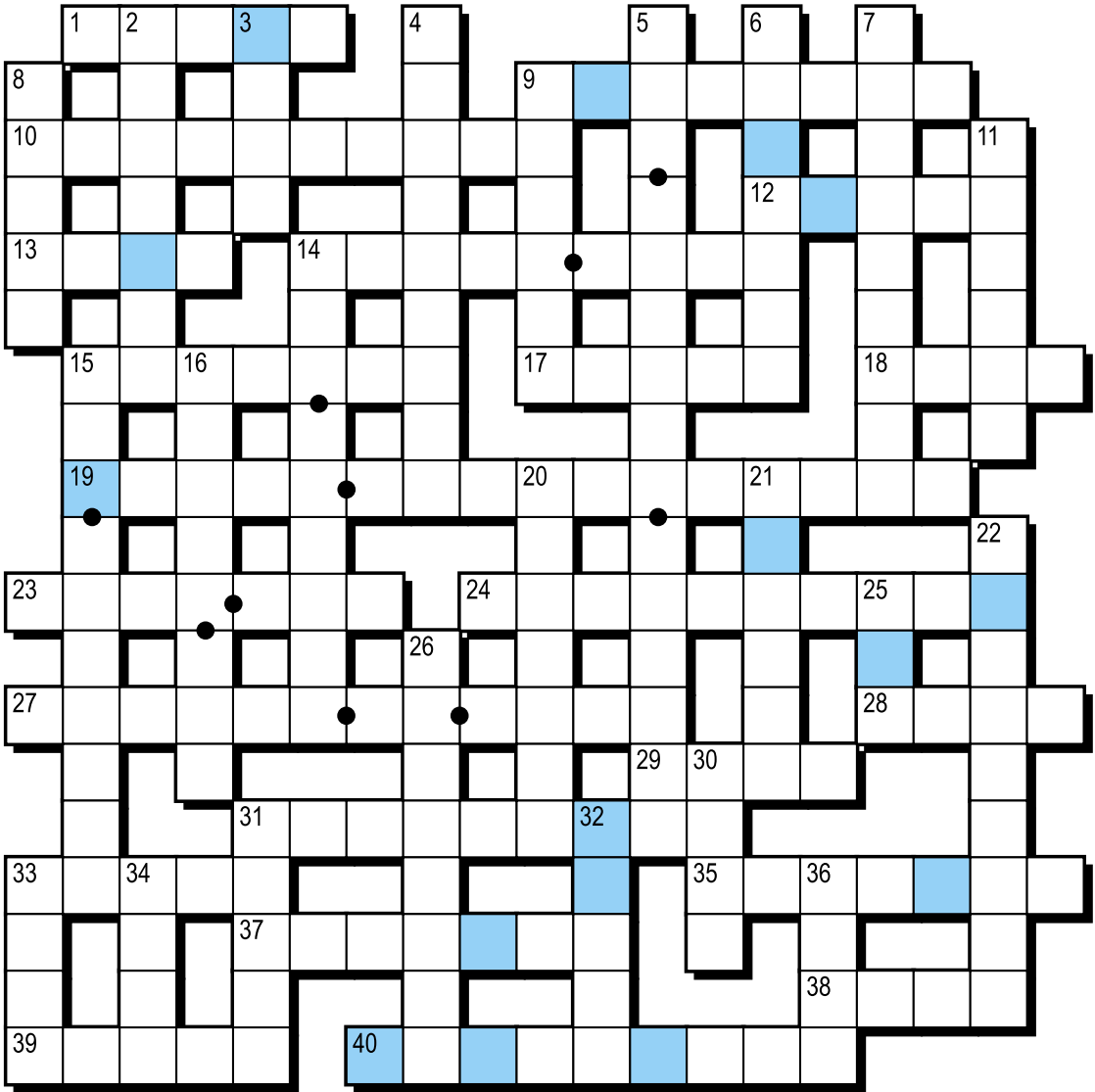
Początek tej astronomicznej zimy wyznacza Słońce stojące w zenicie nad zwrotnikiem Koziorożca. To przesilenie zimowe, a ten dzień jest zarazem najkrótszym dniem w roku. Potrwa w Polsce dokładnie 7 godzin i 42 minuty.

Ale ważne: teraz będzie już tylko lepiej. Z każdą kolejną dobą dnia będzie przybywać, a nocy będą coraz krótsze. Oby także nieco pogodniejsze.

Dzisiejszą „Weekendówkę” poświęcamy właśnie zimie, a o pomoc w ułożeniu pytań poprosiliśmy Roberta Jurszę, dziennikarza „Gazety Wyborczej”, publicystę specjalizującego się w tematyce przyrodniczej.

Robert w szczególności interesuje się ochroną ptaków i dużych drapieżników oraz relacjami między ludźmi a przyrodą, ale klimat generalnie nie ma przed nim tajemnic. Zatem ruszajmy z tą zimą! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 82 z 16.12:

- Poziomo:**
- 3) Monopoly 9) Stallone
 - 10) list 11) ciemnica
 - 13) Alcatraz 15) hrabia
 - 16) wiatr 17) seriale 18) Steve
 - 19) agresja 22) Vincent
 - 24) krata 26) Azkaban
 - 29) kara 30) zbieg 31) widzenie 32) rygor 34) klawisz
 - 35) sznyt 38) dożywocie
 - 39) cela 40) sprawa
 - 41) Archer 42) kajdaniarz

- Pionowo:**
- 1) karcer 2) klatka 3) mecz
 - 4) niewinni 5) penitencjariusze 6) loch 7) Kimble
 - 8) straż 9) Shawshank
 - 12) areszt 14) apelantka
 - 20) Reading 21) slang
 - 23) Connery 25) Brubaker
 - 27) koza 28) bandzior
 - 30) zbrodnia 33) Rawicz
 - 34) kicie 36) Tomasz
 - 37) łaska 39) carat
 - 40) Adam

HASŁO:
PAWIAK I BASTYLIA

NASZA ZIMA ZŁA

Hasła Roberta Jurszy oznaczono inicjałami (RJ). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

- Poziomo:**
- 1)** potocznie o karze śmierci (RJ)
 - 9)** termiczna – dla alpinistów, zimowych biegaczy
 - 10)** ... ciepła, urządzenia stosowane m.in. w ogrzewnictwie
 - 12)** Cynthia z opowiadania 31 poziomo lub John, amerykański pisarz („Szukając Alaski”, „W śnieżną noc”)

- 13)** przy kominku w górskim schronisku
- 14)** zamienić się w ..., czyli skostnieć z zimna
- 15)** z Rovaniem
- 17)** ... dymu, buchając z paleniska
- 18)** „Kłamstwo długie ... ma”, śpiewa Mrozu w piosence „Zima”
- 19)** kręcą Kubackiego, Stocha
- 23)** 1 stycznia
- 24)** kojarzy się z zabiegami w terapii zimnem
- 27)** robione jesienią, by przetrwać mroźne dni
- 28)** grabieją na siarczystym mrozie
- 29)** „Już taki jestem zimny ...”

- 31)** autor opowiadania „Śniegi Kilimandżaro”
 - 33)** ... Bożego Narodzenia, na Oceanie Indyjskim
 - 35)** ... po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie
 - 37)** Magdalena, zagrała w trzeciej i czwartej części „Listów do M.”
 - 38)** Piotr na mamucie
 - 39)** zimowe legowiska niedźwiedzi
 - 40)** świąteczne ... (wierce adwentowe, stroiki)
- Pionowo:**
- 2)** opona na śnieżne dni
 - 3)** slangowo o wzmacniaczu gitarowym (RJ)
 - 4)** kolejna zimowa – już w 2026 r. we Włoszech

- 5)** „Trzej królowie jadą, złoto, mirrę kładą...” – i co dalej?
- 6)** północny i południowy, oba zaśnieżone
- 7)** płatki zimy
- 8)** hałdy śniegu
- 9)** zając, którego trudno dostrzec na śnieżnym tle
- 11)** ach, gdzież są zeszłoroczne?
- 14)** długie kimanko misia, świstaka, jeża
- 15)** drapieżnik zamieszkujący tundrę, zwany także pieścem
- 16)** smarowane przez Świętego Mikołaja przed wyruszeniem w podróż
- 20)** sport z toczącymi się kamieniami, uprawiany na lodowej tafli

- 21)** model stajenki betlejemskiej, ze żłobkiem i figurkami
- 22)** miłośniczka białego szaleństwa
- 25)** złowroga istota występująca na kartach powieści „Hobbit, czyli tam i z powrotem” J.R.R. Tolkiena (RJ)
- 26)** zawieje i ... śnieżne
- 30)** jeden z zimowych znaków zodiaku
- 31)** ... i Marv, złoczyńcy z komedii „Kevin sam w domu”
- 32)** np. syberyjski buran (bardzo silny i zimny)
- 33)** zima – ... kierowców
- 34)** Jon z „Gry o tron” („Winter is coming...”)
- 36)** ... zimowe, potocznie o ciemiernikach

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!







KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ